

# AŁFRONT

kwartalnik literacko-artystyczny

Nr 3(3)  
2017

ISSN 2544-3070



PROZA

# Spis treści

## Proza

|                                                                                                                                                                                                                                                                        |     |
|------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Fundacja Kultury AFRONT .....                                                                                                                                                                                                                                          | 158 |
| Noty o autorach prozy i innych .....                                                                                                                                                                                                                                   | 157 |
| Sławomir Majewski – <i>Demonisia</i> (fragment noweli DANTE GONÇALVES) .....                                                                                                                                                                                           | 153 |
| Jacek Durski – <i>Okno</i> (fragment powieści) .....                                                                                                                                                                                                                   | 140 |
| Piotr Maur – <i>Proza życia</i> (krótkie prozy) .....                                                                                                                                                                                                                  | 138 |
| Radosław Wiśniewski – „Ostatnie widzenie znad zatoki” (proza) .....                                                                                                                                                                                                    | 128 |
| Grażyna Stachówna – „Wampir z bezprzewodową żarówką” (esej) .....                                                                                                                                                                                                      | 122 |
| Marcin Bałczewski – „Komiks węgierski w Polsce” (Jenő Rejtő, Pála Korcsmáros <i>Timof i cisi współnicy: 14-karatowe auto</i> , Tibor Cs. Horváth, Ernő Zorád <i>Miasto milczących rewolwerów</i> ) .....                                                               | 117 |
| Marcin Bałczewski – „Batman i Robin – mistrz i uczeń” (James Tynion IV, Scott Snyder <i>Wieczni Batman i Robin</i> ) .....                                                                                                                                             | 114 |
| Paweł Jaskulski – Antybohater w filmach fabularnych Andrzeja Barańskiego na przykładzie:<br>„Nad rzeką, której nie ma” i „Księżstwa” (esej) .....                                                                                                                      | 111 |
| Specjalnie dla kwartalnika AFRONT – „Zadzwoń, jak cię zabiją!”<br>Z Markiem Proboszem nie tylko o aktorstwie rozmawia Mirosław G. Majewski .....                                                                                                                       | 108 |
| Kamil Pietrzyk – recenzje muzyczne: Corruption – <i>Spleen</i> , Lunatic Soul – <i>Fractured</i> , Moonspell – <i>1755</i> , Septicflesh – <i>Codex Omega</i> ...                                                                                                      | 105 |
| Erazm Furman – „Afronty Furmana” – recenzje: Max Blecher <i>Zabliźnione serca</i> , Emil Cioran <i>Rozmowy</i> , Thomas Pynchon <i>Wada ukryta</i> ,<br>Jacek Hugo-Bader <i>Skucha</i> , Tom Hodgkinson <i>Jak być wolnym</i> , Charles Bukowski <i>O kotach</i> ..... | 101 |
| „Czytam głównie na kacu”. Z Erazmem Furmanem rozmawia Olgerd Dziechciarz ...                                                                                                                                                                                           | 95  |
| Andrzej Mleczko – galeria .....                                                                                                                                                                                                                                        | 94  |
| Olgerd Dziechciarz – „Fasolka po bretońsku, schabowy i próba kradzieży intelektualnej” (felieton) .....                                                                                                                                                                | 92  |
| Paweł Garwol – komiks .....                                                                                                                                                                                                                                            | 89  |
| Galeria Afrontu – Stanisław Cholewa .....                                                                                                                                                                                                                              | 85  |

# Fundacja Kultury AFRONT

---

Fundacja Kultury AFRONT zajmuje się kulturą i sztuką. Nie zamykamy się w granicach ziemi olkuskiej, aczkolwiek stąd się wywodzimy, rodzinnego miejsca się nie wstydzimy i chcemy, by nasza działalność wypromowała tutejszych twórców i ich dzieła w Polsce, a nawet poza jej granicami. Mamy zapał i chęci. Nie boimy się wyzwania, niegroźne nam wszelakie rzucane pod nogi kłody, bośmy przyzwyczajeni, a poza tym wiemy, że determinacją i uporem człowiek jest w stanie pokonać każdą przeszkodę. Jeżeli nie zgadzacie się ze stwierdzeniem, że kultura i sztuka są niepotrzebne, że są afrontem wobec takich ludzkich potrzeb jak pełny brzuch i pusta głowa, jeśli chcecie działać, zapraszamy do współpracy.

## Cele Fundacji:

1. Działalność na rzecz kultury i sztuki.
2. Wspieranie edukacji artystycznej i kulturalnej oraz wszelkich działań zmierzających do rozwoju i promocji szeroko pojętej kultury poprzez promowanie, inicjowanie i kreowanie działań na ich rzecz.
3. Podtrzymywanie tradycji narodowej, świadomości narodowej, regionalnej i kulturowej.
4. Działalność na rzecz wymiany kulturowej: promocji kultury polskiej za granicą, kultur innych narodów w Polsce, integracji europejskiej oraz rozwijanie kontaktów i współpracy międzynarodowej.
5. Wspieranie artystów, twórców i szeroko pojętej działalności artystycznej. Integracja twórców, działaczy, podmiotów kulturalnych i turystycznych oraz jednostek samorządu terytorialnego.
6. Inicjowanie i wspieranie działalności służącej rozwojowi turystyki.
7. Przeciwdziałanie poprzez kulturę i sztukę problemom społecznym i wykluczeniom.
8. Ochrona dziedzictwa narodowego i kultury materialnej.

## Wesprzyj nas!

Fundacja Kultury AFRONT

NIP: 637-21-98-591

REGON: 365383662

KRS: 0000636325

Nazwa banku: Bank Pekao SA

Numer rachunku bankowego: 08 1240 4966 1111 0010 7028 1339

Na rachunku prosimy o podanie informacji, na jaki cel wpłacają Państwo daną kwotę, np.:

- cele statutowe Fundacji,
- zakup kwartalnika „Afront” (nr...),
- zakup książki (podać tytuł książki wydanej przez Fundację).

## Fundacja Kultury AFRONT – kontakt:

32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7A

tel. 502 405 437, 668 118 267

e-mail: [afront.fundacja@wp.pl](mailto:afront.fundacja@wp.pl)

# Autorzy > Proza i inne

---

## Jerzy Alski (właśc. Krzysztof Ansilewski)

Urodzony w 1951 r. w Szczecinie. Absolwent Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, praktykujący lekarz. Do 1982 r. pracował w Klinice Kardiologii w Szczecinie, następnie przeniósł się do Mysliborza, gdzie mieszka i pracuje do dziś, aktualnie w medycynie otwartej. Członek Związku Literatów Polskich, pisarz, eseista, felietonista. Autor pięciu powieści, m.in. *Za dużo miłości*, *Prezent*, *Autonomia wyobraźni*.

## Marcin Bałczewski

Urodzony w 1981 r. w Łodzi. Prozaik, autor książek *W poszukiwaniu straconego miejsca* (2002), *Malone* (2010) oraz *Eva Morales de Nacho Lima* (2013). Tłumaczony na norweski, niemiecki, angielski i białoruski. Nominowany do nagrody Fundacji Kultury „Promocja najnowszej literatury polskiej” (2007 i 2008). Stypendysta „Daghy” Willi Decjusza (wiosna 2011). Prowadzi serwis Plaster Łódzki; sekretarz redakcji *Tygła Kultury*. Mieszka w Łodzi.

## Stanisław Cholewa

Urodzony w 1973 r. w Bochni. Absolwent Liceum Sztuk Plastycznych w Nowym Wiśniczu. Studiował na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w pracowni serigrafii prof. Wojciecha Krzywobłockiego oraz na Wydziale Sztuki Akademii Pedagogicznej w Krakowie. Dyplom uzyskał w pracowni linorytu adiunkta Jana Bujnowskiego w Akademii Pedagogicznej w roku 2001. Stopień doktora uzyskał w 2009 r. na Wydziale Grafiki ASP w Krakowie. Obecnie jest pracownikiem dydaktycznym Uniwersytetu Pedagogicznego w Instytucie Grafiki i Wzornictwa. Członek Krakowskiego Oddziału Związku Polskich Artystów Plastyków. Autor siedmiu wystaw indywidualnych oraz uczestnik wielu wystaw zbiorowych w kraju i za granicą. Zajmuje się grafiką warsztatową, rysunkiem oraz malarstwem. Przeważnie tworzy cykle, z których dotychczas zrealizował: *Zdarzenia*, *Sytuacje*, *Tu i gdzie indziej*, *Maszyny*.

## Michał Domagalski

Urodzony w Ostrzeszowie w 1982 r. Ukończył filologię polską na UAM w Poznaniu. Publicysta i krytyk. Od kwietnia 2015 do października 2016 redaktor prowadzący portalu Wywrota. Jako poeta debiutował w almanachu *Półw. Poetyckie debiuty 2014–2015*. Recenzje i wiersze publikował m.in. w „Fabulariach”, „Wyspie”, „Inter-”, „Helikopterze” oraz „2Miesięczniku”. Prowadzi na YouTube kanał Gęba Pełna Frazesów. Mieszka w Poznaniu.

## Jacek Durski

Urodzony w 1943 r. w Poznaniu. Artysta malarz, poeta, prozaik, rzeźbiarz. Członek „International Association of Art”. Prace plastyczne prezentował na 37 wystawach indywidualnych w kraju i za granicą, brał udział w 23 wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych. W 1981 został zakwalifikowany przez Kunstpodium do pierwszej dziesiątki awangardowych malarzy Europy Wschodniej, w 1988 otrzymał Nagrodę Okręgową ZPAP. W 1998 – Nagrodę Okręgową ZPAP 1998. Jest autorem płaskorzeźby-ołtarza *Poznań 56 – Katowice 81* w Kałkowie oraz współautorem *Prześwitu im. Strzeńskiego* w Lublinie. Mieszka w Sosnowcu. Książki: *Wśród Krzywych Luster* (ZPAP, 1997 oraz Książnica 1999), *Mariacka* (Książnica 1999), *Rok* (Nowy Świat 2003), *Wiersze* (Nowy Świat 2004), *Uderza Ziemia* (Nowy Świat 2006), *36 bytów* (Norbertinum 2014).



## Olgerd Dziechciarz

Urodzony w 1968 r. w Olkuszu. Poeta, prozaik, felietonista, blogger, dziennikarz. Autor ośmiu tomików poetyckich, m.in. *Ubyt* (1996), *Autoświat* (2007), *Galeria Humbug* (2009), *Mniej niż zło* (2011), *Przewrócona ósemka* (2014), zbiorów opowiadań: *Masakra* (2007), *Miasto Odorków* (2009), *poMazaniec* (2009), *Pakuska* (2014) oraz powieści: *Wielkopolski* (2012) i *Małopolski* (2013). Publikuje też pod pseudonimem – Tytus Żalgirdas (*MITYfikacje*, 2017). Artykuły, reportaże, felietony, recenzje i wywiady publikował m.in. w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”, „Więzi”, „Lampie”. Wiersze, opowiadania i fragmenty powieści zamieszczał m.in. w: „Akcencie”, „Odrze”, „Cegle”, „Toposie”, „Frazie”, „Śląsku”, „Ricie Baum”, „Arteriach”. Tłumaczony na języki: angielski, niemiecki i serbski.

## Erazm Furman

Urodzony za późnego Gomułki. Recenzent. Czyta wszystko, co upadnie mu w ręce, poza wezwaniami do „skarbowki”.

## Piotr Gajda

Urodzony w 1966 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Poeta, autor książek poetyckich *Hostel* (Łódź 2008), *Zwłoka* (Łódź 2010), *Demoludy* (Mikołów 2013), *Golem* (Mikołów 2014) i *Śruba Archimedes* (Łódź 2016). Krytyk muzyczny, współpracownik „Arterii” oraz Gazety Literackiej „Migotania”. Wiersze publikował m.in. w „44”, „Tyglu Kultury”, „Opcjach”, „Toposie”, „Frazie”, „Gazecie Wyborczej”, „Odrze”, „Cegle”, „Ricie Baum”, „Czasie Kultury” oraz w pismach internetowych, m.in. „sZaFa”, „Helikopter”, „Fragment”, w antologii łódzkich debiutantów *Na grani* (Łódź 2008) oraz w antologiach: *Pociąg do poezji. Intercity* (Kutno 2011), *Węzły, sukienki, żagle. Nowa poezja, ojczyzna i dziewczyna* (Kutno 2013), *Przewodnik po zaminowanym terenie* (Wrocław 2016), *Ani ziemia jałowa, ani obiecana / Weder wüstes Land noch gelobtes* (Dom Literatury w Łodzi, 2016). Laureat Nagrody Otoczaka 2014. Stypendysta Funduszu Popierania Twórczości ZAIKS w roku 2016. Jego wiersze przetłumaczono na język niemiecki. Prowadzi bloga Hostel – <http://pgajda.blogspot.com/>.

## Paweł Garwol

Urodzony w 1976 r. w Katowicach. Malarz i rysownik. Ukończył z wyróżnieniem szkołę Opus Art w Sosnowcu, zdobywając dyplom z projektowania wizualnego i przestrzennego. Jest stypendystą Marszałka Województwa Śląskiego w dziedzinie kultury. Jako artysta oprócz malarstwa tworzy formy przestrzenne, komiksy, para się też fotografią artystyczną. A tak w ogóle to „punk rocker na emeryturze”.

## Rafał Gawin

Urodzony w 1984 r. Poeta, konferansjer, reanimator kultury, sekretarka „Arterii”. Ostatnio wydał zbiór wierszy *Zachód słońca w Kurwidolach* (Łódź 2016), przygotowuje *Wiersze dla kolegów* (Skierniewice 2017). Mieszka w Łodzi, gdzie pracuje w Domu Literatury. Prowadzi blog: [gawin.liberte.pl](http://gawin.liberte.pl).

## Paweł Jaskulski

Doktorant Instytutu Polonistyki Stosowanej na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Współredaktor interaktywnego tomu *Różne oblicza edukacji audiowizualnej*. Autor rozdziałów w monografiach m.in.: *Filmowe oblicza sportu; Kultura rocka. Twórcy – tematy – motywy; Kultura rocka 2. Słowo – dźwięk – performance*. Publikował na łamach m.in. „Twórczości”, „Odry”, „Nowego Folderu” oraz portali historia.org.pl, o.pl oraz publica.pl. Współorganizator konferencji ogólnopolskich („O poprawie kina polskiego”; „Nolan”) i międzynarodowych („Edukacja filmowa i medialna w Polsce i świecie. Rozwiązania systemowe oraz studia przypadków”); współrealizator kursu „Jak przygotować projekt filmu dokumentalnego”. Należy do Polskiego Towarzystwa Badań nad Filmem i Mediami.

## Sławomir Majewski

Urodzony w Gdańsku, mieszka w Miechowie. Uczeń malarza-poety Mieczysława Czychowskiego i Bronisława Buniego Tuska, jednego z najwybitniejszych polskich ceramików. Debiut w „Radarze” (1975). Po wydarzeniach 1976 usunięty z Koła Młodych przy gdańskim ZLP. W latach 1980–1981 dzięki Lechowi Bądkowskiemu publikuje zbiory wierszy *Altamira* i *Schody* (częściowo skonfiskowane). Działacz Solidarności, internowany. Współpracował z Radiem Wolna Europa, Radio France International, Głosem Ameryki, CBS TV, podziemnymi Radiem Solidarność Gdańsk i Gdańską Agencją Informacyjną GAI. Bibliografia: *Altamira*, Wyd. Kontakt 1980; *Schody*, Wyd. Kontakt 1981; 1980–1981 publikacje w prasie solidarnościowej: „Dwutygodnik Kwadrat”, „Gazeta Jedność” i in. 1982–1989 publikacje w prasie podziemnej: „Tygodnik Wojenny”, „Prolet”, „OKOP”. Po upadku PRL ukazują się: 1992 – *Hrycwa*, Wyd. Litera; 2009 – *Antologia Bez Tytułu*, Wyd.

Goddam Agencja Artystyczna; 2013 – *Mój Gdańsk. Ruda i inne opowiadania*, Wyd. Marpress. Autor *Dziennika Znalezionego Pod Murem*, *Spotkania z Tarantino*, *Podręcznego Zestawu Déjà Vu*, *Hotelowej Kobiety*, *Torebki od Prady i esejów historycznych*, *Seks, Władza, Sława*. Pod pseudonimem „Sebastian J. Theus” napisał zbiór opowiadań *Casablanca*. Publikował w kwartalnikach: „Akcent”, „Migotania”, „PismoInter”, „Szafa”, „Arterie”, „Latarnia Morska”. Jego proza, w tym eseje nt. A. Camusa, S. Pepysa, N. Gwynne, Lady Hamilton i in. znajdują się w zbiorach bibliotek Narodowej w Warszawie, Library of Congress w Waszyngtonie, Stanford University Libraries, New York Public Library, University of Toronto Libraries, Chicago Public Library, University of Edmonton Libraries. Stały współpracownik Pisma Literackiego „Migotania”, portali [www.pisarze.pl](http://www.pisarze.pl), [www.tezeusz.pl](http://www.tezeusz.pl), redaktor „Magazynu Literackiego” [www.magazynliteracki.pl](http://www.magazynliteracki.pl).

## Piotr Maur

Urodzony w 1963 r. Przez lata związany z Krakowem, mieszka obecnie w Stanach Zjednoczonych. Opublikował książki: *siedemdziesiąt sześć* (1996), *28 i 5* (2002), *Bezmiar miłości* (2006), *Pogrzebowe obrzędy, miłosne ceremonie* (2010), *Po papierosy i zpowrotem* (2015). Wiersze tłumaczone na hiszpański, angielski, niemiecki, włoski, serbski, rosyjski.

## Andrzej Mleczko

Urodzony 1949 r. w Tarnobrzegu. Rysownik, satyryk, scenograf. Studiował na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Artystycznie debiutował w 1971 na łamach tygodnika „Student”. Jest autorem około 20 tysięcy rysunków i ilustracji. Jego prace prezentowano na kilkuset wystawach indywidualnych w kraju i za granicą, ukazały się one w ponad 50 książkach i albumach. Artysta zajmuje się również ilustracją książkową, grafiką i plakatem. W 2010 r. otrzymał Nagrodę Miasta Krakowa za wybitne dokonania twórcze w dziedzinie kultury i sztuki. W tym samym roku został laureatem Nagrody Kisiela w kategorii publicysta. W 2005 minister kultury Waldemar Dąbrowski odznaczył go Srebrnym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

## Jarosław Nowosad

Urodzony w 1970 r. Prozaik, krytyk, eseista, dziennikarz, z doskoku również poeta i tekściarz. Opublikował tomiki wierszy *Mogę być* (2006) i *Nic nie płynie* (2011) oraz tom opowiadań *Czarny chevrolet* (2013). Był w składach redakcji „Gazety Krakowskiej”, „Ziemi Olkuskiej” i „Kwartalnika Powiatu Olkuskiego”, pisywał dla „Opcji”, „Śląska”, „Frazy”, „Studium” i „Lampy”. Mieszka i pracuje w Olkuszu.

## Kamil Pietrzyk

Patrz noty poetów.

## Marek Probosz

Urodzony w 1959 r. w Żorach. Aktor, reżyser, scenarzysta, producent filmowy i pisarz. Debiutował na małym ekranie w serialu *Ślad na ziemi* (1978), rok później pojawił się w kinowej adaptacji powieści Emila Zegadłowicza *Zmory* (1979) w reżyserii Wojciecha Marczewskiego. W 1983 ukończył Wydział Aktorski w PWSFTviT w Łodzi. Jego scenicznym profesjonalnym debiutem była komedia Williama Shakespeare’a *Wieczór Trzech Króli* (1984) na scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Pod koniec lat 80. wyjechał do Hollywood i zamieszkał w Los Angeles. W 1993 roku ukończył wydział reżyserii filmowej w The American Film Institute w Los Angeles (Kalifornia, USA). Jest autorem wydanej w 2008 roku baśni *Eldorado*. Zagrał m.in. w filmach *Helter Skelter* (wcielił się tam w Romana Polańskiego, 2006), *Janosik. Prawdziwa historia* (2009), *Rewers* (2009), *Układ zamknięty* (2013). Zagrał tytułową rolę w spektaklu Sceny Faktu Teatru Telewizji *Śmierć rotmistrza Pileckiego* (reż. Ryszard Bugajski, 2006).

## Janusz Radwański

Patrz noty poetów.

## Grażyna Stachówna

Teoretyk i historyk filmu, profesor. Ukończyła polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. W 1994 w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskała tytuł doktora habilitowanego na podstawie rozprawy „Roman Polański i jego filmy”; w 2003 r. otrzymała tytuł profesora belwederskiego nauk humanistycznych. W Instytucie Sztuk Audiowizualnych Uniwersytetu Jagiellońskiego wykłada historię filmu powszechnego, analizę dzieła filmowego oraz krytykę filmową, prowadzi seminaria magisterskie i doktoranckie. Członkini Polskiej

Akademii Nauk w Komitecie Nauk o Sztuce. Autorka książek: *Roman Polański i jego filmy* (1994), *Wstydlive przyjemności, czyli po co – tak naprawdę – chodzimy do kina* (redakcja, 1995), *Niedyskretny urok kiczu: problemy filmowej kultury popularnej* (redakcja, 1997), *Kobieta z kamerą* (redakcja, 1998), *I film stworzył kobietę* (redakcja, 1999), *Leksykon „100 melodramatów”* (2000), *Niedole miłowania: ideologia i perswazja w melodramatach filmowych* (2001), *Polański od A do Z* (2002), *Autorzy kina europejskiego* (2003), *Autorzy kina polskiego. Tom 1* (współpraca z Joanną Wojnicką, 2004), *Władcy wyobraźni. Sławni bohaterowie filmowi* (2006), *Autorzy kina polskiego. Tom 2* (współpraca z Bogusławem Zmudzińskim, 2007), *Autorzy kina polskiego. Tom 3* (współpraca z Bogusławem Zmudzińskim, 2007), *Nie tylko Bollywood* (współpraca z Przemysławem Piekarskim, 2009), *Bollywood – prawdy i mity* (współpraca z Katarzyną Magierą, 2011). Mieszka w Krakowie.

## Radostaw Wiśniewski

Urodzony w 1974 r. w Warszawie. Poeta, krytyk literacki, współzałożyciel i redaktor naczelny kwartalnika „Red” (2006–2013). Absolwent UJ w Krakowie; ponadto studiował w Opolu i Toronto. Współzałożyciel i aktywny członek działającej w Brzegu grupy poetyckiej Stowarzyszenie Żywych Poetów. Był jednym z głównych twórców wydawanego przez tę grupę w latach 1998–2004 artzina „BregArt”. W latach 2002–2003 był stałym współpracownikiem pisma „Undergrunt”; w latach 2000–2001 naczelny i jedyny redaktor „Informatora Kulturalnego Opolszczyzny”. Od 2015 redaktor reaktywowanego artzina „Nowy BregArt”. Jest laureatem wielu wyróżnień i nagród literackich, między innymi Literackiej Nagrody Młodych im. Marka Jodłowskiego (1999), Ogólnopolskiej Literackiej Nagrody Młodych warszawskiego oddziału ZLP (1999), a także Nagrody Marszałka Województwa Opolskiego dla animatorów kultury (2008). Stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w roku 2004 oraz w roku 2016. Był inicjatorem akcji artystycznych pod hasłem „Poeci dla Tybetu” (w latach 2010 i 2015). Autor, m.in.: *Nikt z przydomkiem* (Undergrunt, Toruń 2003), *Albedo* (Zielona Sowa, Kraków 2006), *NeoNoe* (Fundacja Pogranicze, Sejny 2009), *Abdykacja – wiersze zaangażowane i nie* (Muzeum Witolda Gombrowicza, Wsola 2013), *Inne bluesy* (Galeria BWA Olkusz/Biblioteka „Frazy”, Olkusz 2015), *Psalm do św. Sabiny* (Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2016). Mieszka w Brzegu, pracuje we Wrocławiu.

AFRONT Kwartalnik literacko-artystyczny

Siedziba redakcji: 32-332 Bukowno, ul. Wiśniowa 7 A

tel. 502 405 437, 668 118 267

www.afront.org.pl, afront.fundacja@wp.pl

Olgerd Dziechciarz – redaktor naczelny

Agnieszka Zub – sekretarz redakcji

Jarosław Nowosad – redaktor

Okładka: Stanisław Cholewa, fragment grafiki

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania, redakcyjnego opracowania oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Teksty kwalifikowane są do druku wyłącznie na podstawie kryteriów czysto literackich. Redakcja nie zawsze i niekoniecznie w pełni podziela wyrażane w nich poglądy.

Nadsyłane do druku teksty i zdjęcia publikowane są nieodpłatnie.

Sławomir Majewski › Proza

# Demonisia

---

Fragment noweli *Dante Gonçalves*

## WSZYSTKO

Tamtego dnia nie pojechał na pogrzeb. W chwili, w której opuszczano ją do wilgotnej ziemi, stał na rozpalonym piasku, patrząc w morze. Jasne, że kochał matkę. I właśnie dlatego nie chciał uczestniczyć w czuwaniu nad otwartą trumną ani w złożeniu do grobu. Pomyślał, że jest odwrotnością Mersaulta z *Obcego* Camusa. Wprawdzie tamten matki nie kochał, ale na czuwanie i pogrzeb pojechał. Tak... A potem zabił tego Araba.

Zapalił papierosa i odnalazł w pamięci miejsce, w którym siedł z matką i Ewelina po tej samej plaży. W którym miejscu Ewelina weszła do wody? Tam? Nie, chyba dalej. Chyba tam, na wprost tych rokitników. Na pewno? Chyba na pewno. Matka miała sukienkę w różowe kwiatuszki i białą chustkę zawiązaną w turban.

Rzucił niedopałek, odwrócił się i poszedł w kierunku restauracji. Wszedł na taras, zamówił koniak i kawę. Spocony kelner uśmiechnął się wymuszenie.

– To wszystko, czy coś...?  
– Nie, nie, to wszystko, dziękuję.

Pomiędzy siwowłosą kobietą a szatynem siedzącymi przy stoliku tuż przed nim widać nic horyzontu. Siedzi dokładnie na wprost owego pomiędzy, patrząc na fale i wdychając zapach koniaku, szuka Eweliny. Moja mała siostrzyczka; zawsze roześmiane, złotorude, szczerbate nic. Pięć lat, trzy miesiące, dwadzieścia dwa dni. Piegowaty nos, fiołkowe oczy. Ile miałyby teraz? Dwadzieścia lat, trzy miesiące i dwadzieścia dwa dni. Rocznica. Kim byłaby dzisiaj, gdyby wtedy nie pociągnął matki za sobą, skowycząc o lodach i że już nie wytrzyma tego upału? Pobiegła za nim, tracąc małą z oczu. Kim byłaby dzisiaj? A jakie to ma teraz znaczenie...

Ojciec się wyprowadził.

– To twoja wina! – krzyczał do płaczącej matki. Zamieszkał u tej aktorki z variétés, Sylvie, z którą i tak ostentacyjnie żył od lat. – Nie, tato, to była moja wina. Moja i niczyja więcej. No, może trochę lodów. Lodów i tamtego upału. Światło wyprysnęło ze stali niczym długa, roziskrzona klinga, dotykając mojego czoła. Nagromadzony na brwiach pot spłynął mi na powieki, pokrywając je gęstym, ciepłym woalem. Moje oczy zaniewidziały pod tą zasłoną z łez i soli. Czuję już tylko uderzenia słońca na czole i lekko zatarty, świetlisty miecz wytryskujący z noża, który ciągle tkwił przede mną. Jak ognista szpada przebiegał mi rzęsy i ranił obolałe oczy.

Tragarze wynoszący z gabinetu ojca walizy, książki i meble. Na końcu trzy obrazy w ciężkich, złożonych ramach: „Pijani biesiadnicy w oberży”, „Słońce wschodzące nad Amsterdamem”, „Martwa natura z czaszką”. Szkoła flamandzka, siedemnasty wiek.

– To wszystko, proszę pana, czy coś jeszcze?  
– Nic więcej. To wszystko.

Drzwi zamykały się bezszelestnie, pożerając ojca i zapach fajkowego dymu, a on czuł niewiarygodną suchość w ustach. Trzask zamka, koniec. Widział tylko swoje sandały i brązowe skarpetki. Sandały i skarpetki. Nic więcej.

Obliczył, że mniej więcej za kwadrans będzie po pogrzebie. Na tle pagórka z wieńców i wiązanek grabarze szeptem podzielił napiwką, spocony ksiądz z ulgą wsiadł do samochodu, a mistrz ceremonii zapytał jego brata:

– To wszystko, proszę pana, czy może coś jeszcze?

Brat kiwnął głową, że tak, że to wszystko i że bardzo, bardzo dziękuję.

– Och, nie ma za co, proszę pana. Spełniliśmy tylko nasz chrześcijański obowiązek. Przykry obowiązek, no ale cóż robić, proszę pana, takie jest życie...

– Tak, tak, rozumiem. Ale mimo wszystko raz jeszcze dziękuję.

Uściskał sobie dłonie po męsku, uścisk będzie mocny, pełen służbowego zrozumienia z jednej a zmęczonego zrozpaczenia z drugiej strony. Odejdą w dwu przeciwnych kierunkach, chcąc to już mieć za sobą. Bo takie jest życie.

No, więc nie pojechał na pogrzeb, uznając akt grzebania za definitywne potwierdzenie śmierci kochanej osoby. Nie chciał tego. Skoro nie widział ziemi osypującej się na trumnę, matka wciąż żyje. Ustalił, że zapamięta ją taką, jaką widział podczas ich spotkania sześć lat temu. Kawał czasu. Tak, kawał czasu. Siedziała w fotelu pod platanem, okularami przeciwsłonecznymi maskując ślepotę. Siedział obok, trzymając w dłoniach jej pomarszczoną ciepłą dłoń.

– Jak w pracy? – zapytała, a on odpowiedział, że wszystko w porządku, i spytał, czy niczego jej nie brakuje. – Nie, nie brakuje mi niczego. No, może tylko telewizji. A co u ciebie?

Mówiąc, cały czas patrzyła wysoko, jakby stał, albo jakby zobaczyła coś na suficie. Miała nienaganną fryzurę, sznur bładoniebieskich perełek do ciemnoniebieskiej bluzki z crepe-de-chine.

– Wysyłają mnie do Argentyny, mam. Cóż robić? Taka praca...

Opowiedział historijkę, którą ułożył przed spotkaniem. Brzmiała przekonująco, upiółł nazwiska osób, które znała, i elementy tak banalne, że nie mogły budzić wątpliwości. Ucałował ją na pożegnanie, przytulił. To było w Dniu Matki. Miał wtedy szare mokasyńy i grafitowe skarpetki.

– Może jednak coś podać?

Chciał kelnerowi odpowiedzieć, że nie, że to już wszystko, ale się opamiętał.

– Tak, może jeszcze jeden koniak. Macie tutaj telefon?  
 – Oczywiście, proszę pana, naturalnie, że mamy. O tam, proszę pana.

Zadzwonił do Jeanne, mówiąc, że wróci samolotem koło siódmej.

– Przecież to twoja matka! – Jeanne powie to z wyrzutem, a on przytaknie, wzruszy ramionami, weźmie z lodówki piwo albo zrobi sobie drinka. Zostawi ją wzburzoną i będzie udawać, że czyta książkę. Oczywiście, nim się położą do łóżka, Jeanne jeszcze z dziesięć razy powtórzy:

– Przecież to twoja matka!

Kiedy zgaszą światło i będą leżeć w milczeniu, każde w swojej części samotności, wtedy on powie:

– Właśnie dlatego, Jeanne. Właśnie dlatego, że to moja matka.

Być może Jeanne będzie już spać, albo będzie udawać, że śpi. Być może dotrą do niego dźwięki zza ścian i zaokienne odgłosy usypiającego miasta. Znowu zobaczy cienie na suficie i znów przerazi go wizja, że umarł i zbudził się martwy w przestrzeni pełnej zapachu avocado i nagłówków świeżo drukowanych gazet piszących o śmierci kogoś, kogo nie znał. O nim.

Wtedy, w szpitalu świętego Alberta, matka umierającymi palcami zrywała hortensje z łąk pamięci, mówiąc coś o młynie nad rzeką i żurawich tańczących na łąkach. Jej wyschnięte ciało przypomniało mu mumię, którą zobaczył na pustyni Atacama, lśniący brązowy szkielet obciążony brązowym pergaminem. Patrzyła przez niego oczyma ślepej, poznając go, nie rozpoznając, myląc z kimś innym.

– Arlekin – powiedziała, a wtedy on się pochylił do jej ust. – Kto taki, mamo? – zapytał, a matka westchnęła i powtórzyła to zaskakujące słowo. Bezradnie rozłożył ręce i spojrzał na brzozy lasek i taflę jeziora. Arlekin? Młyn i żurawie – to rozumiem, wspomnienia z jej dzieciństwa. Mieszkała w pobliżu wielkiego młyna z wodnym kołem, a na okolicznych polach gromadziły się żurawie. No, to rozumiem. Ale skąd Arlekin?

– Arlekin – powiedziała raz jeszcze i umarła. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo była podobna do swojego brata, Leonarda. Wuj umarł na azjatycką gripę, którą zaraził się od niego.

– Zdrowiej szybko – powiedział na pożegnanie i pocałował go w spocone czoło. Pięć dni później koksownikami rozmrażano ziemię, żeby wykopać mu grób. „Zawinął się w trzy doby – pomyślał – a ona konała trzy lata”.

Zamknął jej powieki, splótł ręce na zapadniętych piersiach. No i co teraz? Zauważyć pielęgniarke? Lekarza? Nie, lekarza nie, pielęgniarke albo salową. Lekarz nie ma tu już nic do roboty. I zadzwonił do Bernarda.

Z holu zadzwonił do przyrodniego brata.

– Mój Boże... więc jednak! Taaak... takie jest życie... Słuchaj, ja się zajmę wszystkim. Wiesz, te formalności, papiery, firma pogrzebowa; rozumiesz? Zajmę się wszystkim. Wracaj do domu, słyszysz? Jak się czujesz?

– W porządku. To znaczy dobrze. No, wiesz... Dobrze.

– Rozumiem. Jasne, że rozumiem. Dobra, to ty teraz wracaj do domu. Te wszystkie formalności biorę na siebie, już tam jadę, słyszysz? Wracaj do domu, prześpij się. Trzymaj się. Jutro zadzwonię.

Nie zadzwonił przez kwartał, a kiedy zadzwonił, Eryk podniósł i bez słowa odłożył słuchawkę. Tak...

## PRZYJACIELE MŁODZIEŻY

„– Dobry Boże, chyba mi nogi odpadną!

Wstawił swoje umęczone buty do orzechowej szafki w przedpokoju równiutko, jeden obok drugiego, według niewidzialnej linii. Na szafce położył plecak z zamiarem wypakowania go, gdy tylko odpocznie. Zdjął prochowiec, strzepnął i zawiesił starannie na wieszaku, prostując najmniejsze zagniecenia; wsunął wieszak do szafy między inne prochowce. Na drzwiach szafy stolarz zamontował lustro wystarczająco duże, aby gdy tylko zechce, mógł obejrzeć całą swoją postać, więc dokładnie obejrzał całą swoją postać i pokręcił z niezadowolaniem głową. „Muszę iść do fryzjera, zarosłem”. Westchnął, jak uzdychała jego matka, gdy szydełkując przypatrywała mu się z niepokojem sponad rogowych okularów o szklach grubych jak denka musztardówek, upodobniających jej gałki oczne do monstrualnych bilardowych kul pożyczowanych na czerwono.

Kolejny raz westchnął, gdy niosąc zakupy do kuchni, stąpił w skarpetkach, czując chłód podłogi i niebawoma ulgę w palących stopach. Położył torbę na stole i klepnął się w czoło.

– Papierosy!

Wraca do przedpokoju, wydając z kieszeni płaszcza paczkę Cameli, widzi dłoń podciągającą lewą stopę wysoko na prawe udo tam, gdzie między falbankami lśnią gołe pachwiny – *Pokazać ci? Chcesz? Patrz!* – i zastanawia się: „No, kto to już do mnie kiedyś powiedział?” – bo ktoś kiedyś... ale kto? Kiedy? Cholera, nie pamiętam. *Do szybkiego zobaczenia.* Poczul lekki uzwód. „To ze zmęczenia i senności” – pomyślał.

Wrócił do kuchni, zapalił papierosa.

– Lo-li-ta, Nabokov... W którym roku? No patrz, że nie pamiętam! – Zdziwiony, że nie pamięta, bierze emaliowany czajnik, zdejmując pokrywkę opiera czoło o szafkę z talerzami i zastygła nad strumieniem wody dziarsko płynącej do czajnika.

– Jezu, ale mi się chce szczać! No zaraz, to w którym to było? Lolita, Lolita... W którym? Nabokov... A swoją drogą to cholernie ciekawe, że jak tylko pomyślę „Nabokov”, to mi wcale nie przychodzi Nabokov, tylko Romain Gary i te jego *Obietnice Poranka*, a nie Nabokov. Ciekawe, nie?



Ciekawe, bardzo ciekawe. A czasami Saint-Exupéry albo Camus. Camus i *Dżuma*. Ooo, Camus... Pod pułkownikiem Bastien-Thiry, panie! Uściskał mi rękę, panie! Palmy, Algieria, Oran, burnusy... Dżuma. I oazy. I daktyle z garbatymi wielbłędami. Czarny wielbłądzi pęcherz opuszczany do studni, najlepszy bukłak na wodę, papirusy, piramidy, mumie. *Dżuma*. Wspaniała, cholernie wielka rzecz. Ba, Camus! Pracował tam, miał łatwiej, a niby skąd ja tutaj mam brać pomysły? No a skąd brał Boccaccio? Boccaccio. Czemu nie Kobo Abe? *Kobieta z Wydm* albo te jego *Śpiące piękności*. Majstersztyk! Jak to się...? *Dom śpiących piękności* zdaje się. Nie nie, *Śpiące piękności*. *Śpiące* czy *śniące*? A mniejsza, cholera, to przecież Kawabaty, a nie Kobo! Wszystko mi się popieprzyło, zmęczony jestem. Do dupy jestem, bo stary jestem, ot, cała prawda! I to moje żalosne nazwisko... He he, jak Dominik powiedział? Że najlepsze nazwiska już zajęte? Jasne, na przykład Homer. Albo Szekspir, Tolstoj, Joyce, Hemingway. No i Nabokov. Nieźle zarobił na książce. No i na filmie też nieźle zarobił. I każdy się zastanawia, czy Vladimir Vladimirovich był pedofilem i lubił młode i nieobrośnięte, no, bo skąd mu taki pomysł? Jak on to...? Między dziewiątym a czternastym rokiem życia zdarzają się dziewczynki, które pewnym zauroczonym nimi podróżnikom, starszym od nich dwa razy albo wielokroć więcej, ukazują swoją prawdziwą naturę nie człowieczą lecz nimfią, czyli demoniczną, i tym stworzeniom proponują nadać imię nimfetek. A Byron? A niby dla kogo jego lordowska mość raczył napisać wiekopomne *Moje życie, kocham cię*? Dla dwunastoletniej panienki. Jak widać, był nie tylko biseksem, ale i pedofilem, i jak widać, wcale tego nie ukrywał, bo ukrywać nie musiał, jak widać. W końcu był lordem i poetą? Był. A ćpunem i rabusiem na greckich gościach był? Był. I pijakiem. Jeden grzech więcej, jeden mniej, co za różnica? Kogo w tamtych czasach obchodziła jakaś nieoułosiona angielska cipa? No, a choćby Lewis Carroll i ta jego Ośmioletnia Kochaneczka z Krainy Czarów. Platonicznie? Noo, oczywiście, że platonicznie! Platonicznie, a jakże, he he. Ojezu, woda!

Zakręcił kran, odlał z czajnika trzy czwarte wody, ze szczękiem nałożył pokrywkę. A ta fotografia, na której ośmioletnia Alicja całuje ujęcia Karolka? Widać, jak ta mała otwiera usta do pocałunku z językiem, ale niektórzy mówią, że to fotomontaż. Może fotomontaż, a może nie fotomontaż, bo niektórzy mówią, że nie fotomontaż i mówią, że jak fotomontaż, no, to kto ma te dwie oddzielne fotografie, z których zmontowano jedną? Nader roztropne pytanie. Albo te zdjęcia, które osobiście robił dziewczynkom pan pisarz i matematyk w jednym. Cała kolekcja roznieglizowanych dziewczątek. Podobno fotografował je na golasa za zgodą mamusi, tatusiów, cioteczek i stryjasków, bo podobno ujmowała go, *och!*, ich dziecięca, *och!*, niewinna, *och!*, niewinność, *och!* No jasne, mój panie! I o to w tym wszystkim chodzi, o tę pieprzoną niewinną niewinność, o najłatwiejszą do zdefflorowania rzecz, mój panie. Platonicznie, a jakże! A co, miał powiedzieć, że nie platonicznie i że chciałby je przerznąć? Wiktorianie urwaliby mu jaja i powiesili za szyję, żeby wisiał i umarł w kwiecie swych grzechów. *Śluchaj! O, słuchaj!* Blanki Elsynoru. Dobry sobie, platonicznie. No, ale z drugiej strony, który facet, ale tak z ręką na sercu, który facet mógłby powiedzieć, że nigdy, ale to nigdy nie pomyślał o przerznięciu, albo choćby tylko o wymacaniu takiej młodej piczki? Nie przysięgną na grób matki, że nie, o nie, ja nigdy! Ani na grób kota nie przysięgną. Panie prokuratorze, ja? Cóż za obu-rza-jące pomówienie! Nie przysięgną. A ja? A skąd u mnie pomysł na taką powieść? No, więc powiedzmy, że po obejrzeniu fotografii tej dziewczyny, Divina la, Dante Alighieri. Stąd.

Powiedzmy, że pod ich wpływem. I po tej opowieści Stelli pijanej w cztery dupy: *a wiesz? Jak miałam czternaście lat, przyjechał do nas stryjek. A żebyś ty widział, jaki był przystojny! I poszliśmy nad jezioro, a stryjek: „No, mała, weź i rozbierz się! No, nie wstydz się stryjasku!”*. I że jest gorąco i nikt nie widzi. „No, sama popatrz, kogo tu widać? No, nikogo”. No i nikogo nie było widać, to się rozebrałam, a stryjek: „tylko broń Boże nie mów nikomu!”. No, żeby nie mówiła nikomu. I rozebrał się. No, a potem... Takie tam, srata-tata... Albo dziewczyna ma bujną wyobraźnię pożądań niedokonanych, albo rzeczywiście zagrała stryjcowi na flecie prostym, jak tyle innych przed nią. A, i jeszcze Hubert o tej kurewce w Marsylii. I to wszystko? Powiedzmy, że wszystko, ale nie przysięgnę na grób kota. Podsumujmy: fotografie tej gołej dupy, wspomnienia Stelli i Huberta. Wszystko? Wszystko. Nie, nie wszystko. A tych kilka nocy z Catherine? Wepchnąłem je do szafy z resztą moich upiórów. A musiałem? Nie, nie musiałem. Nie musiałem się od niczego odżegnwać.

Bawelnię, bladorożowe dziewczęce figi w małeńkie krwistoczerwone serduszka i skarpetki w takie uciészne owieczki, a oczekiwała jak nieszczelny kran. A to jej: *Już będę grzeczna, tatusiu...* Tatusiu! Cholernie ciekawe, że one zawsze szukają swoich tatusiów w kutasach obcych, starszych od siebie facetów, jak suka Lassie szukała swojego chłopczyka Joeya. Tak... Naprawdę była śliczna z tymi włoskami w pszczołki nad różowymi uszkami. Klęcząc i obciągając mi, patrzyła mi w oczy – *już będę grzeczna, tatusiu* – i uśmiechała się zalotnie. Zalotnie? Wyzywające kurewstwo w każdym z jej nieletnich kurwich oczu. I ten zapach na moich palcach: hormon? Rozejrzał się po kuchni.

– Zapałki, zapałki... A gdzieżesz ja je...? O, są! I kto to dzisiaj używa jeszcze zapałek? Tylko ja i Buszmeni? Muszę kupić tę... Jak to się? Pino? Piro? Jak...? Pizo? Pizoelektryczną? Nie, piezo, piezoelektryczną. Kto wymyślił to piezo? Brzmi zupełnie jak pizda. *Już będę grzeczna, tatusiu!* Zalotnie i zachęcająco. Pizda Catherine ciekająca jak nieszczelny kran, wepchnięta do szafy między upiory i spłowiałe wieńce z napisami na szarfach *Tylko Nie Mów Nikomu!* Różnica wieku między nami była wprawdzie niewielka, ale, dobry Boże, gdyby tak mama się dowiedziała! Tak, koniecznie kupić. Pizdaelektryczna. Och, co za bzdury!

Zapałił gaz i ustawił na średnim palniku gazowej kuchenki emaliowany beżowy czajnik zdobiony wizerunkami pięknego, czerwonego homara, krewetki, wesołych rybek oraz innymi motywami frutti di mare. Czajnik wypełniony tylko w jednej czwartej zaczął się rytmicznie kiwać, postukując denerwująco, wkurwiając go niemiłosiernie tym postukiwaniem, więc podniósł go i ustawił równiutko. Na blacie kuchennego stołu postawił jedną szklankę żaroodporną pokrytą kalkomanią przedstawiającą bukiet polnych kwiatków, położył dwie małe łyżeczki od herbaty, blaszaną puszkę tabaczkowego koloru pełną suszonych liści czerwono krzewu *Aspalathus linearis*, które odpowiednio zaparzone smakowały wybornie, o niebo lepiej od takiej czarnej, zwykłej herbaty, a które nauczyła go zaparzać panna Sara, ochoczo ucząca go afrikaans, kiedy przyjechał do słonecznej Republiki Południowej Afryki, a potem do Namibii, żeby pochować przyjaciela-samobójcę, z którego żoną sypiał w Paryżu.

Postawił mały ceramiczny pojemnik w kolorze kobaltowym, pełen brązowego trzcinowego cukru, którym zawsze, ale to zawsze sładził herbatę,

a właściwie wszystko sobie nim słodził, jeśli już słodził, bo innego cukru nie lubił. No, może nie to, że nie lubił, tylko tak przez wszystkie lata przywykł do tego trzcinowego brązowego cukru, który nauczył się spożywać w słodkim towarzystwie panny Sary, kobiety niebawale wykształconej, nadzwyczaj szykownej i nad wyraz eleganckiej, że teraz za nic, ale to za nic nie umiałby się przełamać i skonsumentować tego z buraków cukrowych, albo tego sypkiego jak warzona sól, też z tych odrażająco brudnych buraków, brr!

Więc jedną łyżeczką od herbaty wysypał jedną łyżeczkę Rooibos do szklanki z kalkomanią w kwiatki. Jeszcze. Wystarczy? Jeszcze odrobinę. O, teraz wystarczy. A drugą łyżeczką od herbaty nasypał na listki Rooibos dwie łyżeczki tego swojego ulubionego, brązowego, wysmienitego trzcinowego cukru, a potem dosypał jeszcze niecałe pół, bo lubił słodko, a nawet bardzo słodko. Kiedy czajnik zagwizdał „wuuuuuuuuu!”, wyłączył gaz, odczekał trzy minuty, jak uczyła go panna Sara, i zalał listki, potem delikatnie zamieszał, a potem starannie umył obie łyżeczki od herbaty, a jeszcze potem bardzo starannie wytarł je i odłożył do szuflady, do specjalnego drewnianego pojemnika, w którym od zawsze było miejsce starannie umytych i wytartych łyżeczek. Chwilę później schował puszkę z Rooibos do szafki, gdzie trzymał inne puszki z Rooibos, obok ustawił kobaltowy pojemniczek z tym swoim ulubionym brązowym cukrem, bo porządek zawsze i we wszystkim musi być, jak mawiała jego nieboszczka matka, Panie świeć nad jej upierdliwą duszą. Chyba miała w sobie coś z Niemry. Amen!

Kiedyś zobaczył ją stojącą nago przed lustrem szafy. Z tragicznie gorzkim smutkiem patrzyła na swoje ciało Jokasty Porzuczonej, uwiędłe jak wyschnięta jarzyna, i płakała, szepcząc „Boże, przecież nie mam nawet czterdziestki!”. Jeszcze teraz słyszy wyszlochany szept i myśli, że przecież mogła po prostu pójść z kimś do łóżka, dać się zerznąć jak każda normalna baba, a wtedy jej życie i jego kąpiele wyglądałyby inaczej. „I moje sny wyglądałyby inaczej” – myśli, ale po chwili myśli: „A co ja tam wiem? Ech, gówno wiem... Jak się tak człowiek zastanowi, to nic nie jest takie proste, jak się wydaje, nie?”. Idzie do pokoju. Stawia szklankę z herbatą na korkowej podstawce na prawo od maszyny do pisania. Wraca do kuchni po wódkę. Wchodzi do pokoju, zdejmując nakrętkę i przymykając oczy, z zadowoleniem wacha wyłot szyjki. Odurza go 38 procent wielokrotnego destylowania. Dopełnia alkoholem szklankę z gorącym Rooibos i siada wygodnie w tym wygodnym, starym fotelu wyściełanym zielonkawym, wytartym pluszem, jedynej pamiątce po Mirelle, jeśli nie liczyć jej fotografii, tej w owalnej ramce, wiszącej nad łóżkiem, albo zielonego puloweru, który zrobiła dla niego z tej swojej starej spódnicy, który leży tam, w szafie, bo czuje dziwny opór przed tym, żeby go ot, tak po prostu wziąć i po prostu wypieprzyć w jasną cholerę na śmietnik. No tak, łatwo powiedzieć: wypieprzyć w jasną cholerę na śmietnik, ale jak się tak człowiek zastanowi, to nic nie jest takie łatwe ani proste.

Wypił spory łyk i odstawił szklankę na korkową podstawkę. Zamknął oczy i wywołał w pamięci pokój, który zajmował w drewnianym domu na przedmieściu Johannesburga u panny Sary. Widzi jej twarz, a później materializuje mu się jej nagie, wspaniałe, duże, białe i piegowate ciało, jej szeroko rozpostarte tłuste białe uda i rubinowe, prawie czerwone włosy łonowe i widzi gołą pijaną kuzynkę Elizę tam, w kamiennej stodole

pod Alpami hollo-jorli-jiii na sianeczku, sianie, w zapachu wysuszonych chabrów, maków i koniczyzny, jak na czworakach z wypiętym białym dupskiem sunie tyłem jak rak, że hollo-jorli-jiii! Z glinianej okaryny, którą dostał od wujostwa, krople zimnej wody kapały mu wprost na kolana. Hollo-jorli-jiii? O, matko!

Wstaje, żeby odnieść szklankę do kuchni, wytrząsa paprochy do kubła, szklankę myje i wyciera do sucha starannie, odstawia między inne szklanki, wyciera do sucha i połyksu zlew, rzut oka: dobrze. Idzie do kibla. Wszedł i z przesadną uprzejmością kiwnął głową siwej głowie wyglądającej z okna na wprost. Gdyby ta stara pizda mogła, to by mu ten uścibski nos wsadziła w dupę. Poczuł, że ooo, bardzo chce mu się łać, a chce mu się łać od chwili, jak tylko nalewał wodę do czajnika. Nie, nie, już na schodach mu się chciało i rytualnie pomyślał: „no i co za zboczony kutas wymyślił takie wielkie okno w kiblu, że nawet w kiblu człowiek nie ma odrobiny prywatności? A tę świeczkę mogłem odnieść”. Podniósł klapę.

– Mam! W sześćdziesiątym drugim, Kubrick! Kubrick, na podstawie scenariusza Nabokova. James Mason jako Humbert Humbert, a w roli matki ta, jak jej było? Cholera, no, jak jej było? Napiął przeponę. Sisters? No, ta blondyna w wyblakłym angielskim typie... Jeszcze kilka kropli. Piiiiinters? Siiiiisters? Wintersss? Czeka, czeka, zdaje się, że... Bo Lolite zagrała Sue Lyon, tego się nie zapomina. Ostatni wysłtek. Mam, to była Winters! O tak, Shelley Winters, u! Winters? Winters... Jak moja konsjerżka po angielsku, ciekawy zbieg... A Peter Sellers jako Clare Quilty? Boski, chociaż Frank Langella w tej roli był chyba bardziej przekonywający. I wstrząsający. Bardziej dramatyczny. Ekspresyjny i...

Strzepał, schował nie zasuważąc zamka, umył ręce, przygładził włosy na potylicy i podszedł do wanny. Odkręcił kurki, żeby wyregulować temperaturę, dobrze, nie za ciepła. Ekspresyjny i jakiś-taki... sceniczny.

Siedząc na krawędzi wanny, rozbiera się powoli, rzucając na klapę od kłozetu koszulę, krawat, podkoszulkę, spodnie, skarpetki i myśli o tym, że znowu schudł, ale niewiele, najwyżej jakieś dwa, trzy kilo. Najwyżej. Może troszkę więcej? Spuchnięte kostki? Nic dziwnego. No patrz, mam ciemne kłaczki pod paznokciami. Aaa, to nie brud, to nitki ze skarpetek. Muszę przyciąć paznokcie. I włosy. Przeczesał palcami fryzurę, patrząc do lustra. Widzi odbicie tej starej z naprzeciwnika. Gapi się, jakby nie widziała gołego faceta. Może nie widziała? A może widziała, tylko zapomniała? Prukuwa ma ze sto lat. Na pewno nie pamięta, którym końcem się wkłada.

Zakręcił kurki, podniósł nogę, wszedł do wanny i zanurzył się z westchnieniem ulgi oooooooo i poczuciem bezgranicznego szczęścia

– Oooooooo... No, tego mi brakowało.

Przymknął oczy i zanurzył się po czubek brody, ooooojezu, tak! Katmandu, Delhi... brudne dzieci krowy gówna pawie w locie sitar Hari Kriszna tygrys... tygrys? tygrys. chude agresywne psy szczerbate kurwy w zasranych bramach brudne dzieciaki kąpiące się w ściekach święte wody Gangesu obmywają wrzody pątników niedopalone ludzkie zułoki wzdęte ścierna zuwierzat płynących pospołu leniwie ach jak przyjemnie kołysząc się wśród fal sfraternizowane przyjemnie w leniwym nurcie spienionym od-

chodami szamb i kanalizacji które z grubych rur leniwie przyjemnie srają bez żenady prosto między kasztanowe przyjemnie uda dziewczyn leniwie

myjących przyjemnie cipy i rozbawione przyjemnie leniwie dzieci oto co znaczny usrać się na ludzi! o tak właśnie tego mi brakowałoooooooooo...

## TEORIE LITERACKIE

Gapiąc się w zaplnięte deszczem okno, siedzi przy biurku w granatowym kąpielowym szlafroku. A miało nie padać. Cieszy się z niespodziewanej nawałnicy. Powietrze jest czyste, przesycone zapachem świeżo skoszonej trawy, wpływającym przez uchylone okna. Kąpiel i drzemka w stygnącej wodzie dodały mu siły i wigoru. Wspomina, jak niespełna miesiąc temu w mieszkaniu Huberta i Moniki przy ulicy Lepic dyskutował o literaturze. Dyskutował? A co to była za dyskusja? Co najwyżej monolog, Marguerite. No tak, Marguerite tak, ją interesowało. I Monikę. Ale Monikę z powodów, które u niej tkwią niżej pasa, intelektualne organy, och, recytuj mi Wergilego! Och, teraz, teraz! Cała miękka i soczysta jak przejrzałe mango. Wariatka. Wariatka, ale namiętna jak tornado. I zawsze ochocza. A wtedy w lasku, pamiętasz? Panie! Oparta czołem o brzozę rozerwała w kroku rajstopy i wypinając tyłek charczała o rany, pieprz mnie! pieprz mnie! Oranyboskie, recytuj! Szkarłatne liście w jej włosach i wilgotny piasek między udami. Gdyby nie ta jej egzaltacja... A swoją drogą ciekawe, czy Hubert...

Hubert postawił kilka flaszek wina, gości kilka flaszek whisky i wódki, ktoś przyniósł wiklinowy koszyk warzyw i owoców od jakiejś ciotki ze wsi w Prowansji. Eryk pił wódkę i pogryzał kanapki z pomidorem, polską kiełbasą i ogórkami, a dokoła gawędziło, śmiało się, plotkowało stadko półpijanych ludzi rozmaitej proveniencji, na przykład ten handlarz pakistańskimi skórami, Turek. Turek, a nie wiedzieć czemu z Danii. Albo tamten Murzyn-albinos, perkusista z Guineji Bissau z kochankiem, zasuszonym ascetycznym Żydem, pejsatym znawcą Kabały i Szekspira. Albo milcząca piękna shemala z Tajlandii z chudą, australijską kochanką, pieśniarką country o cyczach Dolly Parton. No i Ryszard, malarz-symbolista, polski emigrant o twarzy głodnego wyżła i spuście Niagary. Wycisnąłby sok z psiego gówna, gdyby w nim zwęszył alkohol. Ale kiełbasę przyniósł wspinała. Tylko ta jego flama! Anorektyczka w półprzezroczystych szarych legginsach w złote kaczuski. Była bez majtek, więc Bo-że niemiłosierny! cipa na wierzchu, a jak się schyliła po tartinkę, mogłeś podziwiać zmarszczony guzik jej dupy. Artysta z czymś takim?

– Co mnie obchodzi sztuka? Ryszarda obchodzi sztuka, a mnie obchodzi forsa, rozumiesz?

Prostaczka. Może i prostaczka, ale w przedpokoju wziąłeś od tej prostaczki karteczkę z telefonem? Wzięłem i co z tego? Czy Rysiek wie? Wiem, że wie. Hubert pewnie też. A, mniejsza. Oczywiście, jak tylko się spił, zaczął się wymądrzać, że w powieściach kryminalnych mordercę zawsze poznajemy na końcu, a w prawdziwym życiu? A w prawdziwym życiu z naszym mordercą śpimy, jemy sznyce, chleb, pijemy wino, wodę i wódkę. I z mordercą kopulujemy. Miano mordercy, którego imię cni autorzy zdradzają nam na ostatnich stronicach swoich kryminalnych powieści, w realnym świecie poznajemy w tym pierwszym błysku pogardy i znie-

chęcenia, które dostrzegamy pewnego dnia, a skierowanym przeciwko nam przez naszych najdroższych. Uwiercie mi na słowo, to spojrzenie jest wyrokiem śmierci, a rodzaj egzekucji oraz czas i miejsce kaźni pozostaną dla nas nieznanne. Jak i to, czy poprzedzone zostaną długo lub krótkotrwałymi torturami, wymyślnymi niczym szlachetna sztuka interogacji malajskich piratów.

– Kochani, niepewność! Niepewność to jedyny pewnik, na którym winniśmy się oprzeć, jak utrudzona kurwa wspiera się o latarnię: nie-pew-ność!

Jak utrudzona kurwa wspiera się pewnie o niepewny szklany stolik, żeby nalać sobie wódki, dzisiaj jedyną pewnej rzeczy.

– W powieściach autorzy wysnuwają wątki swoich historii z kłębka, jak Tezeusz purpurową nić owczej wełny z moteczka uroklivie naiwnej panienki Ariadny, prowadząc czytelnika za rękę wzdłuż pracowicie wytyczonej przez siebie linii, wiodącej dokładnie od punktu A, dokładnie do punktu Zet. I nie wydeptują przy tym żadnych pobocznych ścieżek, nie odwiedzają zakazanych ślepych zaułków cuchnących oddechem morderców, barwicznymi tanich kurew i moczem bezdomnych pijaków, nie! Oni w ogóle nie napotykaliby żadnych korytarzy niespodziewanie wiodących ich bohaterów, a wraz z nimi czytelników, do miejsc i ludzi niespodziewanych, a w dodatku ich powieści kończą się ostatecznie wraz z postawieniem finalnej kropki, choć autorzy awizują czytelnikom, że bohaterowie żyć będą daleko poza ową finalną kropką.

Milczenie. Więc łapczywie dopija wódkę i patrzy uważnie na wszystkich, jakby wąpił w ich obecność.

– Kochani, w życiu nic się nie kończy ostatecznie; każdy nasz krok wiedzie do ścieżek pobocznych, motając nas od ślepych zaułków pewności ulotnych do rozwidlonych jak język gada labiryntów niepewności i wieloznaczności. Każdy nasz krok wiedzie do miejsc i ludzi niespodziewanych, ale, jakkolwiek byśmy postąpili, postąpimy dokładnie według nieubłaganego klucza-przeznaczenia: gdy postąpisz tak, stanie się tak. A jeśli nie postąpisz tak, tylko tak, wówczas stanie się to, to i to, bo inaczej się stać nie mogło. Patrz: Edyp. Patrz: Jokasta. Szukaj pod: Ananke. Fatum. Dlaczego? Odpowiedz w jednym: bo nie inaczej. A koronnym świadkiem słuszności mojego wywodu niechaj będzie trzewik każdego z tutaj zgromadzonych, którzy krocząc jakiegokolwiek dnia w dowolnym kierunku, wkroczyli niespodziewanie w psie, krowie czy kocie gówno i to wtedy, gdy najmniej się tego spodziewali... Zapamiętajcie dobrze: A-nan-ke. Dicte!

Patrz na niego w niepewnym, zdumionym, niecierpliwym milczeniu, aż nagle jakiś ktoś z ulgą:

– Świetnie, stary!  
A reszta:  
– Masz rację, stary!  
– Stary, brawo!  
– Powinieneś wyklądać literaturę na uniwerku.

Tu i tam rozlegają się oklaski i nietłumione westchnienia ulgi i raptem inny ktoś odpala lufkę, a jeszcze inny włącza magnetofon, nagle wszyscy

zaczynają tańczyć, pisać, hopsać i czaczać. Czekają tylko na kubańską kongę, trzy kroki i tupnięcie. Cięcie! Kurtyna! Adieu!

Wrócili przed północą i od razu poszli do łóżka. Kochali się krótko, z czułą zawziętością, a potem Marguerite zasnęła z dłonią pod policzkiem. Jak dziecko, pomyślał, patrząc na nią, a potem długo patrzył w sufit, po którym pełzały szare cienie topoli.

## BARDZO NIEGRZECZNA DZIEWCZYŃKA OJEE!

Siedzi przy biurku, podpierając brodę na dłoni, za oknem dogasa szary deszcz, na parapecie zmierzwiony gołąb wtula łebek w pióra.

– Psiakrew, miałem zadzwonić do Stelli!

Skrzypnięcie sufitu coś mu przypominało: Lolita! Uda. Pachwiny. Trzynastoscie? Góra czternaście. Ale na pewno nie więcej. Mniej może, ale więcej nie. Znieruchomiał nad telefonem, wyobrażał ją sobie tutaj nagą na futerku przed kominkiem. Zimą trzeba by napalić, myśli. *Oby była sroga zima... La lala lala...* Albo tam, na kanapie.

– Rozbierz się, kochanie, i połóż o tu, na futerku... – A ona cudownie odegra zaskoczoną: – Ojej, proszę pana! – Już słyszę to *Ojej!* Na pewno dawno przerżnięta, bo przecież ta dzisiejsza...

Wykręca numer, a po niecierpliwym wysłuchaniu kilku sygnałów, z irytacją odkładając słuchawkę, patrzy na zegarek. No i gdzie ona się podziewa, łązi po sklepach? Do tej pory? Niemożliwe. No nic, później. Teraz do Marguerite. Po trzech sygnałach słyszy jej głos, więc uśmiecha się, opiera wygodnie i przymykając oczy, mówi:

– Witaj, kochanie! No, nareszcie jestem. Tak, strasznie tęskniłem, strasznie.

Słucha odpowiedzi.

– Rozumiem, dobrze, wpadnę wieczorem, pa!

Bębniąc palcami w biurko, patrzy w okno, widzi Marguerite idącą jakiś rok temu promenadą w Antibes i tłum facetów oglądających się za jej długimi nogami i wypiętym tyłeczkiem, jak to było z Catherine? O tak, to jest warte opisanie, zdecydowanie! Zdecydowanie zgłodziłem.

Zdecydowanie głodny idzie do kuchni, wyciąga bagietkę, sery, duńską margarynę i pomidory. O, z małą Catherine to była całkiem inna bajka, miała dziecko z tym przyszczytym z sąsiedniej klatki, zawsze w dzinsowym komplecie, pomocnik w rzeźni, czy gdzieś tam. Kroi bagietkę na cztery równiutkie części. Październik? Nie, nie październik, początek września. Jej jaskrawożółta mini, strażacka czerwień rajstop, karmazynowa bluzeczka, a pod nią te jej spiczaste sucze cycy z fioletowymi, wielkimi jak spodki brodawkami. Cholera, ile ona wtedy miała? Ale dokładnie... Zastyga

z uniesionym nożem, a margaryna z plaśnięciem opada na blat: PLASK! Z pasją rzuca noż.

– Żesz kurwa! Że toto musi latać po całym stole! Chyba wrócę do masła.

Zebrał nożem margarynę, dosmarował bułkę. Teraz nakłada sery, talarki pomidora i cebuli, pięknie. Posolił i popieprzył. Pewnie, wrócę do masła i będę czekać rok, nim rozmarznie.

Niesie do pokoju talerzyk i wraca po herbatę, a potem wraca z herbatą do pokoju. No właśnie, ile dokładnie miała, czternaście? Coś koło tego. A ja? No zaraz, policzmy... Skoro ona wtedy miała... No, to ja wtedy... Przelicza wzrokiem rozstawione palce, dwadzieścia cztery? Dwadzieścia sześć? Tak, dwadzieścia sześć, albo coś koło tego. Patrzy na kanapki. Albo coś koło tego. Ta jej matka była dobra: córeczko, radź sobie! I adieu-Fruzi, pooooszła w świat z jakimś fagasem, zostawiając w mieszkaniu małą dziewczuszkę rozdętą jak balon. Wejście było od podwórka, pierwsza klatka po lewej stronie, mieszkanie na pierwszym piętrze, też po lewej, dokładnie nad warsztatem tego jublera. Jublera czy zegarmistrza? Grawera? Grawera, jublera i zegarmistrza, człowieka renesansu z cyklu e pluribus unum. Stary, pomarszczony Alzatczyk w baskijskim berecie na łysej pale. Ponoć mason. Śmierdział podłymi algierskimi cygaretkami. Mason i pedał. A jak zacmokał z powątpiewaniem! A jak obracał w palcach, potrząsał przy uchu, badał pod lupą, mówiąc:

– Nie, nie, to jest gówno, proszę szanownego pana. Więcej roboty niż to warte.

Ale w końcu naprawił mi tego Pateka. Miał zaledwie dwucyfrowy numer. Więcej roboty niż. Pieprzony cwaniak, pewnie myślał, że mu sprzedam za psi grosz. Patek gówno wart! Łajza. Szkoda, że mi przypadł. A co mi nie przypadło? A ta jej mała miała ile? Nie pamiętam imienia. Miała ze dwa? Chyba. No, to Catherine czternaście. Uuliła i uściła małą luli-luli i zaczęła się rozbierać tak szybko, jakby się jej paliło w majtkach. Kołyszę tymi spiczastymi cyckami, sutki z fioletowymi brodawkami jak spodki, i jak pobożna orantka pada na kolana.

– Ojezu, daj mi go zaraz! No wyjmuj, szybko!

Więc on rozpina w pośpiechu pasek, guzik, rozporek, ściąga spodnie, slipy,

staje nad nią, ona otwiera żarłoczne usta piranii, a tu jak nie pieprznie dududzon stojących obok dwu kościołów dwójga wielkich świętych – Józefa i Elżbiety:

**BARAM!**-baram!  
Baram!-**BARAM!**

Nie grzeszyć więcej? Ooo, chciałaby nie grzeszyć więcej, ale będzie grzeszyć więcej. Będzie grzeszyć, że *hollo-jorli-jiii!* Tak była napalona, tak była napalona, że ociekała jak nieszczelny kran, no, tak była napalona! I ten żrący śluz i zapach na moich palcach, słodkomdłący. Hormon? Feromon. Feromon? Jaki feromon, przecież feromon nie ma zapachu, głupku, hormon. *Ojezu, daj mi go zaraz!* Myślałem że go odgryzie, przeżuje

i połknie na tej kanapie, a obok nas dwa wesołe, pluszowe niedźwiadki i zezowata lalka, a ona cała pokryta gęsią skórą.

– Wyzwij mnie! Powiedz: ty dziwko! Uderz mnie! Mocno!

A kiedy jej przylałem w tyłek, piskliwym głosikiem modulowanym na skruszoną dziesięciolatkę zapewnia z kurwim chichotem: *Jestem bardzo niegrzeczną dziewczynką, tatusiu, ale już będę grzeczna, tatusiu!* I dziwka spuszcza oczęta i oczęta podnosi i śliczna dziewczynka przenikliwie wpatruje się w jego oczy i zalotnie uśmiecha. Zalotnie? Jakie, kurwa, zalotnie? Jakie zalotnie? Prowokująco. Zachęcająco. Wyzywające kurewstwo w każdym z jej wyuzdanych dziecinnych oczu.

## NIEZŁE ZDANIE

– O matko, ile tu kurzu!

Rękawem szlafroka ściera kurz z maszyny do pisania i biurka, wystarczy. Siadając, gryzie kromkę, wkręca papier, marszczy czoło.

– A co on, do cholery, taki żółty? Aaa... to jeszcze z tej starej ryzy!

Skończył żuć, patrząc z niechęcią na talerzyk, później dokończy, jeszcze mnie mdli po tym locie. Sięga po papierosy. Zapalił i zaciągnął się głęboko, aż poczuł bolesne ukłucie w prawym płucu. Ojezu, chyba rzucę w cholerę, bo mnie to kurewstwo w końcu zabije! Pieprzenie, sam siebie oszukuję. Na parapecie mokry gołąb trzepotał skrzydłami.

– Dobra, która to strona? Dopiero czterdziesta pierwsza? A ja myślałem, że...

Patrzy do teczek z notatkami i wyciąga z niej jedną dużą fotografię, którą dostał od Stelli, z widokiem rudej, nagiej dziewczyny w kitkach z czerwonymi kokardkami, trzymającej pluszowego misia. Nazwał ją Dante, sześć innych, mniejszych fotografii tej samej Dante prezentującej detale jej nagiego ciała, plan domu Dante, który naszkicował na odwrocie katalogu domu meblowego, rachunek z Vieux Bistro, jeszcze nie wie, do czego, ale na pewno wykorzysta, etykietę ze starej butelki absyntu PernodFils 1904,

zasuszony kwiat magnolii, fotografię z początków XX wieku: kliper *Maria Stuart* na wzburzonym morzu, rozkład kursów promu z Marsylii na *Ille-de-la-Marie*. Wszystko.

Na czym to ja...? *Aha, tu, w pokoju z widokiem na zapuszczony ogród, Dante Gonçalves trzymała doniczki z orchideami i terrarium z seledynowym kameleonem. Zwęszył problem: gdzie to? Wodzi palcem, mam! Dante postanowiła odejść od niego właśnie wtedy, kiedy grad uderzał o szyby, a w pokoju unosił się zapach kardamonu.*

– Kardamonu? Kardamonu, a nie cynamonu? No zaraz...

Zniecierpliwiony niepewnością wstał i w kuchni otworzył dwie puszk, pochylił głowę, wachając z namaszczeniem ciemnobrązowe proszki jak kiper starą whisky.

– Cynamon? Nie, cynamon na pewno nie, teraz kardamon. Tak, zdecydowanie kardamon!

Wrócił do biurka. Jeszcze pada? Firanka śmierdzi nikotyną i starym kurzem. Nie. Już nie. Wtyka palec w doniczkę, podlane, kochana pani Hiver. Morskozielone, jadeitowe oczy. Niezłe zdanie, przyda się.

## ROZDZIAŁ 1

Postanowiła odejść od niego właśnie wtedy, kiedy grad uderzał o szyby, a w pokoju unosił się zapach kardamonu. Popatrzyła na kameleona zajętego bezruchem, doskonałą, najczystsza formą przetrwania. Nazywała się Dante Gonçalves i była studentką malarstwa w prywatnej akademii sztuki Antônia Dasmortasa, profesora Académie des Beaux-Arts w Paryżu. 11 lipca 1881 roku Profesor przepłynął wzburzony Atlantyk na trasie od Calais do Cidade da Barra na trójmasztowcu Holender, dowodzonym krzepką

ręką bluźnierczego jak sam szatan kapitana Hendrika Van der Deckena, i zakupił część tej starej kamienicy przy Avenida Rio Branco.

– To tamten budynek, Señor Antônio. Ten obok parku. O, ten zarośnięty po dach chińskim powojem o kwiatach pachnących ametystami i krwią, widzi pan?

– Tamten?



– Tak, Señor Antônio, tamten.

Na parterze urządził sobie wygodne, obszerne mieszkanko, a na piętrze atelier, które szybko zyskało sławę Akademii. Niejednokrotnie omyłkowo wchodził tam podpici eleganccy gentlemani w cylindrach i z laseczkami. Omyłkowo, bowiem drugie piętro zajmował ekskluzywny burdel Doñi Eleonory z meblami o wytartych złoceniach, spłowiałych panneau i sztukateriach z tych wspaniałych czasów, gdy kauczuk był droższy od złota, a dziewczynom płacono rubinami. Och, jakie tam były dziewczyny, mój Boże! Ciała we wszystkich kolorach tęczy, wszystkich kształtów i rozmiarów, mój Boże! Czcigodna Doña Eleonora prowadziła swój przybytek żelazną ręką, spowita w czarne koronki, z nieodłącznym różańcem w suchej, ptasiej łapce, dziewczęta z nieklamany szacunkiem i lękiem zwały ją *jararaca*.

Dante była Zamba. Nawet więcej niż Zamba, bo w jej żyłach płynęła krew nie tylko portugalskich konkwistadorów, Maurów, Białych, Metysów, Kreoli, Murzynów, Indian, hinduskich zaklinaczy węży i afgańskich tkaczy latających dywanów, ale i Chińczyków, którzy w dawnych czasach pracowali tutaj na budowach linii kolejowych, mostów i dróg. Chińczycy wieczorami palili opium w długich fajkach, tęskniąc za ojczyzną, śniąc o Wielkim Murze, smokach i Jangcy i pozostawionych za Oceanem żonach i kochankach. Pewnej nocy, gdy osypały się gardenie, Doña Amelia de Oliveira Pinson da Silva, babka Dante, poczuła, jak nagły ogień zapłonął w jej czterdziestoletnim dziewiczym podbrzuszu wędrowniej kucharki. Weszła do namiotu kulisów śniących w mgłach opiumowego dymu i oddała się najpierw Wu Pei, a potem dla pewności niejakiemu Peng Li i po kolei jeszcze wielu, wielu innym. Brzemienna opiumowanym nasieniem wyszła z namiotu i najpierw na osie, później koleją, potem czółnem

i wreszcie pieszo wróciła do swojego zakurzonego miasteczka zaszytego w dżungli na brzegu Rio Negro. Siedem miesięcy później w owej smutnej porze, gdy rtęciowe krople huraganów zbierają się w zakamarkach korkowców, a banany pachną niespodziewaną śmiercią, powiła nadzwyczajnie piękną dziewczynkę, którą nazwała Eufemia, a którą pokochał nawet jej ojciec don Cristobal Pinson da Silva, do tej pory nieubłagany dla bękartów i córek-ladacznic.

Szesnaście lat później mała słodka Eufemia urodziła córeczkę z namiętnego związku z Adrianem Gonçalves, pięknym jak młody bóg indiańskim handlarzem rtęcią. Nim położnica oddała ducha Bogu na skutek gorączki bagiennej, zdążyła podarować małej swoją nieziemską urodę i nadać imię Dante, zaś ojciec z rozpaczą powiesił się na palmie. I tak osierocona Dante Gonçalves wzrastała w domu swego dziadka, a gdy ten zmarł w imponującym wieku stu sześciu lat, odziedziczyła fazendę i zajęła się hodowaniem orchidei i Furciferoustaleti, malgaskiego kameleona-olbrzymia, pozostawiając uprawę ziemi i hodowlę bydła parobkom i dzierżawcom.

Pewnego ranka o piątej na widok urubu wynurzającego się z tęczowej mgły czarnym cieniem zrozumiała, że jej prawdziwym powołaniem jest sztuka, więc podjęła niezłomną decyzję o wyjeździe do Cidade da Barra i oddaniu się nauce malarstwa. To właśnie owej nocy, w chwili, kiedy grad uderzał o szyby, a w pokoju uniósł się mistyczny i podniecający zapach kardamonu, postanowiła związać się na zawsze z Profesorem Antônio Dasmortasem z paryskiej Académie des Beaux-Arts, właścicielem prywatnej akademii sztuki w Cidade da Barra, o którym mawiano, że ma oczy jaguara, dłonie czarownika, a w jego żyłach płynie Sangre De Drago. Cokolwiek to oznaczało.

## LOLITA

Przeciągnął się i wstał, a potem spojrzał w szczelinę uchylonego balkonu, wciągając powietrze pachnące świeżo skoszoną moką trawą. Chwilę śledził wzrokiem chłopaka pchającego wyłączoną kosiarkę, potem spoglądał na czubek wieży kościoła świętej Petroneli osmalonej w niedawnym pożarze i zobaczył wielkie, siwe ptaki kołujące ponad dachami, a wyżej smugę kondensacyjną za samolotem, która układała się w kształt damskich majtek. Uda. Nagość. Wzgórek. Tak. Lepka i rozwartą. Taaak... Przeknęła ślinę. Naga, lepka, rozwartą pizda, pokazać ci? Chcesz? Patrz!

Podniósł głowę, z zaciekawieniem patrząc na sufit, nasłuchuje szurania butów, stłumionych rozmów. Z tatusiem? Lolita z Ironsem. Tamta scena z Ironsem i... Z Ironsem i? No, cholera... No ten stary tłusty pedofil, Clare Quilty, biegnący amfiladą goły w rozwianym szlafroku, Langella? Tak, Frank Langella. Te ujęcia, w których biegnie przez korytarze, przez amfiladowe pokoje, a kutas mu raz na prawo, raz na lewo i on jak tłusty faun, stary satyr, rozwiane poły szlafroka, a za nim Irons z gnatem, a potem Langella przy fortepianie i ta jego gra: muzyką odsunąć śmierć, zaczarować nią kule, zatrzymać nieuniknione. Patos, niebotyczny patos, a Irons strzela trach: raz! Trach: dwa! Trach: trzy! Trach trachtrach! Krew

i śmierć. Wina i kara. Boże, co za scena! Panie, jaki trzeba mieć łeb, żeby... Z którego...? Dziewięćdziesiąty piąty? Szósty? Siódmy? Chyba szósty. Adrian Lyne. No, a scenariusz tego, jak mu tam... Tak... Lolita. Światło mego życia. Ogień moich łędźwi. Mój grzech. Dusza moja. Lo-li-ta. Koniuszek języka schodzący w trzech krokach podniebienie, aby na trzy wystukać o zęby lo-li-ta. Była Lo. Po prostu Lo. Rano stała w jednej skarpetce, metr czterdzieści osiem wzrostu. W spodniach-rybaczkach, Lola. A w szkole mówili na nią Dolly. Na kropkowanej linii w ankietach wpisywała Dolores. Ale w moich ramionach zawsze i nieodmiennie Lolita. Coś w tym stylu. A co napisał Humbert na tej kartce, którą pokazał Qualityemu w jego rezydencji, nim go zastrzelił? Zaraz, zaraz, momencik, mam na czubeczku myśli. O!

*kiedy nagi stałem, jak mnie pan Bóg stworzył  
w obliczu federalnego prawa i wszystkich jego  
gwiazd żądających*

O, coś w tym stylu. Dostał Oskara, czy nie? A, potem sprawdzę. Dobry Boże, Stella! Gna do pokoju, chwyta słuchawkę, wykręcając w pośpiechu numer wydawnictwa.

# KOBIETA-CYWETA

Z radia nad bufetem płynie Strawiński. O, Strawiński... Strawińskiego to ja lubię nawet kiedy szczękają gary, a między stoliczkami stukają pukają obcasiki kelnerki, stuk-puku, a patron poleruje bufet wypolerowany jak stary poler, co u nich nerwowe jak tik. Resztką bułki wyciera resztkę beszamelu, najadałem się, uff... patrzy na zegarek, no i gdzie ta Stella? Pewnie nie przyjdzie. Wymyśli jakieś niestworzone usprawiedliwienie. I jak tu można pracować? Sączy wino, patrząc w morskozielone oczy dziewczyny w złotych szpilkach i drogim futrze z cywet. Modelka? Może. A może dziwka? E... nie, raczej modelka, albo znudzona żona starego bogatego pryka. Dziewczyna jak marzenie. Leniwie senna, nieobecna odaliska. Ingres Delacroix tureckie kobierce pejzaże o zachodzie Bachczysaraj perliste fontanny pawie pióra na ścianach cienie milczących eunuchów w szarawarach turbanach z krzywymi szablami i zapach wodorostów mgliście sunący od Bosforu skrzyp wiosła i plusk o burtę za ażurami okien burdelu, no, jednym słowem: Orient. Oooooieeeeent...? Pamiętasz Oooooieeeeent? Czy pamiętam? Pamiętam, jasne, że pamiętam! Dusząca woń nardu Aleksandryj jej luksusowe piżmo jej usta lukrowane sezamem i cynamonową chałwą naszeptujące między pocałunkami oooooieeeeent... oooooieeeeent... A Cyweta? Co wieczór panamężowe nieskuteczne starcze pożądania: tak mi przykro jedyna! W każdej żrenicy jej – bryłka jadeitu utoczona z chińskiej ziemi i nie jest to żadna tania metafora, o nie! Nieczęsto oczy aż tak zielone. Straszna profanacja takie oczy w takim bistro, myśli sobie, a oczy patrzą raz na niego raz na świat za szybą, rzadziej w makaron z szarym cebulowym sosem. Co ona robi w takim miejscu? Znudzona kawiozem i szampanem? Może. A może powrót do korzeni?

Była jakaś zapyziała wioska w Normandii czy Bretanii, z której wędrowała do szkoły krętymi polnymi ścieżkami pośród skał i kóz, ubrana jak Murzynka w sukienkę z perkaliku i szmaciane pegegi? Może była? A po lekcjach w pobliskim lasku albo w sekretnej kryjówce nad rzeczką z chłopakami paliła fajki, sącząc świeży cydr wykradziony rodzicom i pozwalając całować się obnażać i pieprzyć? Może. A może nie było żadnej wioski w górach, tylko zakurzone suburbia? Jakaś dzielnica robotnicza, jakaś odrapana z tynku brudna, zatęchła kamienica z zasmrodzonymi kiblami na półpiętrach. Brzmi nieźle, a więc niech się stanie: była kamienica. Na zakurzonym podwórku dziewczynki grają w klasy, popychając ułomek dachówki czubkami brudnych tenisówek gumowych japoniek bosymi stopami albo grają w gumę podrygując nad skakankami gotując zupę z piasku przewijając szmaciane brudne lalki. A chłopcy? Chłopcy jak to chłopcy onanizują się strzelają z procy do kotów marzą o wyspach skarbów uzupełniając edukację podglądając siostry i matki w kąpieli kopulujących rodziców. Kiedy podrosną zaczną knuć zbrodnie.

Więc z radia nad bufetem płynie Strawiński. Jadeitowe oczy nieruchome, jakby zatrzymały się w poszukiwaniu brakującego do krzyżówki słowa, na przykład *paralaksa*. Albo *rudyment*, albo *dychotomia*. A może myśli o kochanku? Kto to może być? Powiedzmy, że jakiś Artur. Nie, Artur nie, bardziej z włoska: Arturo. Jak Toscanini lalla-laaaaa? Jak Toscanini. Don Giovanni K 527.

# LEPORELLO:

*Rest I've none by night or day  
Scanty fare and doubtful pay*

Wykwintnie i światowo. Dodam złote spinki krochmalone mankiety zimowe szaleństwo w Madonna di Campiglio Versace krwistoczerwone lamborghini kwiaciaste bonzurki jedwabny pedalski fular i laseczka ze srebrną gałką. I wąsik mafioso. Co dalej? Co dalej... Powiedzmy, że Arturo ma galerię sztuki gdzieś w centrum i jest gejem sypiającym z projektantem mody, powiedzmy, a co tam – Giorgio. Albo Sebastiano powiedzmy. A ponieważ Arturomio sypia z Giorgio-Sebastiano, więc Cyweta jest nieszczęśliwa, chociaż sama jest lesbijką. Albo nie, nie jest lesbijką, tylko biseksualistką-eksperymentatorką. A może wcale nie myśli o Arturo, który ją rzucił dla kochanka? Więc o czym myśli? O swoim ostatnim nabytku? O tym długim, grubym i czarnym jak penis Negra elektrycznym wibratorem z najwyższej jakości silikonu, zakupionym w ekskluzywnym i dyskretnym hotelowym sex-shopie przy ulicy Fontaine, o którym we wszystkich przewodnikach informują, że sex shop was located right next door and homeless person took up residence right by the entrance of the hotel?

Maybe, why not? Jak napisali w instrukcji? Unmagnifiquesexedétalonnoir... longueur 24 centimètre; diamètre 6 centimètre. I może zaspokoić krowę. Ale tego już nie napisali. A co jeszcze? No, na przykład to, że zakupu dokonała osobiście na osobistą prośbę osobistego męża tego starego pana z indyjskim czerwonym podgardlem przerostem prostaty i wieloletnim brakiem wzrodu pod cowieczornym sztandarem:

– Kochanie, z próżnego i Salomon nie należy!

I długo skrywanym, wykoncypowanym pozornie niedbale pobłażliwie życzliwie wyrozumiałym że:

– Przecież nie możesz przeze mnie cierpieć, kochanie!

A także szarmanckim zapewnieniem, że on osobiście nie będzie mieć nic a nic przeciwko temu, jeżeli ona zechce sobie znaleźć jakiegos przyzwolonego miłego chłopca pod tytułem Wiesz-Do-Czego... Mówiąc to, gładzi jej podbrzusze wyprężone i daremnie wyczekujące niemożliwego.



– Jakiego chłopca? – pyta Cyweta z nadzieją rozwierając uda, unosząc pośladki, czując, jak nagle zasycha jej w ustach na widok obrazów, od których zawirowało jej w głowie.

– No wiesz, kochanie... Chłopca. Miłego, dobrze wychowanego i dyskretnego. Oczywiście tylko wtedy, jeżeli sama uznasz to za dobre rozwiązanie. Nie tylko nie mam nic przeciw temu, kochanie, ale jeśli pozwolisz, kochanie, to od czasu do czasu, oczywiście dys-kret-nie, chętnie popatrzę na was, gdy ty i on...

Aaaaaaaaaaaaa... więc o to mu chodzi? Chętnie popatrz jak ona chętnie to będzie robić z miłym chłopcem Wiesz-Do-Czego? Aaaaaaaaaaaaaa cóż to za dyskretna chętna stara wyuzdana świnią! Ale ona już oooooooo bardzo chętnie myśli o tym. Oooooooooobaaaardzo chętnie o tym myśli sobie ona a on wie że ona teraz bardzo bardzo chętnie o tym sobie myśli i de-li-kat-nie wkłada w nią te swoje artretyczne dwa palce z dziesięciu artretycznych palców: jeden wskazujący i jeden środkowy i widzi w jej szeroko bardzo chętnie rozwartych oczach chętnie twarze bardzo młodych mężczyzn Wiesz-Do-Czego, chętnie dających jej to czego on jej nie bardzo może dać a ona? a ona już wyławia z notosu pamięci wszystkich kiedykolwiek poznanych facetów: ich adresy numery telefonów kolory włosów oczu grubość i długość członków zmienną wielkość ich jąder a także krzepkość mięśni pośladków. Jutro? Jutro! Natychmiast! Jutro! z samego rana! a na dzisiejszą noc niecierpliwości wystarczy jej ten gruby zuluski chuj z czarnego silikonu kaseta z pornograficznym filmem i starczy zapłynięty wzrok ponad drogimi jak koszmar złożonymi oprawkami.

Strawiński ponad spaghetti z szarym cebulowym sosem a' la bolognese. Cyweta zastanawia się: – Czy dobrze schowałam? Weronika nie znajdzie? Co schowała nasza mała świntuszka? Unmagnifiquesexed'étalonnoir, longueur 24 centimètre, diamètre 6 centimètre. A ta Weronika to kto? Kim u diabła jest Weronika? Efemeryczną przyjaciółką z jakiegoś queer klubu? Wysoką nabitą testosteronem krótkowłosą lesbijką o posturze enerdownskiej pływakki czy delikatną jak pajęczyna wiotką blondyneczką o twarzy upadłej dziewczyny z tych niewinnych wyuzdanych ośmioletnich Alicji-Z-Krainy-Już-Będę-Grzeczna-Tatusiu? A może, dla niejkiej odmiany, uczynimy ją smukłą cyską i szeroką w dupie polską pszeniczo-blond emigrantką do wszystkiego? Taką, co to ugotuje, upierze, zakupi, wyczyszczy, pozamiata i zmyje, a przy tym po francusku ani w ząb, do tego bogobojna, że strach się bać, Maryjo Króloooooo Pooolskiiii, i która za niewielką dopłatą bardzo chętnie usztywni starszemu panu jego uwiad albo wsadzi młodej pani język, nie tylko w pizdę, ale wszędzie tam, gdzie młoda pani sobie zażyje? Czemuż nie? Na przykład w dupę? Czemuż nie? Na przykład w dupę avecplaisir psze panienki; piniondz to piniondz a co mi tam!

Więc tak sobie rozmyśla o różnych różnościach i widzi rozmaite obrazeczki, bo wszystko może sobie wymyślić i wyobrazić, kiedy tak na nią patrzy. A wszystko może sobie wymyślić i wyobrazić, kiedy tak na nią patrzy, albo korygując prawdę oblepić nowymi obrazami, bo jest Profesorem Antônio Dasmortas, tym samym, który 11 lipca 1881 na trójmasztowcu Holender przepłynął Atlantyk z Manchester do Cidade da Barra i kupił część tej starej kamienicy przy Avenida Rio Branco.

– Który to budynek, Reginaldzie?

– Tamten, Señor Antônio, ten obok parku, ten zarośnięty aż po dach chiń-

skim powojem o kwiatach pachnących ametystami i krwią. Widzi pan?

– Tamten?

– Si Señor Antônio, tamten.

No tak czy siak, takie właśnie napływają go teraz... najadałem się, uff... syte sennie rozmaitości, jak ta historia, kiedy w pokoiku nad barem przez miesiąc żył za trzysta franków z jedną taką Walijką z którą pluli do Sekwany i do Rodanu pluli i puszczała papierowe łódeczki i pisali na nich świńskie wyrazy i rysowali obsceniczne rysunki nie pomni, że kto by niewinne dziecięcki zgorszył, mnie uczynił. Czy jakoś tak. Ona sobie kucała nad brzegiem Rodanu w spódnice i jak zwykle bez majtek czyniła Jemu bo czyniła dziecięcom licznie tam obecnym i nawet nie zdawała sobie sprawy. A może sobie zdawała? A może. A zupa cebulowa kiedy ją gotowała na samej cebuli i soli? Albo jak grała w karty przegrywając pierścionez z rybiego kręgu i złoty łańcuszek z kostki u nogi? Panie święty! Tak... Jakoś tak właśnie napływają go syte sennie rozmaitości... najadałem się, uff... Wie że może sobie wszystko wymyślić bo jest w tym bistro jedynym człowiekiem o którym można powiedzieć z niezachwianą pewnością, że ma oczy jaguara, dłonie czarownika, a w jego żyłach płynie sangre de drago. Cokolwiek to oznacza.

Jadeitowe oczy nieruchomieją. Teraz Cyweta patrzy na niego z zainteresowaniem, a potem błysk w jej oczach gaśnie. Wstaje, płaci i zmierza w kierunku wyjścia.

– Do zobaczenia, Jeannel! – krzyczy za nią barman, a w nim coś krzyczy: – Pośpiesz się, do cholery! Szybko! Idź za nią! Stella i tak nie przyjdzie. – Więc wstaje, płaci, wychodzi pospiesznie. Szybko! Idź za nią! Szybko! szedł za kobietą-cywetą (nawiasem mówiąc, dobry pomysł na tytuł książki albo filmu, powiedzmy taniego horroru) dopóki ona nie wejdzie do jakiegoś domu albo dopóki się nie zgubi w tłumie albo dopóki jemu nie znudzi się rola Filipa Marlowe'a, bo wtedy znudzony tropieniem cywetokształtnej lalczki z jadeitowymi oczyma siądzie na ławce obok granitowego pomnika jakiegoś kogoś przy szabli i z medalami (prawdziwy syn i duma Francji, paniel), popatrzy na biegające rozwrzeszczane dzieci, na kobiety rozleniwione słońcem jak tłusciutkie patagońskie uchutki pchające wózek jedzące zimne lody gorące frytki

– Witaj Jeannel!

– Jean-Marc? Witaj!

Kobieta-Cyweta niespodziewanie dla niego zatrzymuje się i namiętnie całuje w usta wysokiego rudzielca w nieświeżej zmiętoszonej kurtce moro. Wsiada z nim do rdzewiejącego brudnego jak świnią dżipa, a kiedy go mijają, Cyweta rzuca mu (widziałem! widziałem!) solidnie zachęcające spojrzenie przeciągle Chceeeeszsz? Prowokujące Ty! Pokazać ci? Wyzywające połyskliwe kurewstwo w każdej z jadeitowych źrenic jej Wsadź mi! A, diablica! Uśmiechnięta obietnica poranka, że uprawdzie może nie dzisiaj, ale kto wie, może jutro proszę pana, przy Strawińskim a la bolognese, na futerku przed kominkiem Ojej? Jeśli tylko będziesz lepszy niż mój nowy zakup unmagnifiquesexed'étalon Noir.

No zaraz, zaraz, myśli, Jean-Marc? Skąd się tam wziął teraz Jean-Marc? Przecież kochanka miała sobie wziąć dopiero jutro. Zaraz, zaraz... a może

moje dziś to jej wczorajsze jutro? Może. Tak, na pewno tak. No, w każdym bądź razie nada się doskonale na kochankę dla mojego bohatera.

Zauraca i po piętnastu minutach leniwego spaceru wchodzi do bistro.  
– Gaston, przyjacielu, duża wódka!

## BERBERZYŃSCY BERBERZY

Wchodzi na klatkę schodową, wpływając niczym transatlantyk między fale wszechobecnego zapachu baraniny gotowanej z kapustą cebulą i czosnkiem, doprawionej jęczącą orientálną muzyką i dusznym smakiem panarabskiego kuskusa.

– Och, ten pieprzony Berber!

Wspina się po schodach jak liszka wspina się po gałęzce systematycznie podciągając prawe ramię chwytem za poręcz dając mi punkt podparcia! wyginając plecy podciągając za zmęczonymi stopami najedzony *a la bolo-gnese* ociężały korpus w żółtym tempie stawiając stopy na zniszczonych drewnianych schodach.

– Pieprzony Berber. Ale miły facet, mile myśli o miłym facecie Rashidzie tym pieprzonym berberzyńskim Berberze z drugiego piętra i jego tłustej brzuchatej żonie z bułkami cyców przelewających się bulgotliwie pod lśniącem granatową czernią hidżabem otoczonych wrzaskliwą gromadką pyzatyh przepięknych namolnych dzieciaków pod tytułem.

– Ma pan cukierka?

Ma życie ten Rashid! Rozklekotana bagażówka coporanny ładunek kapucha selery kalafiory pomidory pory brokuły patisony i w trasę. Rozładowanie kapucha selery kalafiory pomidory pory brokuły patisony i w trasę. A wieczorem powitanie czułe jak sezamowa chałwa obłana karmelem.

– A witaj, najdroższy mężu!

A jej mąż najdroższy:

– A witaj! A co też dziś mamy na obiad, ukochana żono?

A jego ukochana żona:

– A zgadnij.

A mąż jej najdroższy:

– A nie mam pojęcia.

A ukochana żona jego, unosząc półmich baraniny pachnący koźliną:

– A baranina!

A mąż jej siadający do jej półmicha baraniny z kapuchą:

– Baranina?

A jego żona płaska w tłuste łapki:

– A baranina!

A mąż jej, klepiąc poduszki pośladków jej:

– A to ci piękna niespodzianka, najdroższa!

A nocą jego unmagnifiquesexed'étałonbeige w odcieniu włoskiego orzecha jego obrzezany bakłażan longueur 24 centimètre; diamètre 6 centimètre porusza się w niej ruchem posuwistym i ssąco-tłoczącym a pod nim jej dwa bułki i pod nim egipskie pylony jej ud szeroko rozwarte jak ościeżna brama do Krainy Zmarłych szarpiąc jego włosy spazmatycznie dysząc gęga mu w ucho:

Chwała tobie wielki Boże,

Panie Obu Prawd!

Przybyłam do ciebie, aby oglądać bogów,

Aby oglądać piękność twoją!

On na niej, czy ona na nim? Oczywiście, że on na niej, ich kultura: pan i władca. Ona na nim? Wykluczone! Poza tym zmiażdżyłaby go bez dwu zdań. Rano cmok-cmok w zaspane oczka, szybciutka ablucja, dywanik, głowa do Mekki i Allahu al Akhbar a potem szybkie śniadanko; ociężałym, zaspanym truchtem po schodach i: kapucha, selery, kalafiory, pomidory, pory, brokuły, patisony i w trasę. Do dupy takie życie, ale czy ma wybór? A niby do czego mieliby wracać? Piaski, piaski, piaski... Ropa nie dla wszystkich, trzeba być szejkiem, żeby. Większość to bida z nędzą. Jak u nas. Niechętnie rozmawiają, nieufni. Uprzejmi bardzo, ale nieufni. Rozumiem, chcą ocalić swój styl życia przed naszym stylem życia. Ale dlaczego muszą go ocalać u nas, a nie tam, u siebie, między palmami, na tych piaszczystych bazarach, gdzie muchy krążą nad ściertami ćwiartowanych owiec, kóz i wielbłądów? Krwawe piaski, Allahu al Akhbar... Mówią, że chcą ocalić swój styl życia przed naszym stylem życia, że chronią swoją kulturę przed naszą i swoją cywilizację przed naszą cywilizacją. Ale kiedy w szmatach na głowach, okutani szlafrokami strzelają do nas z karabinów, to strzelają z karabinów stworzonych przez naszą cywilizację. No tak, ale w końcu z czegoś nas muszą zabijać, a jak do tej pory nic swojego jeszcze nie wymyślili, biedacy. Mogliby wrócić? A niby gdzie, po co? Piaski... Jedyna ich pociecha na stare lata to te dzieciaki. Ostatnio ta jego najstarsza za dużo z chłopakami po bramach... Hormony! A wypina te cycki! I coraz krócej się nosi. O, choćby na czternastego lipca jak wchodziła po schodach, widziałem jej goły tyłek. Ooo, już ona dobrze wiedziała, że widzę. Biedny Rashid, zatłukłby ją, gdyby się dowiedział, że ja, niewierny, widziałem goły tyłek jego wiernej niewiernej córki. Kto wie, może i mnie by zatłukł? No, ale nie wie. I pomyśleć że chłopina zaharowuje się na śmierć

tylko po to, żeby ją było stać na nie noszenie majtek. *Geef het aanmij?* Jasne! A co, może nie? Pomidory, porry, brokuły, patisony, cukinie, melony i trasa. Pracuj, pracuj Rashid, a garb ci sam wyrośnie jak dromaderowi. I codziennie ta zgniłozielona, śmierdząca gnijącymi liśćmi kapusty i kalafiorów bagażówka i buklaki cyców bulgoczące każdej nocy pod ocalonym od naszego stylu życia czarnośniąjącym nocą hidżabem księżycy. I jej niqāb otulający ich nieżyjne piaski ocalone przed nami, którzy ich nie pożądamy dla nich, którzy tam nigdy nie wrócą. Ładne zdanie. Zapisać. Zapamiętać

nim zapomnę? Ale tam, zapomnę, że mam zapisać, żeby nie zapomnieć, trudno. Ten Rashid musi ją kochać, biedaczysko! Dzieci kocha, a ją musi. A ma inne wyjście? A może po prostu kocha? A co ja tam wiem? Gówno wiem.

Doszedł.

– Allahu al Akhbar!

## DAGNY

Ciężko oddychając, wycierał buty nader starannie i nader dokładnie, kilkanaście razy szorując podeszwami o szalową wycieraczkę. Z westchnieniem eeeeeehhhh zmęczonej ulgi uuuuffff otwiera odrapane skrzyyyyyyyypięce drzwi mieszkania i znowu pomyślał o Dante: Dante... Zamknął odrapane skrzyyyyyyyypięce drzwi, odcinając odór gotowanej baraniny fuj! Zdejmuje buty, chowa je do szafki, płaszcz wiesza do szafy i myśli sobie, że zaraz sobie poczyta gazetę, a potem, sikając w kiblu, patrzy do lustra i widzi siebie patrzącego na tamtego siebie, który też się odlewa i sikając, patrzy na niego ze swojej strony lustra, myśląc o jego Dante i przez tamto, w po-swojej-stronie-lustra, no, to swoje nie-swoje okno widzi okna sąsiedniej kamienicy tuż, tuż na wyciągnięcie ręki. Tylko parę kroków, z osiem, dziesięć? Najwyżej. Co Alicja widzi po drugiej stronie? Trzy topole pomiędzy i wychyloną siwą głowę, co to nie widziała chłopca. I jak tamci jedzą, kłócą się, biją, kochają, kąpią i piorą. To zobaczyła? A czemu nie? I korniszona wujcia Karolka...

...Ciekawe, czy oni mnie widzą? Tak, prawo optyki: jak ty nas, to my ciebie. No, bo i kto to wymyślił takie wielkie okno w kiblu, że nawet w kiblu nie ma spokoju? Trzeba wreszcie kupić jakąś zasłonkę. Na pchlim? Poprosić Teresę, żeby uszyła. Albo Adeline. Albo zamałowac. A może takie kolorowe szybki witrażowe jak na klatce schodowej? Byłoby jak w katedrze, tylko zapalić świeczki i. Cholerna świeczka! Mogłem pójść i oddać jak człowiek, a tak... Wiara czyni cuda, panie. Tak, wiara czyni... A co czyni niewiara?

Leży na łóżku, bo może poogląda telewizję, ale jego myśli myślą o jadeitowych oczach z bistro i jak by to było, gdyby tu leżała teraz obok niego. No jasne, że naga z tymi eleganckimi nogami rozłożonymi elegancko na linii Wschód-Zachód i jadeitowymi oczyma pełnymi inkaskich masek, kocica: mrrr-rrrrr... że oooooooo, cudownie by było, cholera, i patrzy na drzwi, jakby za chwilę upuścić miały tamte szpilki i futro zdarte z grzbietów cyweta. Na pewno mruczy: mrrrrrrr. Krwistoczerwone pazurki. No, a pod spodem nic a nic, tylko czysty, subtelny, wyrafinowany seks. I ten cieniutki łańcuszek na kostce. Lubię to, podnieca mnie to. I zapach sandałowca. I żadnych włosów ani tam, ani tam, śliska, rozwartą lepkość obietnicy poranka. Kto wie, może?

Przysypia wpływając sennie między sennolepkie myśli, kobieta-cyweta, kocica mrr-rrrrr... Przysypia mrrrrrrr wpływając sennie między sennie łańcuszek myśli leniwie sennie ciepło przypomina sobie Dagny nadzianą na

jego spęczniały rozeń w tamtym szwajcarskim hotelu pachniało szampanem i spermą a był Sylwester 1989 a może 1988? Może. Robili sobie świńskie fotki żeby uwiecznić szaleństwo i pożądanie a jej stary fotografował dla New York Timesa jakichś partyzantów gdzieś tam w Ameryce Południowej i świętował z indiańską dziewczyną o czym jej powiedział składając życzenia Happy newyear, Darling! Wtedy on ni stąd ni zowąd pomyślał o arnice, dziewięcisiu, Kasjuszu Herea, limbach, partyzantach, salamandrach, Mistekach, Toltekach, Olmekach, Zapotekach, Inkach i Majach i mówi jej o tym, opowiada jej o tych misteko-toltekach a ta raptem hop-siup staje nago na parapecie na tle Alp i w potokach wschodzącego noworocznego słońca.

– Pstryknij mnie! – zażądała, więc pstryknął, a z dziedziczna rozległy się chóralne brawa i gwizdy podziwu świętujących Szczęśliwego Nowego Roku pijanych turystów, no a zaraz potem zrobiła nam to pornograficzne zdjęcie, siedząc na mnie okrakiem. A jak nago szła hotelowym korytarzem? Jezu! Idzie, kołysząc cyckami, a tu z windy wychodzi dziewczynka maciupka jak krasnalek z taką samą maciupką mamusią i rozszczekaną maciupką psinką.

– Ojej mamusi! Ta pani jest goła!

A ona ze śmiechem ubiega do pokoju.

– Pstryknąłeś?

– Jasne, że pstryknąłem!

Miała dziewczyna fantazję. Tak, w tej strasznej katastrofie lotniczej... ● \*

\*Interpunkcja nieznacznie zmieniona przez redakcję.



Proza

# Okno

Jacek Durski (fragment)

Poczułem nagle woń spalonego. Z 18-tki. Pućsamino opiekął w starej wannie schwyttane na podwórzu szczury. Piekł dla psa. Puć nawet nas nie zauważył, zapatrzony w ogień.

– Znowu przyszli do Durskich – warknął Pućsamino i uderzył szczurem po drewnianej nodze.

– Znowuż – syknęła dozorczytni, plując ciemną krwią.

– A ja mam w smokingu kartkę, na której napisała Zosia kilka dowcipów o broni ZSRR – pognął Eisen ulicą do przodu, do tyłu. W lewo, w prawo, wdrapał się na parapet Broyowej. Uderzony niemieckim taboretą ruszył do Mariackiego.

– Najlepiej nic nie mów – szepnęła w drzwiach Lepsa. – Nic a nic.

Poczułem na języku język. Nasze języki z dropsem.

W mieszkaniu UB. Odrzuwają od podłogi sedes. Porozbijane ojca biurka, rozrzucone po podłodze zeszyty z liczbami.

*W piersiach strach, w karku strach. Zimny, zimny, bardzo zimny.*

– Zabiorę naukowca na przesłuchanie – rozkraczył się przed ojcem jeden z ubowców. – Powiesz, dla kogo ten szyfr w brulionach – rozkraczył się drugi.

Ojciec założył maskę „bohater” i stał uśmiechnięty. Widziałem jednak, jak drżała mu głowa. Lecz po chwili przez pokrywkę przedarły się prawdziwe uczucia „jeszcze was...”. Zgrubiały rysy i przestał się uśmiechać. Wyszedł z ubecją bez lęku, trzasnąwszy drzwiami.

Przybiegł z kościoła diabeł. Wcielony w Eisena.

– Schowałem się w konfesjonale – zachichotał w ramach okna. Zbliżył twarz do szyby. – Nie wypuszczaj go prędko – zatarł ręce i pocałował własne odbicie.

Położyłem się spać. Przeszyta krzykiem poduszka.

Ojciec wrócił po tygodniu.

– Jeszcze pożyję, bo jestem im potrzebny w planie sześćioletnim. Bo znam się na akumulatorach jak nikt. Jak nikt w Polsce – uśmiechnął się do Lepsej. Poprosił o sześć herbat i święty spokój. Przyniosła mu Yunnan, coś słodkiego i pogłaskała dyrektora po plecach. Zapłakał do konfitury.

Położyłem się w mojej szafie. Czarno. Wracam ze Szczyrku jeszcze raz. W mojej fantazji.



*Już w Katowicach. Księżyce leży na boku nad ciemnym miastem. Z niego granatowy kopiec kościoła Najświętszej Marii Panny. Z moją ulicą Mariacką, z mieszkaniem 18 a. Gorsza pobiegła do przodu, szykować dla państwa obiad z kolacją. Opowiem Lepszej o Antku Łaciaku, o wezbranej Żylicy.*

Zasnęłam w szafie.

*Wokół ogniska tańczy Huczkowa skakanego, drażniąc Honkisa. „Zapisałam majątek na kościół”, podskakuje wesóło z poświęconym dzwonkiem. „Nie mam już nic”, znieruchomiła w przegibie. Opadł na piersi różaniec. Zatrzęsło Honkisé. Wrzucił ognisko w chałupę. Płomień narysował ryk krowy. Krzyknęłam w śnieniu, na jawie.*

Przyszedł wuj Wincenty zaprosić nas do teatru na Muchowcu, w leśniczówce Halickiego. Gra tam dzisiaj Cieszkowska ze Szmytkowskim. Wuj Wicek z panią Haliną. Zagrają coś, czego nie wolno w państwowym teatrze. Oprócz leśnika i jego przyjaciół, pary dzików pilnujących Teatru Leśnego przed zwierzętami UB, przyjedzie jeszcze z Polski czterech entuzjastów wolnej sceny na Śląsku.

Już milczy Wicek, szepta Halina. Siedzą pod stołem, tańczą na, biegają wokół. Podają sobie krzesła, wnoszą, wynoszą. Tak z czterdzieści krzeseł. Bez sensu. Nie rozumiem. Ale czuję ducha. Rośnie w Jacentym niezrozumiały. Wuj Wicek staje się kurtyną, a Cieszkowska widzem. On opada na podłogę, ona klaszcze. *Komu?*

Goście dyskutują:

- Co za niespójność!
- Stworzyli inny teatr.
- Jak Jeana Cocteau.
- Bez intrygi, bez bohaterów.
- Bohaterem przypadek.

Lepsza zachwycona Wickiem. Nie chce wracać do dyrektorowej. Chce zostać na Muchowcu na zawsze. Ale Halicki zamyka Teatr Leśny.

Halicki! Lubię tego staruszka. Ma tak pięknie zbrudzone dłonie. Gruzły żył pod pergaminową skórą, ciemnosine grudki, guzełki, podbarwione brązowymi plamkami wtulenia. Leśniczy Katowic.

Pukam w twarz matki. Twarda od Starowinu, nieruchoma. Pod nią okrucy pamięci. Wczoraj pomieszane z dziś. Lecz nie ma jutra. Żółte zęby na martwym języku. Postanowiłem tę straszność zawiesić nad pustym łóżkiem ojca. *Niech stuka przy tąpnięciach.* Daleko w kuchni poszczękuje w zlewie garnek. Myty przez Gorszą.

Położył się na parapecie gołąb. Umiera. Cieknie mu smutek z oczu i ze skrzydeł. Wziął go Eisen za pióro i zrzucił na parapet Broyowej. Wypił przedobiednią ćwiartkę i spał jajko na miękko. Przestał się pocić, przebierać nogami. Zanurzył plecy w fotelu. Ogląda zegarek od mikołaja, srebrną papierošnicę, krawat za krawatem i pieniądze na zrobienie ząbków. Jest w świetnym humorze. Raczyl odpowiedzieć Gorszej „dzień

dobry” na jej „dzień dobry”, dodając „jeśli szlag trafi najbliższych”. Klepnął ją po łustej pani. Zasmoktał.

A ja dostałem czekoladę i różgę. Latam oczami po prezentach Eisena. Zegarek i papierošnicę położył na stole, a na szyi zawiesił wszystkie krawaty. *Który będzie pasował do sylwestrowego garnituru?*

– Cienki ten twój mikołajek. Musiałeś dużo nabroić – uśmiecha się do mnie złośliwie, wkładając do papierošnicy banknoty.

Czuję mokre na wargach. Rozpływa się słono. Do pokoju weszła matka. Zatańczyła w lustrze.

Moje myśli zawlokły ich za kościół, aby zabić młotkiem „Majsterkowicza”. *Wróciłem na Mariacką zadowolony.*

W bramie Fryda i Kunda. Chwyciły się za ręce i przytupują. Mróz. *Nie ma Kasandry?* Spaceruje przed plebanią i przepowiada księdzu Maślińskiemu drugiego Lutra. A pod naszym oknem milicjant-alfons. Ustawił w krąg kubły ze śmieciami. Smród z metalowych. Koło smrodu.

– Niech przyjdzie któraś i mi obciągnie – guizda na prostytutki guizdek dzielnicowego. – Poustawiałem pojemnik przy pojemniku tak, że można na ulicy podupić – zdjął granatową czapkę i rozpiął granatowy krok.

Biegną do kubłów tutaj Mariackiej.

– Obciągaj jak dziecko. Nie jak stara bładz. Powiedziałem, jak dziecko! Jak dzieciak, który się boi. Nie umiesz ssać w strachu? Zostaw! Sam poobciążam – wypchnął udami pyszczyśko Frydy.

– Chciałbym mieć władzę jak władza – rozmarzył się Eisen nad parapetem. – A tam kto? Popatrz, Donajski, na tę staruchę, która czołga się z Tylniej Mariackiej. Znałeś ją kiedyś?

– To przecież burdelmama z byłego burdelu Europejskiego – ożywił się Donajszczak. – Dzięki niej znano Katowice przed wojną. Tu pod piętnastką przyjeżdżali z całego kraju znudzeni mężowie, weseli wdowcy. Ja też tutaj bywałem. Po zbiorach buraków.

– W Europejskim kokoty były w wykwinnej białizni, najbardziej nagie. Rozumiały klienta. Bogatego! Najpierw przy szkarłatnym stoliku, a potem w szkarłatnym łóżu. Mowa ciała pod reprodukcjami Lautreca. Tu byłem piękny – poprawił mankiet.

– Teraz prostytutkami na Mariackiej są żony Ślązaków z Wehrmachtu. *Bite i kopane przez dzielnicowego.* Chcą przeżyć – wniosła Lepsza tacę z alkoholem.

Pogłaskał wuj Lepszą po piersiach.

Przesiadłem się z fotela na fotel. I na kolejny fotel. I tak uzdłuż stołu do Donajskiego.

– Zrobię z ciebie zaraz Donajską. ●

Piotr Maur > Proza

# Proza życia



## My widziani zza szyby

Stałem za szybą i zaglądałem do środka. Widziałem ją siedzącą z podkulonymi pod brodę kolanami. Oglądała coś w telewizorze. Nie wyglądała na zainteresowaną programem. Sprawiała wrażenie kogoś, kto patrząc w ekran, myśli o czymś innym.

Przez kilka ostatnich tygodni miałem wiele pracy, właściwie myślałem tylko o pracy, nie myślałem o niej, czy o nas. Prawdę mówiąc, trwało to już od wielu miesięcy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio siedzieliśmy razem, blisko siebie, na kanapie, patrząc w telewizor. Uderzył mnie ten widok. Widok jej siedzącej na kanapie beze mnie. Poczułem coś na kształt bólu. Jakiś bolesny smutek przechodzący w skurcz, rozprzestrzeniający się od przepony po gardło.

Stałem za szybą jak jakiś obcy człowiek. Jak włóczęga pozbawiony rodzinnego domu, jak zmarznięty i wygłodniały żebrak. Patrzyłem na nią. Podziwiałem. Wciąż była piękna, nieco inaczej niż dawniej, lecz bez dwóch zdań piękna. Piękna i samotna. Nie chciałem już tam stać i patrzeć. Chciałem jak najszybciej wejść do domu i usiąść obok niej. Przyciągnąć ją do siebie, usunąć dłonie pod sweter, ogrzać je ciepłem jej piersi. Ale nie mogłem się poruszyć. Coś kazało mi stać i patrzeć. Wyobrażać sobie, że nigdy mnie tam wewnątrz nie było, że nie znamy się, że za chwilę z sąsiedniego pokoju wyjdzie jakiś mężczyzna – jej prawdziwy mąż, albo że odszedłem dawno temu, umarłem.

Tego już nie mogłem znieść. Wpadłem do domu, zrzuciłem płaszcz, wbiegłem do salonu, usiadłem obok niej na kanapie i próbowałem wziąć ją w ramiona. Powstrzymała mnie łagodnie, lecz stanowczo. Odsunęła się.

– Spóźniłeś się – powiedziała.

– To prawda. Przepraszam. Przepraszam za wszystko. Zgubiłem się. Nie wiem, nie wiem, co się ze mną dzieje, nie wiem... Ale teraz... teraz... Teraz już będzie inaczej. Zobaczysz, kochanie, znów będziemy razem. Ty i ja.

– Co ty wygadujesz? – powiedziała i odwróciła się w stronę telewizora.

Pożegłowała gdzieś w dal po zmieniających kanałach.

– Obiad będziesz musiał sobie odgrzać – rzuciła.

Siedziałem tam obok niej na kanapie, patrząc to w telewizor, to w okno, za którym, jak mi się zdawało, stał ktoś i zaglądał przez szybę do wnętrza.

## Porażający widok

Jechaliśmy do twoich rodziców. Byliśmy mocno spóźnieni. Zapadł już zmierzch. Dość wcześnie, jak to w jesienne dni. Czasem wpadaliśmy w chmurę mgły unoszącą się tuż nad jezdnią. Za którymś zakrętem nagle w takiej chmurze zobaczyłem coś na drodze. Z całej siły nadepnąłem na hamulec. Było już za późno na inne manewry. Wóz niosło siłą rozpędu po nawierzchni zasypanej mokrymi liśćmi. Zupełnie nad nim nie panowałem. W kłębach białego dymu zobaczyłem sarnę. Stała nieruchomo, patrząc mi prosto w oczy. Stała kompletnie znieruchomiła, aż wóz zmiotł ją z drogi. Dobrze, że wciągnęło ją pod spód auta. Nie wiem, co mogłoby się stać, gdyby tak wylądowała na masce i wpakowała się w szybę.

Spałaś na tylnym siedzeniu. Przy tym gwałtownym uderzeniu spadłaś z fotela i uderzyłaś głową o jakąś krawędź. Miałas rozciętą skórę na czole. Po policzkach ściekała ci krew. Nie od razu to spostrzegłaś. Byłaś zaspana. Zupełnie zdezorientowana. Krew zalewała ci twarz, a ty pytałaś, co się stało, która jest godzina i czy już dojechaliśmy. Cały byłem jeszcze roztrzęsiony, a gdy w dodatku zobaczyłem krew zalewającą ci twarz, wpadłem w panikę. Nie wiedziałem, co robić. Jak w jakimś śnie włączyłem radio i kręcąc pokrętkę, szukałem stacji ze spokojną, relaksującą muzyką. Dopiero twój krzyk mnie otężeł. Mieliśmy apteczkę, więc dość szybko powstrzymaliśmy krwawienie. Rana na szczęście nie była groźna, choć do dziś masz maleńką szramę na czole. Łatwo można ją dostrzec, jeśli tylko dostatecznie dobrze nie pokryjesz jej makijażem. Choć może to tylko ja wciąż ją widzę? I właściwie bez względu na to, czy masz makijaż, czy też nie.

Tak. Dość szybko doszłaś do siebie. Byłaś naprawdę dzielna. Może to dzięki temu, że po oględzinach w lusterku uznałaś, iż nie ma czym się martwić, że to tylko drobne skaleczenie, że nie będzie po nim za kilka dni śladu. Ale ślad został.

Sarna leżała tuż za autem. Nie mogła się podnieść. Tylna część jej ciała bezwładnie leżała na jezdni. Próbowwała uciekać, podpierając się przednimi nogami. Bezczałna żałośnie. Nie mogliśmy patrzeć, jak się to zwierzę męczy. Ale cóż mogliśmy zrobić? Teraz myślę, że mogłem wziąć na przykład klucz do zmieniania opon i roztrzaskać jej głowę. Albo zaciągnąć ją za przednie łapy i wrzucić do rowu, gdzie by utonęła. Chociaż spróbować. Uczynić cokolwiek, by ulżyć jej w cierpieniach, by je skrócić. Ale nie zrobiłem nic. Nie potrafiłem. Myślę, że i dziś chyba też nie potrafiłbym sobie z tym poradzić. Staliśmy, obejmując się i patrząc. Nie widziałem nigdy w życiu nic, co poraziłoby mnie z równą mocą. Staliśmy i patrzyliśmy. Staliśmy tam aż do końca. Tak, jak byśmy byli winni to temu zwierzęciu.

Nie potrafię wyznaczyć tego z pamięci. Wciąż o tym myślę. Nawiedza to moje sny. A gdy coraz częściej dostrzegam w twoich oczach ten sam, a może tylko podobny smutek, strach, to samo lub podobne gaśnięcie, czuję się równie bezradny jak wtedy. Zawsze, gdy widzę to w twoich oczach, zawsze wtedy zaczynam szukać w radiu stacji, gdzie nadają spokojną, relaksującą muzykę. Rzadko kiedy udaje się znaleźć coś stosownego. Właściwie nigdy. Krzyknij, proszę, jak wtedy.

## Rozpacz

To było piętnaście lat temu. A pamiętam, jakby wydarzyło się to wczoraj. Była sobota, w telewizji leciał mecz. Ojciec siedział z nogami na ławie i puszką piwa opartą na brzuchu. Był w spodniach od dresów i podkoszulku na ramiączkach. Tak zwykle chodził po domu. Siedział na kanapie i oglądał mecz. Zazwyczaj tak to właśnie u nas wyglądało: po jednej stronie kanapy siedziała matka ze swoimi robótkami na drutach lub książką, po drugiej stronie ojciec z piwem, wpatrzony w telewizor. Ja mniej więcej pośrodku, tyle że na dywanie, budowałem mieszkalne osiedla z klocków lego, urządzałem krwawe jatki na wybrzeżach Bretanii lub kolorowałem książeczki wciąż łamiącymi się kredkami. Starzy zazwyczaj milczeli. To chyba z domu wyniosłem tę niechęć do gadania. Żona wciąż mi to wyrzuca. Sądzi, że nie chcę z nią rozmawiać, że ją ignoruję. W sumie mógłbym z nią porozmawiać, ale nie bardzo wiem o czym. Zazwyczaj wtedy płacze. Kładę wówczas sobie jej głowę na kolanach i głaszczę ją po włosach, aż się uspokaja. Kocham ją, ale jakoś nic, co mógłbym powiedzieć, nie przychodzi mi do głowy.

Pamiętam doskonale tę sobotę. Stary siedział z nogami na ławie i piwem opartym o brzuch, a matka, skupiona na robieniu jakiegoś szalika czy swetra, milczała wymownie. Nagle stary wstał i wyszedł, choć to jeszcze nie była przerwa. Myślałem, że poszedł do kuchni po następne piwo. Ale nie. Po prostu wyszedł. Wyszedł z domu i już nigdy nie wrócił.

Matka ani drgnęła. Cały czas skupiona na tych swoich robótkach. Ja raz czy dwa poszedłem sprawdzić do kuchni, potem zajrzałem na podwórko i do garażu. Starego nigdzie nie było. Matka nawet się nie poruszyła. Tak, jakby stało się coś, co nieuchronnie stać się musiało i jakby było to tak normalne jak spadające jesienią liście. Gdy wróciłem i chciałem coś powiedzieć, spojrzała na mnie w taki sposób, że umilkłem. Później też nie rozmawialiśmy o ojcu. Nigdy. Żyliśmy jak dotąd, tylko bez starego. Matka cały swój czas poświęcała na robótki na drutach. Telewizora nie włączaliśmy. Jakoś nie wydawało się to potrzebne. Zastanawiałem się wiele razy, czy to możliwe, żeby ona w ogóle nic nie poczuła, żeby to jej ani trochę nie dotknęło? Przyjęła to tak spokojnie.

Przez jakiś czas, później, gdy już byłem starszy, myślałem, że jest bardziej nieczuła niż ojciec. Ale któregoś dnia zobaczyłem te dzieciaki z sierocińca, jak szły do kina. Wszystkie w pstrokatych swetrach i szalikach zrobionych przez moją matkę. Jakies czterdzieścioro dzieciaków w różnym wieku maszerujących parami. Pstrokata, szaleńcza rozpacz mojej matki defilowała po naszej ulicy.

## Przesiadka

– Halo?! Halo, kto mówi?!

Głos w słuchawce był spokojny. Nieco ochrypły. Poznał ją od razu.

– Halo?! Halo?!

Przed chwilą w poczekalni dworcowej, cuchnącej i nieogrzewanej hali pełnej niezbyt interesująco wyglądających ludzi, poczuł się dotkliwie samotny. Poczuł bolesny smutek wywołany tym poczuciem osamotnienia. Czasami dopadało go to w trakcie licznych podróży. Choć na szczęście niezbyt często. Różnie wówczas reagował. Tym razem, zanim dobrze zastanowił się, co robi, zadzwonił do niej. Pomyślał, że może nawet mógłby do niej pojechać taksówką, kupić coś po drodze małemu, przywitać się, porozmawiać. Przy pewnej dozie samokontroli zdążyłby wrócić na wieczorny pociąg, ale wołał wpięrow zadzwonić. Zbyt wiele czasu minęło, by można było tak po prostu tam jechać.

– Halo?! Halo?!

– Anno – wyszeptał w słuchawkę.

– Kto mówi? Halo?! Halo?!

– Anno... To ja...

– Robert, to ty?

– Anno... To ja...

– O Boże! O mój Boże! To ty?!

– Tak, to ja.

– To naprawdę ty! O Boże! Jak śmiesz tu dzwonić?! Jak śmiesz?! Ty... ty... ty skurwysynie!

– Uspokój się, Anno. Proszę cię.

– Ja ci się, kurwa, uspokoje, ty... ty...

– Anno! Anno! Daj spokój!

– Tylko nie mów mi, co mam robić, dobrze? Lepiej nic nie mów...

– Dobrze, Anno, już dobrze... Po co ten teatr?

– No dobra... Czego chcesz? Tylko szybko, bo nie mam czasu.

- Nic. Chciałem się tylko dowiedzieć, co u Damiana.
  - Nagle cię to obchodzi?! Po sześciu... nie... zaraz... siedmiu latach chcesz nagle wiedzieć, co u niego?!
  - Tak.
  - Nie żyje.
  - Co ty wygadujesz, Anno...? Co ty wygadujesz, na miłość boską...? Anno... Halo... Anno... Odezwij się. Halo... halo...
  - Umarł. Umarł dla ciebie, tak jak ty umarłeś dla niego.
  - No, co ty, Anno... Co ty wygadujesz...?
  - Powiedziałam mu, że nie żyjesz.
  - Anno, ale tak nie wolno... Anno...
  - A zostawić mnie bez środków do życia z dzieckiem, z długami, to niby, kurwa, można? To jest w porządku?! Jak w ogóle śmiesz tu dzwonić? Nie dzwoń tu. Nie dzwoń już nigdy więcej. Słyszysz?! Słyszysz, ty pieprzony świrze?!
  - Anno... ja tylko... chciałem wiedzieć, co u Damiana... Słowo daję... tylko chciałem wiedzieć, co u naszego syna... jak się ma... Słowo daję... ja tylko... o Boże! Powiedz mi, proszę, co u niego!
  - Nie żyje. Umarł. Ty też nie żyjesz.
  - Anno, proszę, przestań się zgrywać.
  - On umarł, ty umarłeś i ja też umarłam. Wszyscy nie żyjemy! Słyszysz?! Jesteśmy martwi!
  - Dobra, Anno, już dobra, wiem, o co chodzi, uspokój się, proszę, już zrozumiałem. To mi się należało. Rozumiem. Naprawdę. Rozumiem.
  - Co ty, kurwa, nie powiesz? Ale, wiesz, powiedziałam mu, że zginąłeś jak bohater. Powiedziałam, że ratowałeś ludzi z pożaru. Zrobiłam z ciebie bohatera. W końcu coś mu się od ojca należy, no nie? Niech coś ma. Halo... jesteś tam jeszcze?
  - Dziękuję Anno... naprawdę... bardzo dziękuję.
  - Nie dziękuj. Nie zrobiłam tego dla ciebie. Jeśli chodzi o ciebie, to małym palcem u stopy bym nawet nie kiwnęła. Nie wyobrażaj sobie... i nie dzwoń tu nigdy więcej.
- Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale usłyszał trzask odłożonej słuchawki i sygnał skończonej rozmowy. Wahał się przez moment, czy nie zadzwonić ponownie. Ale zrezygnował. Przeszukał notes. Po chwilowym wahaniu wybrał inny numer. Do innej kobiety. Kobiety, którą znał jakiś czas temu i, jak mu się zdawało, kochał. Odebrał jakiś starszy, kaszlący mężczyzna. Nie miał pojęcia, o kogo chodzi. Nikt taki tam nie mieszkał. Nie znał opisanej mu kobiety.
- Spojrzał na zegar. Miał jeszcze czas. Zadzwonił w parę miejsc. Do odjazdu pociągu została jeszcze godzina. Poszedł do baru. Wychylił dwie małe wódki. Jedną za drugą. Barman zagadał do niego:
- Wszyscy mamy swoje problemy. Jeszcze jedną?
  - Tak, proszę.
  - Kobieta?
  - Żeby tam... Dziecko... Nie żyje.
  - To straszne. Polać?
  - Tak. Straszne.
  - Nie ma chyba nic gorszego, jak dożyć śmierci swojego dziecka... Polać?
  - Proszę. Mój syn.
  - To na koszt firmy.
  - Dziękuję. Zginął w pożarze.
  - Niech Bóg ma go w swojej opiece.
  - Tak.
- Barman nalał wódkę do dwóch szklanek. Jedną podsunął mężczyźnie, drugą sobie.
- Na koszt firmy.
  - Dziękuję.
  - Wie pan... Pracuję tu już dziesięć lat, swoje się nasłuchałem... tak... swoje się nasłuchałem... Nie wiem, czy nie więcej niż ksiądz w konfesjonale. Jeszcze jedną?
  - Proszę.
  - Niedawno był tu jeden taki gość, któremu utonąła córka. Miała chyba jedenaście lat. To było jego jedyne dziecko. A gość już wiekowy był. Jeździł wtedy raz na miesiąc, odwiedza swoją żonę. Zawsze wtedy wpada tutaj. Po tym wszystkim wyładowała w szpitalu psychiatrycznym. Tragedia, nie?
  - Tragedia.
  - Polać?
  - Proszę.
  - Tragedia. Na koszt firmy.
  - Tragedia. Dziękuję.

## Ciepło

Śniło mi się dzisiaj w nocy, że zmarł mój ojciec. Siedziałem z nim sam na sam w naszym starym domu, upatrując się w jego nieruchome, surowe oblicze. Wiedziałem, że wciąż nie akceptuje mojego stylu życia, lecz nie powie nic na ten temat, dopóki ja sam go o to nie spytam. Ale ja milczałem. Obojętne mi było, co o mnie sądzi. A zresztą, po co miałbym pytać o cokolwiek martwego? Siedzieliśmy tak długo, bardzo długo. Potem przyszli pożegnać się z nim inni ludzie.

Odbyla się też niezwykle uroczysta ceremonia żałobna, ale nie pamiętam zbyt wielu szczegółów. Pamiętam tylko uczucie zdziwienia, wyczekiwania, bo nigdzie nie było widać mojego młodszego brata Martina. A przecież byli z ojcem niezwykle blisko. Był jego pupilkim.

Dopiero w krematorium, gdy za trumną zamknęła się żaroodporna szyba i buchnął ogień, dopiero tam go zobaczyłem. Stał z wyciągniętymi przed siebie dłońmi, tak jakby próbował powstrzymać pochłaniające ojca płomienie.

Biorąc pod uwagę specyfikę naszych rodzinnych relacji, sądzę, że to ojciec poruszył jego rękoma. To on przybliżył jego ręce w stronę ognia, czując, jak bardzo są zmarznięte.

Z tego niemiłego snu wyrwał mnie poranny telefon. Dzwonił ojciec. Pytał, czy nie wiem, gdzie podziewa się Martin. Od trzech dni się już nie odzywa.

– Widziałem go w krematorium... – wyrwało mi się.

– Gdzie?! W jakim krematorium?! Co ty bredzisz! – warknął w słuchawkę ojciec. – Nie pal już więcej tego, co tam palisz – dodał i rozłączył się.

## Chleb i masło

Wyszedłem dziś bardzo wcześnie, ciemno jeszcze było i cuchnęło butwiejącymi korzeniami drzew. Nie znoszę tego zapachu, od dzieciństwa go nie cierpię. Nienawidzę ani tej woni, ani pieprzonej jesieni. Wyszedłem cicho, żeby jej nie zbudzić. Przed wyjściem napisałem kartkę: „kup chleb i masło, kocham”. Położyłem ją na stole, żeby zaraz po przebudzeniu mogła ją zobaczyć. A żeby nie zdmuchnął jej jakiś przypadkowy przeciąg, postawiłem na niej solniczkę.

To był parszywy dzień. Zimno, korki i ani chwili, by coś porządnego wrzucić na ruszt. Przerąbane. Mieliśmy całą masę zleceń. Jeździliśmy z jednego końca miasta na drugi. Wnosiliśmy i znosiliśmy kanapy, fotele, szafy, pralki, lodówki. Taszczyliśmy z góry lub wciągaliśmy na górę dobytek przeprowadzających się klientów. Wnosiliśmy i znosiliśmy ich zasmarkane skarby, pakowaliśmy na wóz w asyście tysięcy syknących, jęków, westchnień i innych dźwięków mających uświadomić nam, że niesiemy nie jakiś do chuja niepodobny kłopot, lecz drogocenny, o niepośledniej wartości mebel, muzealny eksponat, pierdolonego ludwika szesnastego albo i gustawa piętnastego wazę. Oplataliśmy linami całą tę graciarnię, a potem przez miasto we wskazane miejsce i znów w dół lub górę, w górę lub w dół, pod czujnym okiem przerażonego, niezadowolonego, szanownego naszego klienta. I, cholera, nikogo, kto mieszkałby na parterze. Taki niefort.

Wróciłem skonany jak pies. Spała już. Zajrzałem do kuchni. Nie kupiła ani chleba, ani masła. Trochę się wkurzyłem. Nie powiem, nawet bardzo. Napilem się soku. Ochłonałem. Zacząłem główkować. Co jest grane? Jeżeli w sklepie nie było chleba, to rozumiem, że nie kupiła masła. No ale, gdyby, dajmy na to, nie było masła, to chleb chyba kupić powinna. Nie bardzo wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Dopiero po jakimś czasie przyszło mi na myśl, że może nie kupiła ani chleba, ani masła, bo nie wierzy już w moje zapewnienia o miłości.

## Dziewczyna na rurze

To było przypadkowe spotkanie. Nie widzieliśmy się dobrych pięć lat, albo i dłużej. Nie mieszkał już tutaj. Przyjechał na jeden dzień załatwić jakieś pilne sprawy. Kiedyś lubiliśmy się. Poszliśmy na piwo, by pouspominać dawne, studenckie czasy. Weszliśmy w jedną z bocznych uliczek w pobliżu dworca kolejowego. W dawnych czasach był tam całkiem przyjemny lokal. Dochodziła piętnasta, lokal świecił pustkami. Nie była to już ta sama spokojna knajpa, co dawniej. Teraz był to klub go-go. Ale że w środku nie było nikogo i że nie chciał nam się już szukać niczego innego, więc zostaliśmy. Barman polerował szkło. Spojrzał na nas społem tak, byśmy wiedzieli, że mu przeszkadzamy. Nie ukrywał rozczarowania, gdy musiał przerwać swoją pracę po to tylko, by podać nam piwo.

Weszliśmy w głąb lokalu. Przez chwilę, stojąc z kufkami w dłoniach, rozglądaliśmy się po otoczeniu, w jakim przyszło nam pić. Uśmiechnęliśmy się tylko do siebie, jakby porozumiewawczo, i usiedliśmy przy pierwszym lepszym stoliku. Rozmowa nie kleiła się i to pewnie nie tylko z powodu lokalu. Już po

chwili wiedzieliśmy, że chyba niewiele mamy sobie do powiedzenia. Ale jako ludzie kulturalni, wykształceni i z ambicjami za nic w świecie do tego się przyznać nie mogliśmy. Z jakąś masochistyczną radością sączyliśmy to piwo tak wolno, jak tylko się dało.

Po półgodzinie na salę weszła dziewczyna. Niesamowicie zgrabna i ładna. Miała na sobie kabaretki i krótkie dzinsowe spodenki, postrzępione i niemiłosiernie podarte, rozpiętą i przewiazaną na supeł nad pępkiem białą koszulę. Na głowie czarny melonik. Przyjrzała nam się z kąpiącym uśmiechem. Popatrzyła na barmana. Ten uzruszył tylko ramionami i dalej polerował kieliszki. Dziewczyna weszła na scenę. Zapaliła boczne oświetlenie i jednym susem dopadła do rury. Zwinnie okręcała się wokół niej, zjeżdżając do samej podłogi, a im niżej zjeżdżała, tym szerzej rozwierała nogi. Usiadła w szpagacie i wyuczonym gestem ukloniła się, ściągając z głowy melonik. Przyszła tu chyba poćwiczyć przed wieczornymi pokazami. Powtarzała kilkakrotnie tę figurę. A potem inne. Eksponując jej kształty jeszcze śmielej. Teraz piliśmy to piwo już tylko symbolicznie, ledwie dotykając ustami kufli, choć od patrzenia na tę dziewczynę zaschło nam w gardle, jakbyśmy przeszli pustynię. Zdaje się, że to ją bawiło. Wyginała się w naszą stronę, wypinała tyłek błyskający przez liczne dziury w spodenkach nagim ciałem. W końcu jednak zmęczona się, otarła pot o frotową opaskę na nadgarstku. Wyłączyła światła i podeszła do naszego stolika.

– Podobało się?

Nie bardzo wiedzieliśmy, co odpowiedzieć i czy w ogóle coś odpowiadać. Języki przyschły nam do podniebienia. Pokiwaliśmy tylko głowami na znak najwyższego podziwu.

– Jest taki zwyczaj, że płaci się tańczącym dziewczynom...

Sięgnąłem do kieszeni. Wyciągnąłem w jej stronę dłoni z kilkoma pomiętymi banknotami. Wzięła je wszystkie bez mrugnięcia powieką i wetknęła sobie za dzinsowe spodenki.

– A pan?

– Nie... nie mam niestety już nic.

– No to szkoda.

Zakręciła się na pięcie i wyszła. Usiadła przy barze i zapaliła papierosa. O czymś rozmawiali z barmanem. My tymczasem wypiliśmy czym prędzej swoje piwo i ruszyliśmy do wyjścia.

– Do widzenia – rzuciliśmy w progu.

– Niech pan poczeka.

Stanęliśmy, patrząc to na siebie, to na nią nie wiedząc, którego z nas miała na myśli. Dziewczyna wstała od baru i podeszła do mnie.

– Proszę poczekać.

Chwyliła mnie pod ramię i zaprowadziła do sali, z której dopiero co wyszedłem. Zostawiła mnie i zamknęła drzwi. Teraz dopiero spostrzegłem, że część dekoracji ściennych to po prostu były na oścież otwarte drzwi.

– To była tylko próba. A zapłacił pan jak za pokaz. Co pan woli; mam oddać panu pieniądze, czy mam dla pana zatańczyć?

– Wolę taniec.

Usiadłem przy stoliku, a ona zgasiła główne światło i włączyła niebieskawe oświetlenie. Zniknęła za zasłoną, puściła jakiś kawałek disco. Po chwili wróciła w nieco innym już stroju i zaprezentowała swój oszołamiający numer, który zakończyła, stając przede mną zupełnie naga. Olbrzymi, sterczący kutas – jakim obdarzyła ją natura – wyglądał dość komicznie przy tak szczupłej sylwetce. Na głowie tkwił ironicznie przesunięty, umocowany gumką naciągniętą pod brodą, melonik.

## Roboty drogowe

Przywieźli nas tu około siódmej. Rozładowaliśmy sprzęt i czekamy. Rzuciliśmy cały szmeln na brzeg trawnika, żeby nie przeszkadzał samochodom ani pieszym. Na razie tyle tylko mogliśmy zrobić. Teraz siedzimy i czekamy, aż przyjedzie ktoś i wyda jakieś dyspozycje. Młody się niecierpliwi.

– Co tu jest do roboty? – zagaduje do mnie.

– Skąd ja mogę wiedzieć? – mówię. – Przyjedzie kierownik, to pokaże.

Wiem tyle, co i on. Ledwie się zmiana zaczęła, ledwie wskoczyłem w kombinezon, gdy wpadł do szatni brygadzysta, wrzeszcząc jak opętany. Raz-dwa zapakowano nas na wóz i przywieziono tutaj. Sprawa podobno miała być pilna. No, ale chyba nie jest.

– Ciekawe, co jest nie tak? – zagaduje.

Bierze łopatę i wchodzi na jezdnię. Przygląda się asfaltowi. Pomarańczowa kurtka drogowca błyszczy w świetle reflektorów przejeżdżających aut. Kierowcy trąbią na niego jak uściekli, ale on nic sobie z tego nie robi; łązi i szuka Bóg wie czego. Łopatę ciąga za sobą, a ta zgrzyta tak, że znów mnie bołą dawno temu wyrwane siódemki.

– Tu jest jakaś szczelina! Chodź, zobacz!

– Daj spokój – mówię. – Lepiej sobie klapnij.

Nie daje jednak za wygraną; łązi w tę i w tę z tą cholerną, zgrzytającą łopatą. Zatrzymał się i nad czymś duma. Zapala papierosa i idzie dalej. Jakieś pięć metrów przed skrzyżowaniem znów staje i gapi się na przejeżdżające samochody. Wyrzuca niedopałek i wraca. Jest już w połowie drogi, gdy jakaś kobieta z okna w kamienicy wychyla się i krzyczy do niego, że jest jeszcze wcześniej, że nie jest sam na świecie i że może w związku z tym byłby trochę



ciszej? Młody związa łapę w rulon, przystawia do ucha i odkrzykuje:

– Co? Nic nie słyszę!

Kobieta znów swoje, a on jeszcze głośniejsze krzyczy:

– Co? Nic nie słychać! Nie słyszę! Co?

Kobieta wścieka się, bo czuje, że ją ten psychol w pomarańczowej kufajce w trąbę robi, a Młody ryczy już na cały regulator:

– Cooooo? Nie słyyyyyyyszeeeeeeeeeee!

– Ty baranie – wrzeszczy facet z trzeciego piętra – tak, ty! Do ciebie mówię, palancie, przestań ciągać tę łopatę po asfalcie!

Młody po tym wystąpieniu aż wypieków dostał i otarł chusteczką spocone z emocji ręce. No, myślę sobie, teraz to spnie im jakieś wiąchy, ostre jak meksykańskie papryczki. Ale nie, nic nie mówi, choć wewnątrz aż cały drga, bulgoce, mamroce coś w nim jak w robaczywym, obżartym szczurzą trutką kocie, coś tam gruchoce w nim, ale on nad tym panuje, widać, że z trudem, z wielkim trudem, ale trzyma to w ryzach. Ludzie przez chwilę jeszcze między sobą utyskują na wrednych roboli, a potem zatrzaskują okna i znikają.

Młody natomiast, jak gdyby nigdy nic, odkłada łopatę, bierze stojaki, deski i znak „roboty drogowe” i rusza z tym całym majdanem w stronę skrzyżowania. Widać, że męczy się niemiłosiernie, ale truchta powolutku. Przy skrzyżowaniu zatrzymuje się, wyciąga papierosa, zapala. Kończy palić, wyrzuca peta i ustawia stojaki jakieś siedem metrów od skrzyżowania, zawiesza znak „roboty drogowe” i zadowolony z siebie odchodzi na bok. Wszystko wygląda cacy, pięknie i od razu skręcające z prawej auto ostro musi hamować, aby nie wpakować się w ustawioną przez Młodego barykadę. Słychać pisk opon i zaraz po tym łupnięcie. To drugie skręcające auto ujechało w zad temu pierwszemu.

W kamienicy znów otwierają się okna, znów pośród kwiatów pojawiają się przekwitłe twarze lokatorów, gotowych ukamienować tego, który znów nie pozwala im spać. I znów tym kimś jest Młody. No, ale zanim się okaże, że to wszystko sprawka Młodego, najpierw on wsłuchuje się w odgłosy kłótni kierowców, tam jest ostro, zaraz dojdzie do rękoczynów. Młody podchodzi do obu aut i ogląda szkody, ten drugi kierowca już się chyba pogodził z faktem, że to on ponosi winę za stłuczkę. Jechał zbyt blisko tego pierwszego, ale ten pierwszy w ogóle nie jest usatysfakcjonowany sytuacją, ma rozwalony tył auta, spóźnił się do pracy i jeszcze trzeba będzie poczekać na policję, żeby spisali protokół. No i jeszcze ten gość w pomarańczowej kufajce, z tym pierdolonym uśmiechem pod wąsem. Zaraz, czy to nie przez niego czasem to wszystko? No jasne, że przez niego, przecież to on albo ktoś od niego ustawił tu tę zaporę ze znakiem „roboty drogowe”. Od słowa do słowa i nowa awantura się nakręca. Młody triumfuje, dzieje się i to nie mało, dzieje się i to wokół niego się dzieje. Miałby pewnie ochotę trochę dłużej podyskutować, ale nagle od drugiej strony zajezdza kierownik. Wychodzi, wita się ze mną i mówi, że trzeba wszystko zwinąć, bo ktoś tam w biurze źle odczytał zlecenie. To nie o tę ulicę chodzi.

– No dobra, chłopaki, wrzucać ten szmeln na pakę i spadamy, bo tam już cała ulica zalana. No raz, raz.

Młody kiwa z politowaniem głową nad kompetencjami tych z biura, kłania się grzecznie panom kierowcom, nie zapomina też o wkurzonych ludziach w oknach kamienicy, którym śle niskie pożegnalne ukłony. Potem zbieramy cały nasz sprzęt. Pomagam mu przynieść stojaki i deski. Związujemy wszystko i wrzucamy na wóz, siadamy na kłopotach i już nas nie ma. I nigdy nie było.

## Na poboczu

Nagle, tuż po zjeździe z autostrady, auto zarzuciło gwałtownie. Tylny zderzak zahaczył o barierkę. Auto toczyło się jeszcze parędziesiąt metrów i stanęło. Wzniesiony z pobocza kurz opadł. Z auta nikt nie wysiadał. Wewnątrz niego pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, z wyglądu przypominający boksera wagi ciężkiej, oparł głowę o kierownicę i zaniósł się głośnym, spazmatycznym szlochem. Co jakiś czas walił olbrzymią pięścią w klakson i krzyczał przez łyzy:

– To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe... niesprawiedliwe...

Potem położył głowę na owłosionych dłoniach i płakał jak dziecko. W radio spiker kojącym głosem czytał najświeższe doniesienia z kraju i zagranicy. Wojna, tajfun, trzęsienie ziemi, cięcia w budżecie, strzelanina w supermarkecie. Gdy skończył, zaczął się blok reklamowy. Tanie pakiety ubezpieczeniowe, energetyzujące napoje, przecenione auta, środki na hemoroidy. Mężczyzna uspokoił się. Wciąż leżał z głową na kierownicy, ale już nie płakał. Przypominał sobie pierwszą w swoim życiu wyprawę z ojcem na ryby. Porośnięty trzcinami brzeg jeziora tuż przed świtem. Przedzieranie się w ciemnościach poprzez rozstępujące się z cichym, złowrogim szelestem kępy trzcin. Nagłą eksplozję wschodzącego słońca, gdy wypłynęli z zarośli. Leciutko pofalowaną powierzchnię pachnącej glonami wody. Olbrzymią połąć wody skrzącą się odbitym słonecznym blaskiem. Ciałem mężczyzny znów targał szloch. Być może z tęsknoty za tamtym pięknem, za beztroską tamtych lat, być może z żalu nad sobą. Wciąż słyszał głos lekarza: „Pół roku, w najlepszym razie pół roku”.

Po kolejnym ataku płaczu, po kolejnej porcji reklam mężczyzna zasnął. Gdy się obudził, był przerażony. Uświadomił sobie właśnie, że nikomu nie pozostawi takich wspomnień. Nikomu nie przekaze takiego piękna w spadku. Nie miał syna. Dwie dorastające córki mieszkają daleko od niego, każda ze swoją matką. Nienawidziły go. Zarówno matki, jak i córki.

– To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe... niesprawiedliwe...

Rozedrganą dłonią przekręcił kluczyk w stacyjce. Ruszył z piskiem opon. Wślizgiwał się w kolejne zakręty na pełnym gazie, łykał w mgnieniu oka proste odcinki szerokich i pustych autostrad, aż o świcie jezioro pełne ryb otworzyło się przed nim na oścież.

## Ucieczka

Biegłem. Nogi grzęzły mi w błocie. Potykałem się o bruzdy zaoranej ziemi. Pole, przez które biegłem zdawało się nie mieć końca. Przewracałem się. Wstawałem z coraz większym trudem i biegłem dalej. Uciekałem. Gonili mnie jacyś ludzie. Słyszałem ich dzikie wrzaski. Głosy pełne nienawiści, wściekłości. Czasem tuż obok przeleciał rzucony kamień. Niekiedy mijały mnie te kamienie o centymetry. Buty oblepione gliną ciążyły coraz bardziej. Czułem bolesne skurcze w żołądku i serce walące w zawrotnym tempie. Bałem się, że je wymiotuję. Nie przestawałem jednak biec. Dwa albo trzy razy minąłem nadziane na drągi strachy na wróble. Wyglądały jak martwi ludzie. Jak ludzie, którym nie udało się umknąć pościgowi.

Nie wiedziałem, dlaczego uciekam. Ani kto mnie goni. Nie przestawałem jednak biec. Czułem, że nie mogę się zatrzymać. Nie mogę dać się złapać. Słyszałem ujadanie psów. Nie wiem, dlaczego ich nie spuścili. Psom bym nie uciekł. Na pewno nie. Może to ich bawiło? Ta pogoń. Może chcieli sprawdzić, jak długo zdołam biec? Jak daleko dobrnę? Jak bardzo się boję? Jak bardzo chcę żyć? Nie wiedziałem, czego ode mnie chcą. Wiedziałem, że muszę biec, uciekać.

Biegłem coraz wolniej. Czułem, że opadam z sił. To już właściwie nie był bieg. To było przebijanie nogami w grząskim podłożu. Wyrwanie stóp i stawianie ich w następnej błotnej pułapce. W końcu siły opuściły mnie zupełnie. Upadłem na twarz w zimne, lepkie błoto. Gdy udało mi się wstać, ścigający mnie ludzie byli o kilka metrów ode mnie. Mieli w dłoniach kamienie, pałki, metalowe rury. Zamknąłem oczy i czekałem na pierwszy cios. Pociąłem ból w okolicy żeber. Otworzyłem oczy, jakbym chciał uwiecznić, wyrzyc w żrenicach obraz swoich prześladowców. Zabłocone, bezkresne pole zniknęło. Nie od razu zorientowałem się, gdzie jestem. Przez chwilę wpatrywałem się w mrok. Aż zrozumiałem. Byłem w więziennej celi. Leżałem na pryczy. Byłem w celi wraz ze złodziejami i bandytami. Pociąłem ulgę. Prawie radość.

– Czego, kurwa twa mać, krzyczysz po nocach, nowy?

Przy moim łóżku stał stary złodziej. Bandzior. Wytatuowany od stóp po czoło. Człowiek z pewnością groźniejszy od ludzi z mojego snu. To jego powinienem bać się bardziej niż kogokolwiek innego. Ale cieszył mnie jego widok i wdzięczny byłem mu za tego kuksańca w żebra.

– Co ci się tak głupio gęba cieszy? – powiedział i wałnął mnie pięścią prosto w nos.

## Deszcz

Stoję przy oknie i palę. „O czym myślisz?” – pyta żona. – „O czym tak rozmyślasz?”. Nic nie odpowiadam. Nie chce mi się otwierać ust. Patrzę przez okno na kobietę, która idzie pod wiatr z parasolem. Wiatr jest silny i co chwilę próbuje jej wyszarpnąć parasol z ręki. Kobieta jest zmęczona tą ciągłą walką z wiatrem. Nagle zatrzymuje się i wypuszcza parasol z rąk. Przez moment widzę jej twarz, gdy stoi i patrzy za odlatującym parasolem. Jest piękna. A potem opuszcza głowę. Jest cała mokra. Jest przemoczona do suchej nitki. „O niczym nie myślę” – odpowiadam. A potem z wdzięczności, że nie muszę być na zewnątrz, że nie muszę doświadczać podobnego chłodu, nie muszę czuć mokrego ubrania oblepiającego zmarznęte ciało, całuję usta tamtej kobiety, jej usta w twarzy mojej żony. Jest zdziwiona. Żona. Próbuje sobie przypomnieć, jak dawno temu i kto całował ją w taki sposób. Nie pamięta.

## Usterka

To było tak: przychodzi, a ona – „Dobrze, że jesteś – mówi. – Dobrze, że jesteś”. Ucieszyłem się na takie powitanie, ucieszyłem się jak głupi. Nie zauważyłem zupełnie szyderstwa w jej głosie. „Dobrze, że jesteś – powiedziała. – Dobrze, że już wreszcie jesteś!”. Wyszczrzyłem się do niej w naiwnym uśmiechu, ale wtedy już coś przeczuwałem. Coś mi nie grało. No i się zaczęło.

Wydarła się nagle na mnie: „To nie robi się samo! – Wskazała ręką za siebie, na ciekący kran. – Samo się to nie naprawi. Miałeś to zrobić już dawno. Już, kiedy to miałeś zrobić?! Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, już by to było zrobione! Gdybyś był normalnym facetem, wszystko byłoby załatwione jak trzeba. Gdybyś był chłopem z jajami, byłoby to załatwione raz na zawsze!”.

Stała tak z wyciągniętą dłonią, stała i trzęsła się ze złości. Stała tak, pokazując za siebie, i nie przestawała gadać. Gadała i trzęsła się ze złości. Miotła wyzwiska pod moim adresem. Najróżniejsze. Najgorsze z możliwych. Stała tak, trzęsąc się ze złości, i wciąż ręką pokazywała za siebie. I jestem pewien, że jej palec nie wskazywał już na kran. Jestem tego na sto procent pewien, wysoki sędzie, że wskazywał na nóż.

# Obcy

Przyszedł koło południa. Siedziałam przed domem i odpoczywałam. Patrzyłam, jak szedł od strony rzeki. Siedziałam i patrzyłam na idącego przez łąkę mężczyznę. Szedł powoli przez pełną wykrotów i zmurzałych pniaków po wyciętych drzewach łąkę. Szedł jak stary, zmęczony życiem człowiek, jak ktoś, kto nie ma dokąd iść, jak ktoś, kto idzie znikąd. Siedziałam przed domem, grzejąc się w słonecznych promieniach, i patrzyłam. Lubię siedzieć na starym, na ceglach stojącym fotelu, zapaść się w niego, nogi wyciągnąć przed siebie tak daleko, jak tylko się da, oprzeć głowę o nagrzaną od słońca ścianę i czuć na twarzy, czy to ciepło letnich dni, czy też chłodny powiew przypominający, że wkrótce nadejdzie jesień. Potrafię siedzieć tak długimi godzinami, patrząc przed siebie, choć tu nie ma zbyt wielu rzeczy do oglądania – łąka, a za nią zarośla, za którymi powoli snuje się rzeka, ptaki kołujące nad jej leniwymi wodami, czasem zające lub sarny, które zapuszczają się tutaj w poszukiwaniu pożywienia. Wszystko znane, widziane codziennie. Niezbyt interesujący, ale kojący widok.

Dochodziło południe, gdy stanął przed otwartą na oścież bramą. Wahał się, jakby próbował odgadnąć, czy wolno mu wejść. Siedziałam i patrzyłam. Przyglądałam mu się, zastanawiając się, co to za jeden. Wszedł na podwórze. Rozejrzał się, jakby sprawdzając, czy nie ma psów, które mogłyby się na niego rzucić. Skinął głową na powitanie. Zdziwiło mnie trochę, że nic nie powiedział, tylko skinął głową. Zdjął czapkę i przetarł czoło rękawem. Włosy miał gęste, skoltunione, siwe. Czoło pełne bruzd. Całą twarz miał w bruzdach. Wyglądała jak droga w wiosenne roztopy przeorana głębokimi koleinami. Nic nie mówił. Wskazał ręką na studnię i skinął pytająco głową. Najwidoczniej chciał się napić. Może był nie stąd i nie znał naszego języka, a może w trakcie drogi tak mu zaschło w gardle, że nie był w stanie nic powiedzieć? A może był niemowa? Któż to wie. Wskazał ręką na studnię, skinął głową, ale nie ruszył się. Cekał na pozwolenie. Pomyślałam, że to ładnie z jego strony. Pomachałam mu przecząco ręką i zaraz potem dałam znać, żeby szedł za mną do domu. Woda ze studni nie nadaje się do picia. Można ją pić dopiero po przegotowaniu. Kazałam mu iść za sobą. Dałam wyraźny, zapraszający znak. Nie wiedziałam, czy – jeśli coś powiem – zrozumie mnie. Zresztą, od siedzenia w tym fotelu i wygrzewania się na słońcu także nie chciało mi się otwierać ust. Podeszedł pod próg i zatrzymał się. Miał czapkę w dłoniach. Stał w wejściu, przestępując z nogi na nogę. Chyba niewiele dobrego doświadczył podczas swojej włóczędzy. Najwyraźniej bał się. Ciekawe, czy gdyby wiedział, że jestem tu sama, też by się bał? Stał w progu i czekał, aż mu przyniosę wodę. Krzyknęłam na niego, żeby wszedł. Ale nie usłyszał. Wysłałam i kiwnęłam na niego ręką. Wtedy dopiero wszedł do kuchni. Wyglądał niegroźnie, może nawet sympatycznie, gdy tak stał w kuchni i trwożliwie rozglądał się dookoła. Skąd mogłam wiedzieć, że tak będzie? No skąd? Nikt by tego nie odgadł.

Wskazałam mu krzesło przy stole. Usiadł. Podałam mu wodę w szklance i odwróciłam się w stronę kuchenki, żeby zagrzać zupę. Pomyślałam, że pewnie jest bardzo głodny. Tak wyglądał. Dałam mu szklankę wody, a on ją wypił. Wypił, odstawił na stół i umarł. Zdjęłam garnek z zagrzaną zupą, odstawiłam na drewnianą deskę, odwróciłam się do niego, a on nie żył. Myślałam, że zasnął. Byłam pewna, że śpi. Niech śpi, pomyślałam, niech śpi. Wyglądał na bardzo zmęczonego, wyglądał na człowieka u kresu sił. Wyglądał, jakby szedł wiele dni i wiele nocy bez odpoczynku. Niech śpi. Niech sobie śpi, myślałam.

Poszłam do pokoju gościnnego i przygotowałam mu łóżko. Łóżko było bardzo stare, sprężyny jęczały, gdy tylko oparłam na nim ręce. Ale to nic. To nic. Jeszcze było dobre. To solidne łóżko. Pościel była trochę zmięta i mocno czuć ją było naftaliną. Ale pomyślałam, że takiemu jak on pewnie nie będzie to przeszkadzać. Kto wie, kiedy ostatni raz spał w łóżku? W prawdziwej, czystej pościeli. Krzątałam się po pokoju, przygotowując mu łóżko, ręczniki do mycia, ścierając kurze z lampy na nocnym stoliku, a on siedział w kuchni na krześle i nie żył. Skąd mogłam wiedzieć? Myślałam, że zasnął. Byłam pewna, że śpi.

Wróciłam do kuchni. Wyciągnęłam balie do kąpieli i już chciałam nastawić uwiadro, by zagrzać mu wodę, ale pomyślałam, że może nie powinien kąpać się w tej samej balii, co ja. Może być przecież chory. To bardzo prawdopodobne. Mogłabym się jeszcze czymś od niego zarazić, czy ja wiem, świerzbem albo grzybicą. Na samą myśl o tym miałam ochotę obudzić go i kazać mu odejść. Pozbyć się go z domu. Ale spał, to znaczy myślałam, że śpi. Schowałam balie. Z pewnością jest twardy, nawykły do trudnych warunków, umyje się przy studni. Nic mu nie będzie, jak umyje się w zimnej wodzie na zewnątrz.

Próbowałam go obudzić. Ale on ani drgnął. Trochę to trwało, zanim uświadomiłam sobie, że on nie żyje. A kiedy już byłam tego pewna, to nic, tylko usiadłam na krześle i zaczęłam płakać. Po chwili przestałam, wytarłam oczy fartuchem, wysmarkałam nos, siedziałam i patrzyłam na ścianę. Zastanawiałam się, co teraz. Co teraz mam zrobić. Nie wiedziałam.

Zbliżał się wieczór. Siedziałam naprzeciw martwego mężczyzny i myślałam, jak to jest możliwe, że niczego nie usłyszałam. Pamiętam odgłos przełykanej wody, stukot odstawionej na stół szklanki, ale nic więcej. Nie usłyszałam żadnego odgłosu, który mogłabym połączyć z jego śmiercią. Żadnego, na przykład, westchnienia głębszego niż zazwyczaj. To dziwne odejść tak cicho, bezgłośnie, tak niezauważalnie. Naprawdę dziwne. Czasem ludzie odchodzą we śnie, kto wie, jak wielu z nas modli się o taką śmierć, no, ale on nie zasnął. Siedział na krześle zupełnie jak przedtem, z czapką w dłoni, i wciąż miał otwarte oczy. A w tych oczach nic, ani strachu, który widziałam w nich, gdy tu przyszedł, ani ulgi, nic, zupełnie nic. Siedziałam naprzeciw niego i myślałam. Trochę się bałam. Ale nie za bardzo. Głupio było tak siedzieć sam na sam z obcym człowiekiem, z martwym, bezimiennym mężczyzną, który siedział na krześle w kuchni. No i wciąż nie wiedziałam, co robić.

Zapadł zmrok. Ćmy krążyły wokół zapalanej na ganku żarówki. Przypomniało mi się to, co niektórzy mówią o duszach umierających – że w chwili śmierci widzą światło, ku któremu się kierują. Zupełnie jak ćmy, pomyślałam, całkiem jak ćmy. A co, jeśli tak jak ćmy, dusze zmarłych krążą wokół jakiegoś źródła światła, objając się o otaczające go szkło, uderzając w niewidoczną przeszkodę i nie mogą jej przekroczyć? Zupełnie jak ćmy albo muchy na szybie. A co, jeśli zamiast na żarówkę natrafiają na płomień świecy? Gina? Już na zawsze znikają? Zamieniają się w popiół?

Świerszcze cykały na cały głos. Z pobliskiej łąki dobiegało wycie psów. Nad rzeką pokrzykiwały pierwsze nocne ptaki. A ja wciąż siedziałam, patrząc przed siebie i myśląc: co teraz, co ja mam z nim zrobić? Nie może przecież tak bez końca siedzieć na krześle w kuchni z czapką w dłoni.

W końcu znów nastawiłam tę zupę jeszcze raz, żeby się zagrzała. Byłam głodna. Bardzo głodna. Przez cały czas, gdy stałam przy kuchni, miałam go za

plecami, przez cały czas myślałam o nim, że tam jest, że siedzi na krześle i że jest martwy. Aż w końcu oswoiłam się z tą myślą. Strach, choć przecież nie tak znowu bardzo się bałam, już mnie opuścił. Nie ma co się bać martwego człowieka. Martwy człowiek nic nie może mi przecież zrobić. Nalałam sobie gęstej, jarzynowej zupy do talerza i siadłam przy stole. Powoli jadłam i patrzyłam na tego mężczyznę. Tak jakby był znieruchomiałym, milczącym gościem. Sąsiadem, którego zna się od lat i nie ma już o czym z nim rozmawiać. Albo nie tyle, że nie ma o czym rozmawiać, tylko można sobie po prostu posiedzieć i pomilczeć. Nikomu to nie przeszkadza, nikogo to nie krępuje. Nie trzeba gorączkowo przeszukiwać myśli, by znaleźć jakieś słowo, co by się nadało do wypowiedzenia. Zjadłam, usiadłam, oparłszy się wygodnie o krzesło, i na głos zapytałam: „No i co ja mam teraz z tobą zrobić?”. A potem dalej: „Co? Nie wiesz? No widzisz. Widzisz. Ja też nie wiem”. To mi przyniosło ulgę.

Pomyślałam, że może rano coś wymyślę. W dzień będzie łatwiej coś postanowić. Chciało mi się już spać. Po jedzeniu zwykle ogarnia mnie senność. No, ale przecież nie mogę go tak zostawić. Postanowiłam przenieść go do pokoju, gdzie czekało przygotowane już łóżko. Spróbowałam dźwignąć go z krzesła. Był ciężki. Nie dałam rady. Nie pamiętam, może dopiero za piątym razem udało mi się przenieść go z krzesła na podłogę. Potem ciągnęłam go po podłodze, co rusz przystając. Opierałam go sobie o nogi i odpoczywałam. Czułam, jak krew pulsuje mi w żyłach z wysiłku, serce łomocze, jakby chciało wyskoczyć przez krtań, ciemne plamy pojawiały się w oczach. Nie mam pojęcia, jak długo to trwało. Chudy był, wymizierowany, ale ledwie dałam radę. Myślałam, że nigdy nie uda mi się go tam zawlec, myślałam, że skonam z wysiłku.

Ale jeszcze trudniej było położyć go na łóżku. Nie miałam już sił. Co chwilę musiałam odpoczywać, a on wciąż zsuwał się na podłogę. Oparłam go plecami o kółko, sama też tak usiadłam, by odpocząć. Siedzieliśmy tak oparci o łóżko jak rozczarowani sobą kochankowie. Ledwie chwytałam oddech. Długo odpoczywałam. I wciąż z przerażeniem patrzyłam na niego, przerażała mnie myśl, że muszę go jeszcze wciągnąć na łóżko.

Potem wpadłam na pomysł, że najlepiej będzie, jak wciągnę go na siebie i wtedy razem z nim rzucę się na łóżko. Tak zrobiłam. Poszło łatwiej, niż myślałam. Naprawdę poszło gładko. Potem zepchnęłam go z siebie i ułożyłam na plecach, na samym środku łóżka. Wychodząc, zgasiłam światło i zamknęłam drzwi na klucz. Nie wiem, po co. Poszłam do siebie i, ledwie przyłożyłam głowę do poduszki, zasnęłam. Zasnęłam jak dziecko. Dawno tak szybko nie zasnęłam. Nie pamiętam, żeby mi coś się śniło, ale i tak raczej nigdy nie pamiętam swoich snów.

Gdy obudziłam się rano, byłam cała obolała. Od razu sobie przypomniałam, z jakiego powodu. Zostałam w łóżku, żeby jakoś przeczekać te bólesci i pomyśleć, co zrobić z tym martwym mężczyzną z gościnnego pokoju. Zupełnie nic nie mogłam wymyślić. W końcu wstałam. Chodziłam z trudem. Jakbym była pełną starowinką. Po śniadaniu poczułam się trochę lepiej, więc poszłam do niego. Nasłuchiwałam pod drzwiami. Zastukałam cicho. Może jednak żyje? – myślałam. – Może jednak żyje? – choć wiedziałam dobrze, że nie. Otworzyłam drzwi; leżał tam tak, jak go zostawiłam wczoraj. Dotknęłam go – był zeszytywniały. Usiadłam na brzegu łóżka i patrzyłam na obraz zawieszony na ścianie. Widać na nim rozdzielone ciemne chmury, a pomiędzy nie, w stronę światła leci podtrzymywany przez anioły, krwawiący Chrystus. Kiedyś, gdy byłam mała, lubiłam ten obraz. Ale teraz, kiedy pociemniał od kurzu, pociemniał od wilgoci, światło, do którego leci Chrystus, nie jest już tak jasne, tak czyste, bardziej wygląda na światło świec niż boską czy słoneczną jasność. Z przyzwyczajenia bardziej niż pobożności przeżegnałam się i poszłam do kuchni.

Nastawiłam wodę, by się zagrzała, wzięłam krawieckie nożyce i wiadro na śmieci. Wiedziałam, że nie dam inaczej rady go rozebrać, pocięłam więc odzież na nim i wyrzucałam strzępy do kubła. Resztę wyszarpnęłam spod niego. Wrzuciłam to wszystko do ognia. Przyniosłam wodę, mydło, ściereki i gąbkę. Umyłam go starannie. Ale nie przewracałam już nawet na bok. Nie miałam siły. Przez chwilę wahałam się, czy mam też obmywać jego przyrodzenie. Ale w końcu przemogłam się. W końcu to tylko martwy mężczyzna. Wstyd nie ma sensu. Umyłam mu członki i krocze. Potem go wytarłam. Nie był nawet taki brudny, na jakiego wyglądał, gdy stanął na podwórzu. Jego ubranie było brudne, brudne i znoszone. On sam był czysty. Musiał niedawno się kąpać. Może w rzece? Kiedy tak leżał nagi na samym środku łóżka i gdy tak na niego patrzyłam, zdałam sobie nagle sprawę, że w ogóle nie pamiętam mężczyzny, z którymi się zadawałam. Nie pamiętałam ich ciał, twarzy, członków. Zaledwie jakieś rozmyte obrazy, nie wiadomo w dodatku, czy nie wymyślone. Wszystko przepadło. Wszystko.

Nagle poczułam bolesny żal gdzieś w środku. Nie mogłam już na niego patrzeć, gdy tak leżał nieruchomo. Z otwartymi oczami pełnymi pustki. Nie mogłam. Wszystkim, co tylko znalazłam w szafie, zakryłam go. Byle tylko nie widzieć tej obcej twarzy, tego ciała, które przypomina o tym, co zapomniane. Wyszłam i zamknęłam drzwi na klucz. I znów cały dzień zastanawiałam się, co zrobić. Nie wiedziałam. Ale nie chciałam tam już wchodzić. Nigdy już tam nie weszłam. Dni mijały a ja wciąż nie wiedziałam, co zrobić z tym obcym. W końcu przestałam o nim już myśleć, ale któregoś dnia zaczął cuchnąć. Zatkąłam szpary szmatami, ale to nie pomogło. Wyszorowałam całą kuchnię lizolem, ale to dało dobry efekt tylko na kilka godzin. Potem zaczęło cuchnąć jeszcze bardziej. Poszłam poszukać czegoś w piwnicy. Znalazłam tam bryłę smoły, która została po naprawie dachu. Zagotowałam ją we wiadrze na podwórzu. Posmarowałam drzwi gorącą smołą i przylepiłam na wierzch styropian, co zostało po ocieplaniu domu. A potem jeszcze raz zasmołowałam wszystko starannie. Przez kilka dni czuć było tylko smród smoły, ale lepsze to niż tamten odór. W końcu jednak i przez zaporę ze smoły przebił się ten straszliwy odór rozkładających się zwłok.

Zupełnie już nie wiedziałam, jak sobie z tym poradzić. Nie mogłam nikogo poprosić o pomoc. Nie mogłam i nie chciałam wyprowadzać się z własnego domu. Poszłam na tyły i wybiłam wszystkie szyby w oknach gościnnego pokoju. To chyba pomogło. Smród jakby zelżał.

Ale po dwóch może dniach zza drzwi i ścian, szczególnie nocami, a potem także i we dnie dochodziły straszliwe urzaski dzikich zwierząt. Szczury, koty, kuny i inne zwierzęta urządziły tam sobie żerowisko. Trwało to wiele tygodni. A potem ustało.

Dziwna była z początku ta cisza. Dziwna i straszna. Straszniejsza od tych urzasków zwierzęcych. W jakiś dziwny sposób i ja się do niej dostosowałam. Starałam się robić jak najmniej hałasu. Przestałam w ogóle mówić do siebie na głos. Sprzątałam tylko tyle, ile było niezbędne. Szczapy na rozpalkę rąbałam na zewnątrz. Dziś, gdy siedziałam, wygrzewając się w słońcu, rozmyślałam o tym człowieku, o tym obcym mężczyźnie, który przyszedł i grób sobie zrobił z mojego domu. Myślałam o nim długo, ale w końcu niewiele wymyśliłam. Wciąż nie wiem, nie wiem, jak mam to widzieć – czy ten obcy człowiek, który przyszedł do mego domu i umarł, czy w ten właśnie sposób zaszczycił mnie, obdarzył swoim najużyźszym zaufaniem, czy też obrzucił najgorszego rodzaju obelgą? ●

Proza

# Ostatnie widzenie znad zatoki

---

Radosław Wiśniewski





iatr, który gnał  
was od kilku-  
dziesięciu godzin  
przez środkowy  
Bałtyk, wyraź-

nie zaczął słabnąć późnym popołudniem na wysokości latarni Stilo. Ciśnienie ciągle rosło, ale wraz z nim morze wcale się nie uspakajało. Kapitan doszedł do wniosku, że zeszłście za nisko w stosunku do punktu docelowego. Niby sternik miał iść w nocy trochę na lewo od światła latarni, tak, żeby o świcie można było tylko nieco odpaść z kursu i popłynąć w stronę Helu, ale czy to przez nieuwagę, czy przez jakiś magnetyzm, który wywołała świadomość, że to już polski brzeg, zeszłście centralnie na wprost latarni. Trzeba było zrobić zwrot na północny-wschód i wykonać długi hals w głąb morza, żeby wrócić pod polskie wybrzeże w okolicach latarni Rozewie nad ranem kolejnego dnia, idąc pełnym kursem w kierunku wejścia Zatoki Gdańskiej.

– Blisko, coraz dalej – mruczał co chwila Guzman, parafrazując tytuł serialu z czasów dzieciństwa. Pewnie gdzieś na przedłużeniu waszego kursu leżało Yarmouth, a całkiem być może nawet powtarzaliście halsy, które 200 lat wcześniej robiła łódź Sama Barkera, tyle że wiatr słabł coraz bardziej, a ciśnienie jakby na złość zaczęło spadać zamiast rosnać. Wrażenie zanikania wiatru potęgował fakt, że szliście z wiatrem. Pod wieczór chmury się przerzedziły zupełnie, wyszło jeszcze ciepło, bardziej jesienne niż letnie, niskie słońce, a siła wiatru spadła do około dwóch stopni w skali Beauforta. Morze było jeszcze rozbuja-  
ne i „Mokotów” tańczył delikatnie na martwej fali. Po prawej burcie minęliście Rozewie, a po jakiejś półgodzinie spokojnej żeglugi pojawiły się coraz gęściej zaludnione plaże koło Władysławowa. Po kilkunastu dniach, kiedy oglądaliście tylko skaliste wybrzeża Szwecji, gdzie żeby się wykapać, trzeba było udać się długim pomostem w głąb morza i tam skorzystać z drabinki – naturalna, żółta barwa piasku działała kojąco. Od brzegu dobiegało swojskie dudnienie jakichś popularnych hitów lata, które puszczał spragniony wypoczynku i spokoju rodak na wywczasie z prywatnego radjyka tranzystorowego ukopanego dołną krawędzią w piach. Niósł się dźwięk swojski i coś mimowolnie puszczało w środku, mimo, że wciąż byliście na morzu, ciągle szliście z wiatrem, a do portu ciągle były co najmniej dwie zmiany wachty i wiele mogło się jeszcze wydarzyć. A jednak jakaś ulga, że zrobiliście przelot przez pół Bałtyku i jesteście już prawie u siebie. Wszyscy. I nawet to dudnienie Radia Eska, zamiast drażnić, dawało poczucie rozprężenia.

– No dobra, proszę pakować co się da i porządkować co się da, czyli rzeczy osobiste – zakomenderował kapitan. – A dokładny klar zrobimy pewnie i tak w porcie. Panie Pierwszy, Pan przejmie wachtę, a ja pójdę ciąć komara i jakby coś się działo, to mnie obudzicie oczywiście. Kapitan nie powiedział tego głośno, ale zapewne przewidywał, że wejdziecie do Gdyni w nocy, względnie wcześniej nad ranem, dlatego aby móc wysłać załogę na zasłużony odpoczynek, trzeba było porządkki zacząć teraz. A przecież nie mówi się, kiedy będziecie w porcie,

tylko ile mil przed tobą. Wszyscy, którzy nie byli na wachcie w bajzlu, w jaki zamieniło się wnętrze „Mokotowa” przez kilkanaście dni, zaczęli szukać swoich rzeczy i zbierać je powoli do plecaków. Rzeczy mokre wyrzucano na pokład, aby podeschły w popołudniowym słońcu, ale było ich oczywiście za dużo jak na powierzchnię pokładu i po chwili majtki, koszulki, ręczniki, spiwory pojawiły się na linkach relingów, fałach, związane do rączek otwartych luków, a także do przyklejonych na silikon nawiewników. W ciągu kilkunastu minut jacht stał się bardziej podobny do cygańskiego taboru, tyle że w wersji pełnomorskiej. Marecki przez ten czas miał się po magazynku materiałów sanitarnych, na jaki zamieniono bezużyteczny kibel, a potem wynurzył się bez słowa z naręczem kilkunastu niewykorzystanych rolek papieru toaletowego. Zdjął uprząż bezpieczeństwa i zaczął owijać się srajta-smą łapczywie, chaotycznie, tak jakby chciał zrobić z siebie mumię, co było niemożliwe, bo wówczas nie mógłby się ruszać, a ruszał się przecież cały czas, usiłując zaplatać się w jak największą ilość rolek. Z zejściówki wychynęła po chwili postać Dedasa, który wyciągnął spod stołu w nawigacyjnej boom-boxa na baterie, z którego słuchaliście co wieczór rybackiej prognozy pogody na kolejny dzień dla środkowego i południowego Bałtyku. Ustawił go na repetytorze kompasu nad zejściówką, złapał jakieś radio z łądu i ryknął na cały regulator, jakby odpowiadał ogniem jakiemuś wczasowiczowi z plaży koło Władysławowa. Radiomagnetofon tak jakby czuł, że to jego ostatnie godzinę życia; charczał refrenem hitu zespołu O-Zone:

*Vrei sa pleci dar nu ma, nu ma iei,  
Nu ma, nu ma iei, nu ma, nu ma, nu ma iei.  
Chipul tau si dragostea din tei,  
Mi-amintesc de ochii tai.*

Dedas zawiązał sobie mokre niedosuszone kalesony Guzman na głowie jak turban, a Guzman z kolei założył na głowę zwinięty w walek ręcznik i obaj rozpoczęli niejasnej proveniencji taniec rytualny, w którym to głównie gibali się na boki w takt muzyki lub kadłuba i wykonywali szybkie, rytmiczne, okrzęne wymachy rękami zaciśniętymi w pięści. Marecki w tym czasie, zawięty w kilkadziesiąt metrów papieru toaletowego, doczłapał do kosza dziobowego, chwycił jedną ręką sztag i zawisł wychylony ku morzu, jakby był Kate Winslet podtrzymywaną na flagsztoku „Titanica” przez Leonardo Di Caprio. Drugą ręką zaczął teatralnym gestem wrzucać nie zużyte rolki papieru toaletowego przed dziób jachtu. Część z nich drugim końcem zawinięta była wokół części ciała drugiego oficera, przez co po wykonaniu wspieranego słabym wiatrem parabolicznego lotu rozkładały się promieniście wokół dziobu jak skomplikowana rozeta, której centrum był Marecki. Po tych rollach, w które zręcznie zaplatał się drugi oficer, przyszła kolej na te zwoje drogocennego papieru, które były zupełnie nietknięte. Te leciały dalej i wyżej, były bowiem cięższe i rozwijały się dopiero w locie, łapiąc opór powietrza. Wpadały z bezgłośnym niemal pluskiem do wody i te, które zdążyły się w locie rozwinąć, przez chwilę unosiły się na powierzchni, znacząc szlak jachtu na lewo i prawo od kilwatu za rufą.

– Jezu, jak my musimy wyglądać z brzegu – jęknął Paweł, któremu Baku zdał komendę, patrząc na Guzman, Dedasa i Mareckiego – szczególnie ten pajac na dziobie...



– Jak to jak? Jak Łódź Świtezianki – odpowiedziałeś rozparty na ławce po lewej stronie kokpitu i spróbowałeś sobie wyobrazić, jak was widzą wczasowicze niewątpliwie licznego, ale jednego z ostatnich turnusów we Władysławowie, odlegli na oko o jakieś kilkaset metrów. – Zastanów się lepiej, czy to nie okazja, żeby obudzić Baka? Może właśnie takie coś miał na myśli, kiedy mówił „obudźcie mnie, jak coś się będzie działo”...

– Kapitanie! – ryknął Paweł do zejściówki, skąd dobiegło stłumione stęknienie. – Kapitanie!

– No, ja jeszcze nie zdążyłem oka zmrużyć, Panie Pierwszy – odezwał się jowialnie kapitan i po chwili jego owalna twarz pojawiła się w zejściówce. Spojrzał na płasającego Dedasa z kalesonami Guzmana na głowie i Guzmana we własnej osobie z ręcznikiem w kształcie turbanu obok. Postąpił krok wyżej i ujrzał na Mareckiego-Świteziankę na dziobie, od którego rozchodziło się promieniście kilkanaście taśm papieru toaletowego, a ten tkwił z podniesioną głową i ręką wyciągniętą ku niebu.

– I to jest ten powód, dla którego nie poszedłem spać? – Kapitan odwrócił się z uśmiechem do Ciebie i Pawła. – A co, to ja nie wiem, jaki jest mój los na tej łajbie? Całe życie z wariatami i znikąd pomocy, ot, co. Ale, Panie Pierwszy, jak już to wszystko minie, proszę jakoś, używając własnego autorytetu dowódczego, doprowadzić do porządku pokład, żeby nie wyglądał, jakby granat w burdel pierdolił. To raz, a dwa – proszę o dopilnowanie, żeby wszelkie nadłamane, uszkodzone części doprowadzić do stanu, w którym nie będą na takie wyglądały przy zdawaniu łajby i negocjowaniu zwrotu kaucji, bo inaczej nici z obiadu kapitańskiego. Gdzie jest karton „Łaciatego”, strzykawki z silikonem oraz inne rzeczy do naprawy i maskowania uszkodzeń, wie załogant... ekhm... drugi oficer ...yyyyy... wie Świtezianka.

Kapitan zsunął się do wnętrza jachtu i jak na zawołanie w żagle uderzył silniejszy podmuch wiatru, tak jakby jego zelzenie było tylko chwilowym kaprysem. W ciągu godziny wszystkie mokre szmaty, powywieszane gdzie się dało, bez komendy oficera pozniwały we wnętrzu kabiny. Kiedy schodziłeś ze swojej wachty, mijaliście właśnie cypel Helu, a z zapisów na mapie wynikało jednoznacznie, że zostało wam mniej niż 15, może 20 mil morskich. Kapitan wspominał, że spadnięcie jeszcze trochę za cypel Helu, żeby potem łatwiej było dojść jednym halsiem do Gdyni.

– Blisko, coraz dalej – mruknąłeś, układając się na koi i zastanawiając się, czy jest sens zdejmować sztormiak, kalosze, czy po prostu tylko wyciągnąć się płasko na kocu i przedrzemać do czasu wejścia do portu. Jest coś uroczego w tym powolnym, stopniowym ponownym wchodzeniu w zasięg. Najpierw światło latarni morskiej dwie noce temu. Początkowo słabe jak światła promu widziane ze Srebrnej Baszty w murach Visby, potem wyraźniejsze, pewniejsze, błyskające w określonym interwale, ciągle w tym samym namiarze, dodające pewności. I czujesz okrucieństwo tego, co musieli czuć tamci, chociażby na granicy życia i śmierci, kiedy znajdowali się w zasięgu światła latarni morskiej. Noc nie była już tak czarna, fale zdawały się mieć gdzieś kres. Tak sobie to wyobrażałeś, że tak mogli się czuć. Potem, popołudniem, te plaże o ciepłym, żółtym odcieniu złamanym u góry zielenią linii drzew, jak wstążka w poprzek widnokręgu. Tak, można uwierzyć w to, że wojna skończyła się wiele lat temu, a plaże nad polskim morzem są naprawdę piękne i to wcale nie dlatego, że są polskie, ale

dlatego, że są. Odgłosy swojskiego dyskotekowego łupania od brzegu o zachodzie słońca, jak to na wczasach, jak to w Polsce, wejście w zasięg nadajników telefonii komórkowej, o czym świadczyła nagle lawina sygnałów nadejścia smsów, którymi jacht rozbrzmiewał przez dobrych kilka minut. O zmierzchu bezpiecznie minęliście podwodną kosę piachu na przedłużeniu cypla i poszliście dalej w noc, czerń – jakby to nie był powrót, ale kołowrót. Wiatr przybrał na sile i zaczął zmieniać kierunek, co świadczyło, że zbliża się kolejne centrum niżowe.

– Teraz raczej będzie się już tylko wznagał – doszło cię pod pokładem oderwane zdanie oficera wachtowego z góry. Leżałeś na koi trzeszczącego w mocowaniach jachtu. Nogami opierałeś się o stół nawigacyjny, gdzie co pół godziny oficer nanosił pozycję, prędkość, kurs i dokonywał wpisu do dziennika pokładowego. Koło ucha morze za dwoma klepkami położonymi wzdłużnie w poszycie wydawało dźwięki, tłukąc coraz silniej o burty. Chciałoby się spać, ale było blisko i coraz dalej. A zatem leżałeś na koi, która była wąska, twarda i wilgotna w sposób, w jaki stają się wilgotne rzeczy po kilkunastu dniach rejsu, mimo wietrzenia kabiny, pompowania wody z żęzy. Udać, że nie da się z nich wycisnąć ani kropli, a jednak czujesz, że są wilgotne. Na ścianie u wezłowania wisiała twoja uprząż oraz mokre sztormiaki, a wszystko się kolebało, obijało, stukalo, przemieszczało i trzeszczało z cicha. W bakistach w takt skomplikowanych ruchów jachtu na fali turlały się resztki prowiantu, w tym dwa słoiki gulaszu z serc kurzych. Podniosłeś się z koi tak, żeby nikogo nie obudzić, założyłeś wilgotne wewnątrz kalosze, ubrałeś z powrotem sztormiak, uprząż i wyszedłeś na pokład. Dźwięk morza i wiatru zmienił się. Nie był to już chłupot zza burty, ale ciągły szum, który ma tę samą częstotliwość, co ludzka mowa. To dlatego dziecko nie słyszy rodziców, gdy stoi nad brzegiem morza i patrzy w dal, w obszerną nicość, z której kiedyś przyszło na świat, i nic nie wzrusza wówczas jego nieistniejącej duszy w tej kontemplacji. Baku stał na ostatnim stopniu zejściówki oparty klatką piersiową o repetytor kompasu i popijał liściastą herbatę zieloną z blaszanego kubka. Fale zaczynały powoli wchodzić na pokład, najpierw nieśmiało, pojedynczymi bryzgami, potem coraz śmielej. Za rufą widać jeszcze było światła nawigacyjne koło Helu. Coraz mniejsze, coraz słabsze. Wschodnia część zatoki, w głąb której szliście, wydawała się być matnią. Wreszcie po kolejnym naniesieniu pozycji na mapę Baku rozejrzał się po pokładzie, spojrzał na ciebie i powiedział:

– No, to dobrze, że mamy jednego załoganta w zapasie. Zrobimy zwrot i idziemy prosto na marinę Gdynia.

Rozdał obecnym po jednym cukierku kawowym „Kopiko”, dając chwilę na przetrwanie tej wiadomości. Wszystkie czynności, wykonywane zapewne ostatni raz w ramach tego rejsu, poszły wyjątkowo sprawnie, a światła, które wydawały się być mirażem na horyzoncie, zaczęły stawać się bliższe, formując się powoli w obłoki sodowej, czerwona wełna łuny nad Gdynią. Spod pokładu dochodził głos kapitana wywołującego przez radio marinę Gdynia. Raz. Drugi. Trzeci. Dlaczego nie odpowiadają, do cholery? Może śpią? Kapitan wywołał marinę Gdynia czwarty raz. I wreszcie głos dyżurnego, potwierdzającego warunki podejścia, wolne miejsce, wypowiadającego pierwsze słowa powitania, brzmiały jak słowa Toma Hanksa w tej scenie „Apollo 13”, kiedy po długiej przerwie okazuje się, że lądownik nieuszkodzony osiada na wodach Pacyfiku. Pojedyncze światła roz-

wijały się w szpaler, coraz bardziej zapełniały horyzont. Żagle zrzuciście, mając przed dziobem podświetlony Teatr Muzyczny i krzyż na Kamiennej Górze, po czym pyrkając dieslem, który o dziwo odpalił bez kaprysów, na resztkach paliwa stanęliście w miejscu, które przez radio wskazał wam dyżurny w marinie. Kapitan zarządził przerwę na kąpiel i dosypianie do południa. Zdanie jachtu miało się odbyć dopiero następnego dnia rano, był więc cały dzień na klar, pakowanie, naprawy i wieczorny bal kapitański, na który – z braku kaucji – środki założyć miał sam kapitan. Zaraz po zacumowaniu jachtu wszyscy polecili do umywalni tylko po to, żeby się przekonać, że ojczyzna wita płatnym prysznicem w cenie, jakiej nigdzie nikt nie widział, a mianowicie 5 złotych za pięć minut, przy czym automaty wrzutowe dla konkretnych kabin były po drugiej stronie umywalni. Niewątpliwie zapewniało to nie tylko pełną kontrolę zużycia wody dzierżawcy umywalni, ale także dodatkową zaprawę poranną załóg jachtów w postaci biegów z mydłem w rękę od prysznicza do automatu i z powrotem. Tak, jakby czystość ciała była fanaberią, rzeczą, która może się zdarzyć, ale należy ogólnie jednak do niej zniechęcać i myć się tak, jak Krwawy Hegemon: raz w roku, na święto Kupały. To wszystko jednak nie bolało, skoro wojna skończyła się dawno temu, a nasze plaże naprawdę wydawały się po prostu piękne. Tego samego dnia po pobudce, która przyjdzie rzeczywiście koło południa, skończycie wszystkie zajęcia na pokładzie do siódmej wieczorem. Po odebraniu frontu robót i zmówieniu tradycyjnych pacierzy nad uszkodzonymi częściami wyposażenia jachtu, chwyconymi na silikon przed jutrzejszym zdaniem jachtu, Kapitan wyda ostatnią komendę tego rejsu:

– Załoga w lewo zwrot, na bal kapitański marsz!

Zaczniecie o zmierzchu w jakiejś napchanej pizzerii przy skwerze Kościuszki. Stolik obok będą zajmowali mocno wytatuowani reprezentanci przyszłego pokolenia wykłębłych grillujących, którzy formowali dopiero swoją ostateczną tożsamość. Popatrywali na was, bandę chudeuszy, z pewnym zażenowaniem i politowaniem. Razem z wykłętymi siedzieli ich cizie oraz świnki w bardzo długich tipsach, błyskając archetypowymi odcieniami opalenizny jak z solarium. Nie przysłuchiwaliście się ich rozmowie, ale pełna była pohukiwań, rechotu i monosylab. Zamówiliście kilka wielkich porcji pizzy, wiadro piwa i do tego drugie wiadro butelkowanej coli.

– Rany Boskie, ponad dwa tygodnie ścisłej diety i zaraz wszystko sobie odbijemy – powiedziałeś ze smutkiem. – A tak sobie myślałem, że sobie przy tej okazji schudnę po rzuceniu palenia...

– E tam – rzucił Bakowski. – Po takim długim czasie pierwsze kilka posiłków w ogóle nie ma wpływu na wagę ciała. Fizjologia jest taka, że wszystko zamienia się od razu w masy kałowe...

Jeden z wykłębłych grillujących z wytatuowanym celtyckim krzyżem na przedramieniu, które było grubości łydki Guzman, jakby zakaszał nad karkówką, a jego cizia łypnęła ku wam złym wzrokiem. Baku rozparł się wygodnie na krześle i wyciągnął ręce za głowę. Oczy błyszczały mu dziwnie wesoło.

– Tak więc, załogo, smacznego i do wyrobu mas kałowych przystąp! – powiedział głośnie, jakby wydawał komendę na pokładzie i zaraz potem wypowiedział sakramentalne słowo, bez którego załoga nie miała prawa spożywać niczego na stole, chociażby umierała z głodu.

– Smacznego!

– Dzie-ku-je-my – odpowiedziała chóralnie załoga i zabrała się do jedzenia. Guzman chwycił zębami wielkie kęsy pizzy, z których na brodzie zsuwały mu się farfocle smażonego sera. Wyglądał jak zadowolony z siebie zwierzę. Trochę parsknął przy tym, a trochę sapnął jak zadowolony, rozbawiony pies i w tym zadowoleniu z pełną gębą powtarzał ciągle jak mantrę:

– Masy kałowe... mhmhm ... masy... kha... kałowe, kałowe masy...

Po czym popijał piwem zmierzwioną masę sera, mięsa i ciasta, którą można było obserwować dzięki temu, że powtarzając słowa o masach kałowych, ciągle rozdziawiał gębę.

– A tak, Guzman, masy kałowe, żebyś wiedział – powiedział, śmiejąc się, kapitan. – Do tego w dużych ilościach!

Wytatuowani i wykłęci ściszyli rozmowy, a po chwili zupełnie ich zaprzestali i podnieśli wzrok znad swoich talerzy. Ten najbliżej was podniósł łeb do góry jak zwierzę, które ma kłopoty z przełykaniem i kaszlnął znowu kilka razy, aż żyły na skroniach wyrysowały mapę tajemniczego dorzecza nieznannej krainy, na pewno nie Polski. Baku nic nie jadł, ale popijał piwo z wysokiego kufła, a w oczach i twarzy miał wyraźne zaproszenie do bójkę dla tamtych czterech. Patrzył na ich spięcie z wyraźnym rozbawieniem i odprężony czekał. Tak, jakby do pełni radości po udanym rejsie i powrocie z kompletem załogi i pokaźną ilością mil i godzin, do stażu brakowało mu jeszcze tej wisienki na torcie, tego matchboxa na piramidzie z dzinsów, kawy i papierosów w sklepie Pewexu. Tamci jakby wyczuli, że wprawdzie załoga wygląda gremialnie na konusów, ale ten w środku, wielki jak niedźwiedź, zrelaksowany jak lew facet może być problemem. Nie mogli wprawdzie wiedzieć, że nie tylko jest wielki, silny, ale także trenuje dżudo, ale przestali patrzeć w waszą stronę, a nawet w stronę Dodka, który podchwycił Guzmanową pieśń żeglarską, szantę, melorecytację o pracy jelit i przez moment obaj śpiewali chwałę mas kałowych na głosy, ścigając się, kto bardziej obrzydliwie będzie wchłaniał pizzę z piwem. Jeden z wykłębłych grillujących zaczął poklepywać po plecach tego, co niby kaszlał, a naprawdę krztusił się od kilku chwil i zarazem przecież nie mógł tego pokazać, bo by wyszło, że zakrztusił się przez któregoś z was, albo przez was wszystkich naraz. Jego dziewczyna dołączyła do poklepywania, ale nieskoro jej szło, bowiem dłoni musiała układać w łódce z nierówno zachodzącymi na siebie palcami z powodu tipsów i uderzenie nie miało mocy, a raczej dawało tylko wsparcie moralne, a i to do czasu, kiedy kumpel zakrztuszonego warknął:

– E, Julita, kurwa, weź przestań, no bo ochuciej idzie – po czym zwrócił się do swojego kolegi: – Zdzichu, lepiej już? Lepiej?

I dzielił Zdzicha z całej siły w plecy, aż ten zgiął się na rancie stołu, w oczach krwią zabłysnął, zasunął w pół powieki, wciągnął w głąb pól brzucha, ale chyba pomogło na tyle, że odzyskał mowę ludzką. Wygulgał, że chyba pora już iść i pozostali wykłęci szybko wstali i wyszli, zapłacisz widać wcześniej, zostawiając was samych w ogródku pizzerii.

I oto znowu jesteście, jesteście, jesteście, wróciliście, wróciliście. I stało się jak zawsze, że w pierwszych słowach swojego powitalnego listu Polska wybijała sobie zęby o próg rodzimej chaty, żeby przez resztę czasu seplenić i nie być w stanie wypowiedzieć żadnego zdania na poważnie. Tak było teraz i tak było, kiedy wróciliście z Małgorzatą i Wiktoria z Argentyny. Nie zdążyliście jeszcze dobrze wyjść z rękawa

łączącego samolot z terminalem, a już spikerka lotniskowa wystudionowanym głosem lalki Barbie zaczęła wam opowiadać o tym, że trzeba uważać na pozostawiony bagaż. No wiadomo, pomyślałeś, dobrze, że uczą ludzi dobrych zachowań, ale zaraz na jednym wdechu spikerka zaczęła wymieniać kary, jakie grożą za pozostawienie bagażu bez nadzoru na lotnisku. Tak, jakby nie było oczywiste, że jeżeli ktoś zostawia bagaż z bombą w środku, to nie za bardzo liczy się z grzywną i sądem grodzkim czy kolegium na chuliganów, a jeżeli robi to przypadkiem, to zamiast straszyć grzywną, może wystarczyłoby wytłumaczyć, poinformować, przyuczyć. Tak, jak policjant w mieście York, który zobaczywszy samochód zaparkowany na rogu, nie zajął się fotografowaniem pojazdu, spisywaniem jego numerów rejestracyjnych, wypisywaniem mandaciku, który w woreczku strunowym (no, ile pan jechał, panie kierowco?) zostawił za wycieraczką i wynik, wykrywalność oraz przychody poprawi jednym ruchem. Nie, ten policjant pytał się ludzi, czy nie wiedzą, kto tak głupio zaparkował, bo przecież to sprawia zagrożenie na drodze i on musi temu człowiekowi wytłumaczyć, że musi usunąć to auto, zanim on, Policjant Jej Królewskiej Mości, nie wezwie kogoś z pomocy drogowej. A kiedy pojawił się właściciel, policjant nie wypisał mandatu, tylko pokazał człowiekowi, jak wygląda ulica z punktu widzenia kogoś wyjeżdżającego zza rogu, któremu widoczność zasłania auto na rogu. I właściciel samochodu pokornie przeprosił i przepakował swój samochód, podkreślając jeszcze raz, że dziękuje Policji Jej Królewskiej Mości i teraz czuje się w pełni uświadomiony. A gdyby nie udało się przyuczyć i jednak ktoś sprawiał zagrożenie, to można by przecież być jak brazylijska ekipa z samolotu z Sao Paulo do Londynu, gdy jeden z pasażerów przestał się odzywać i udawał, że nie mówi w żadnym języku znanym przez personel pokładowy. Poproszono go zatem grzecznie o zejście z pokładu samolotu. A kiedy odpowiedział, że zapłacił i nie zejdzie, co udowodniło, że jednak potrafi się porozumiewać w jakimś języku znanym załozce pokładowej, poproszono go drugi raz o zejście ze względów bezpieczeństwa, a kiedy i tego nie usłuchał, a zamiast tego zaczął szukać miejsca wolnego od innych pasażerów, by wprowadzić w błąd obsługę pokładu, można było wypuścić brazylijską jednostkę antyterrorystyczną tylnym wejściem samolotu tak, iż ów pasażer nic nie widział, patrząc ciągle przed siebie. Tak, jakby liczył, że po ponad godzinie prośbienia po dobroci system odpuści i powie: dobra, lećcie z facetem, który dziwnie się zachowuje, obraża pasażerów, proponuje przygodny seks w ubikacji dystygowanej Argentynce, która miała nieszczęście mieć miejsce obok niego, a potem udaje, że nie rozumie, co się do niego mówi, żeby jednak udowodnić, że rozumie, a następnie próbuje ukryć się na miejscu innego pasażera.

– Stoimy przez niego – powiedziałeś do Małgorzaty, kiedy mijala druga godzina opóźnienia startu, a transatlantyczny Airbus A340 ciągle stał przy terminalu, jakby nie zbierał się w ogóle do lotu. – Ale oni nie pozwolą mu lecieć, nie ma szans.

I rzeczywiście. Dziadek w kraciastej flanelce ani zipnął, a już trzech facetów w kamizelkach kuloodpornych, asekurowanych przez dwóch innych z odbezpieczoną bronią, niosło go z czułością jak porcelanową laleczkę wąskim korytarzem na zewnątrz. Polecieliście zaraz potem. Ale bez niego. I bez opowiadania pasażerom przez interkom, jakie to czekają ich straszne próby, jeżeli będą się dziwnie zachowywać, albo zostawiać bagaż bez nadzoru. Bo tego się nie mówi. To się robi. Pew-

nie dlatego w tym kraju, w Polsce, trzymały się tylko obce dyktatury otorbione powagą brzmiających na serio obcych języków i narzeczy. Chociaż na serio ginęli ludzie, chociaż na serio siedzieli w więzieniach, nigdy nie potrafiła się utrzymać rodzima zawierucha, która od razu popadała w jakiś rodzaj niepowagi, niedojrzałości, drwiny i groteski. Tutaj się straszy zamiast przerażać, tutaj się macha w powietrzu ręką zamiast uderzyć, tutaj nawet diabeł to zwykły Boruta, którego w konia może zrobić byle chłopiek-roztropek, gdzież mu tam do Szatana, Lucyfera, Behemota. Jaki kraj, takie zło i popatrz, że kiedy o tym myślisz, to mimowolnie uśmiechasz się z ulgą, z rozluźnieniem i myślisz: co z tego, że nieogolony czuję się nawet wtedy, gdy ogolony jestem, skoro mogę zapuścić brodę? Co z tego, że zatłoczone, dudniące jak dyskoteca, skoro nasze plaże są naprawdę piękne, a wojna skończyła się dawno temu?

Ten i wszystkie inne powroty były z tobą, gdy przecierałeś oczy po nocy spędzonej w tak zwanym hotelu lotniczym na promie polskim „Scandinavia”, co pewnie w czasach świetności było synonimem rozsądnego wyboru łączącego względny komfort z niską ceną. Fotele były jednak mocno zużyte, pełne dziur, uskoków, wydrapanej, wygrzebanej gąbki, w związku z czym zrobiłeś coś, co gdy podróżowałeś w tamtą stronę, nie przyszłoby ci do głowy, co nie mieściłoby się w twoim katalogu zachowań. Wziąłeś koc i rozłożyłeś się na podłodze pomiędzy rzędami foteli na jednej płaszczyźnie porozumienia z kierowcami ciężarówek, wracającymi z delegacji pracownikami firm remontowo-budowlanych, polskimi opiekunkami podstarzałych Szwedów. Jeszcze na promie, jednak ciągle – pomimo tylu innych nieszczęść – czułość do tego całego bajzlu, co zalewa ci gardło, kiedy budzi się świt i jest pochmurno, chociaż słońce płasko przebija raz po raz przez chmury i dostrzegasz tę słynną ptasią żółć pięknych plaż, bowiem gościnny jest ten brzeg i otwarty ten kraj, pozbawiony przez większość swoich dziejów granic naturalnych oraz bliskich i skutecznych sojuszy wolność ubezpieczających. A jednak trwa i jest, i jesteś ty w nim, nie pogodzony oraz nie współtłoty ojczyźnie swojej, matce Polsce, wyśnionej, nieudanej. Po śniadaniu wyszedłeś ostatni raz na pokład słoneczny. Widać było już latarnię w Nowym Porcie, wielki pomnik na Westerplatte i czułeś, może nie pierwszy raz, ale wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, że każdy znajduje w życiu jakieś swoje Westerplatte, tylko ty masz z tym problem, mój młody przyjacielu. Tak, tak, jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić. Z tego klinczu, kołowrotu wcieleń i eksmisji było przecież zawsze jakieś wyjście, chociaż może nie były to drzwi, którymi mógłbyś trzasnąć. Tak jak wtedy, kiedy ORP „Elew” zacumował po cofnięciu się od wejścia do portu w Uście najpierw na Helu, żeby popłynąć dzień później do basenu amunicyjnego na Westerplatte.

– Mówiłem wam – mruczał Konrad, leżąc na koi, patrząc w sufit kabiny, za której ścianą dudnił diesel – mówiłem wam, że tak to się skończy. Dopłyniemy na Westerplatte, tam nam powiedzą, że jest awaria łódzki w kambuzie albo elektryki na „Podchorążym”, albo maszyny sterowej na „Kadecie” i chociaż mieliśmy popłynąć w stronę Kryniczy Morskiej czy Żuław, resztę tego rejsu spędzimy, kurwa, w basenie amunicyjnym na Westerplatte. Laskom to nie będzie przeszkadzać, bo będą sobie chodziły na wojskową, zamkniętą plażę, a chłopaki na służbie będą się ślinić na ich widok. Może im to wystarczy, ale ja chyba dostanę korby. Do miasta pół godziny autobusem. I jeszcze dwa-

dzieścia minut do przystanku na piechotę, no. I żadnych przepustek. W basenie amunicyjnym stanęście nad ranem, kapitan zarządził dla wszystkich relaks na wojskowej plaży po drugiej stronie Westerplatte do obiadu. Po obiedzie okazało się, że dokładnie tak, jak przewidział Konrad – nastąpiła awaria części instalacji elektrycznej na ORP „Podchorąży” i załogi muszą ją naprawić, a bez tego zespół nie wyjdzie w morze.

– Dzisiaj już na pewno nie dadzą rady, jeżeli uda się to naprawić, to może jutro, pojutrze – kapitan kaszlnął znacząco, po czym spojrzał na wasze skrzywione miny. – No, ale o co chodzi załogantom? Nooo, popłyniemy, popłyniemy, a na razie cieszcie się plażą i słońcem.

Wiedziałeś już wtedy, że każdy znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte, jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić, jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć, jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić, nie można zdezerterować. Wreszcie jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić tak, jak to Westerplatte. Utrzymać i obronić w sobie i wokół siebie, obronić dla siebie i dla innych. Można jednak było po prostu zejść z pokładu, pójść na przystanek autobusu. Wojna się skończyła, a rejs raczej nie zostanie wznowiony, chyba że tylko po to, żeby zaprowadzić trzy rupiecie z powrotem na Oksywie, żeby odhaczyć w annałach okrętów szkoleniowych, że gościły młodzież na morzu, laureatów konkursu, a Liga Morska i Kolonialna, składając wnioski o kolejne pieniądze na działalność, mogła wykazać się listami obecności zawierającymi wasze nazwiska. Odejście to nie była zatem dezercja. Chwilowo nie było nic do obrony ani nic do zdobycia.

Nad ranem Monika, Żaba, Konrad i ty odmeldowaliście się u kapitana i komendanta turnusu, podpisaliście poświadczenie, że rezygnujecie z dalszej części rejsu, czyli nagrody. Wszyscy chyba byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Z waszym odejściem zniknął problem ewentualnego niezadowolenia wśród załogantów. Monika zapytała, czy pójdziecie na plażę pożegnać się z Panią Izoldą i jej podopiecznymi, ale spojrzeliście na nią jakoś tak, że powiedziała tylko z kamienną miną: – Dobra, dobra, dobra, przecież tylko żartowałam...

Ale nikt się nie zaśmiał. Zeszliście po trapie na ląd, każde taszcząc swój plecak, worek żeglarski, torbę. Nic szczególnie zobowiązującego, jakieś dwie lub trzy zmiany lekkiej odzieży, aktualnie czytana książka, notatnik, mała kosmetyczka podróżna, a w niej zawsze składana w pół szczotka do zębów, pasta, dezodorant w kulce, mydło zawsze się znalazło jakieś przygodne, więc się go nie wozilo. Ciepłą kurtkę wiatrową każdy był tradycyjnie przewiązany węzłem w pasie, szkoda było na nią marnować miejsca w plecaku, torbie, worku żeglarskim. Mając niewielkie potrzeby, miało się niewielki pakunek; mając niewielkie potrzeby, było się ruchliwszym. Nie mając oczekiwań, można było się udać z tego miejsca, z tego oto tu Westerplatte, w każde miejsce i każde było dobre, bowiem obiecywało przygodę i wolność. Bezmiar otwiera się tam, gdzie się go nie spodziewasz. Czasami nawet nie wiesz, że go doświadczasz. Wszystko to widoczne staje się później, kiedy wraca w zmienionej postaci. Zeszliście z pokładu – ty, Konrad, Monika i Żaba, złączeni doświadczeniem, które trudno by było zdefiniować, ale miało coś wspólnego z niespełnieniem, zawodem. Poszliście przez teren dawnej składnicy wojskowej w stronę przystanku autobusowego, a potem w milczeniu jechaliście autobusem do miasta. Rozgadaliście się dopiero pod dworcem i, prawdę mówiąc, nagle się

okazało, że nie szło tego rozerwać. Szczególnie, że było wiadomo, że nigdy się już nie spotkacie. Konrad jechał do domu w Słupsku, Monika jechała spotkać się z chłopakiem do Władysławowa, Żaba szedł na obwodnicę łapać stopa, żeby dotrzeć jakoś do Warszawy. Ty pojechałeś w stronę Gdyni, żeby domknąć pętlę tej podróży u Docenta w domu. Przyjął cię z otwartymi ramionami, wypiliście coś orzeźwiającego, pogadaliście. Na noc udostępnił ci mikroskopijny pokój brata, ale wcale nie poszliście spać. Słuchaliście w kółko „Mechaników Szanty” z winylowej płyty i gadaliście do późna. Traktował cię, jakbyś ty był jego młodszym bratem. Odprowadził cię w nocy na dworzec, skąd miałeś złapać nocny pociąg pośpieszny do Wrocławia, a stamtąd miałeś pojechać do tego swojego Brzegu, miasteczka, które zawsze było i będzie jak nie wolny wybór, chociaż jeszcze nie wyrok. Za kilka dni na dworcu w Opolu ma czekać na ciebie Sarna. Pojedziesz z nim do wsi u podnóża Wielkiej Góry. Widzę cię teraz wolnym, chociaż miałeś dopiero się dowiedzieć, że bycie wolnym to nie stan, ale stawanie się. Widzę to bardzo wyraźnie, kiedy w świetle sodowych lamp na peronie majaczy twoja postać za oknem. Siedzisz w przedziale drugiej klasy ówczesnego pośpiesznego pachnącego rozgrzanym żelazem, które zdawało się być wszędzie – w firankach, wykładzinie, tapicerce tandetnych siedzeń – i dłubiesz przy sznurowadłach. Zdejmujesz wreszcie podgumowane chińskie trampki, wyciągasz się wygodnie na ławce z rękami pod głową i nogami opartymi o podłokietnik od strony okna. Pociąg został dopiero co podstawiony, jest noc i nie ma w nim ludzi. Widzę, jak układasz plecak pod głową, kiedy zdrętwieją ci ręce, a ponieważ gdy się ma mało potrzeb, łatwo się je realizuje – jesteś w zasadzie zadowolony z życia i jeszcze nie wiesz, że ostatni dzień lata jest bliski, chociaż lato dopiero się zaczęło. Rozważasz, czy w dalszym ciągu swojego życia jeść mięso, czy może jednak przejść na wegetarianizm, jaką wybrać religię, do jakiej długości zapuścić włosy oraz czy zapuszczać je do matury, czy może dłużej. Nie podejrzewasz nawet, że gdzieś na ciebie już czekam – na promie „Destination Gotland” albo jakimkolwiek innym, na pokładzie s/y „Mokotów”, s/y „Krasin”, u stóp Babiej Góry, w dżungli parku Maddidi, na ulicy w Rurrenabangu, w knajpie na Długim Pobrzeżu, gdzie za kilkanaście lat zapadniesz w swój słynny trans, tuż przed pierwszym rejsiem na Gotlandię. I chociaż żał mi twojej nonszalancji, z jaką wygrzebujesz sobie zza paznokci tygodniowy brud i otwierasz najnowszy numer „Skrzydlatej Polski”, wiem, że zaraz postawię ostatnią kropkę. Jeszcze się waham, czy czegoś nie opowiedzieć na koniec, jakieś historii budującej serce, domykającej szczelniej okrąg, a zarazem widzę wyraźnie, że kołourót się domyka, pozostawiając zarazem furtkę, tunel, kładkę. Ty też to niebawem zobaczysz, bowiem znalazłeś się poza elipsą, poza zasięgiem korby, którą w lewo kręcąc, obracasz koło w lewą stronę. Moment naszego spotkania jest blisko. I wszystkie miejsca, o których do tej chwili pomyślałeś, są równie dobre, póki są żywe w tobie. I mam nadzieję, że to będzie dobre spotkanie, przedświt czegoś, co byłoby ostatnim dniem lata, gdyby akurat tak się nie składało, że jest to początek lata, za oknem wieje wiatr, świeci słońce. Niech zatem to będzie początek. Po prostu. Początek. ●





Grażyna Stachówna › Esej

# Wampir z bezprzewodową żarówką

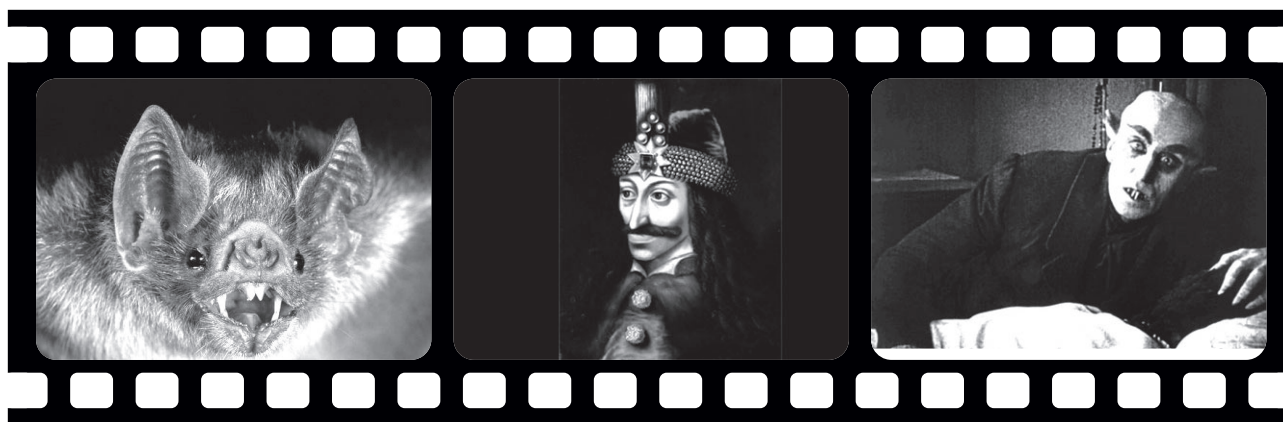


Pewnej zimnej, deszczowej nocy w czerwcu 1816 roku John Polidori, dwudziestojednoletni osobisty lekarz George’a Byrona, opowiedział podobno słuchaczom zebranych w willi Diodati, stojącej na brzegu Jeziora Geneńskiego (lordowi Byronowi, Percy’emu Shelleyowi, Mary Godwin i Claire Clairmont), wymyśloną przez siebie historię tajemniczego lorda Ruthvena. Została ona opublikowana pod tytułem *Wampir* w 1819 roku przez nieuczciwego wydawcę Henry’ego Colburna jako dzieło lorda Byrona i zyskała sławę, ku wielkiej zgrzyzocie jej prawdziwego autora.

Wampir należy do rodziny upiórów znanych w wielu kulturach, które z jakiegoś powodu – np. braku pochówku lub źle odprawionych rytuałów pogrzebowych – powracały zza grobu, by mścić się na żyjących.<sup>1</sup> W ludowych opowieściach wampir, po polsku: wapiersz, upiór lub martwiec, przedstawiany był jako trupie monstrum, odrażające i prymitywne. John Polidori dał mu w swym opowiadaniu nowy status – uczynił z niego arystokratę, bogatego, eleganckiego i uwodzicielskiego, który urokiem erotycznym zniewala kobiety, a siłą woli podporządkowuje sobie mężczyzn. Potem były kolejne gotyckie powieści o arystokratycznych wampirach i wampirzycach: *Varney the Vampire or the Feast of Blood* (*Wampir Varney lub krwawa uczta*) (1847) Thomasa Presketa Presta

Symbol smoka w herbie wynikał z przynależności Włada II do Zakonu Smoka (Societas Draconistrarum) założonego w 1408 roku przez Zygmunta Luksemburskiego. Należeli do niego królowie i książęta europejscy, wśród nich także król Polski Władysław Jagiełło i wielki książę litewski Witold. Członkowie Zakonu zobowiązywali się walczyć z niewiernymi, głównie z tureckim imperium osmańskim, ich oficjalnym strojem był czerwony kaftan i zielony płaszcz. Godło Zakonu stanowił Herb Smoka (Ordo Draconis), który przedstawiał smoka z ogonem owiniętym wokół własnej szyi i czerwonym krzyżem św. Jerzego (pogromcy smoka) na grzbiecie. Nad nim znajdował się krzyż o równych ramionach wypuszczających promienie, na których widniał łaciński napis: *O Quam Misericos est Deus, Pius et Iustus* (O jak miłosierny jest Bóg, sprawiedliwy i łagodny).<sup>4</sup>

Wład III także należał do Zakonu Smoka, a swój przydomek odziedziczył po ojcu – Dracula (rum. Drăculea) oznacza syna ojca o przydomku Dracul, czyli „syna smoka”, ale też „syna diabła”.<sup>5</sup> W jego przypadku to ostatnie określenie okazało się trafniejsze i zostało nawet wzmocnione przydomkiem Țepeș, Palownik, który zyskał z powodu terroru, jaki rozpętał w czasie swego panowania. W 1459 roku podczas tzw. „krwawej Wielkanocy” Dracula kazał wymordować przez nabicie na pale pięćdziesięciu bojarów zaproszonych na ucztę do jego pałacu w Tirgoviște, których podejrzewał o niełojalność.<sup>6</sup> Gdy w 1462 roku sułtan Mehmed II zbliżał się ze swym wojskiem do tego miasta, zobaczył „las pali” długi na



Od lewej: 1. wampir zwyczajny; 2. Vlad Țepeș; 3. NOSFERATU symfonia grozy 1922 rok

i Jamesa Malcolma Rydera (autorstwo nie zostało ostatecznie ustalone) i *Carmilla* (1872) Josepha Sheridana Le Fanu. Ale to Bram Stoker, irlandzki dziennikarz, opublikował w 1897 roku powieść *Dracula*, która dała początek literackiemu, a potem kinowemu mitowi wampira. Tytułowym bohaterem swej powieści Stoker uczynił seklerskiego<sup>2</sup> hrabiego, mieszkającego samotnie w ponurym zamczysku zbudowanym w odludnym zakątku Karpat w Transylwanii.<sup>3</sup> Nazywając go Draculą, nawiązał do postaci wołoskiego hospodara Włada III Țepeșa (Palownika, 1430–1476) z dynastii Basarabów. Jego ojciec, Wład II, nosił przydomek Draco (łac. smok) od smoka umieszczonego w herbie rodowym. Po dodaniu rumuńskiego rodzajnika męskiego *-ul* przydomek brzmiał Dracul, co w tym języku znaczy „diabeł”.

trzy kilometry i na jeden szeroki, na których tkwiło 20 tysięcy Turków, jeńców Draculi, także kobiety i dzieci, „zaś ptacy gniazda sobie wili między ich zębami”.<sup>7</sup> Krótkie życie Włada III obfitowało w liczne spektakularne wydarzenia, niewolę turecką w dzieciństwie, niewolę węgierską w wieku dojrzałym, konwersję z prawosławia na katolicyzm, rywalizację o władzę w księstwie wołoskim (trzykrotnie zdobywał i tracił tron) oraz nieustanne walki z Turkami. Zginął w bitwie, a jego odcięta głowa sułtan Mehmed II kazał wystawić na murach Stambułu. Z upływem czasu z tyrana i okrutnika Wład III zmienił się w obrońcę wiary chrześcijańskiej i stał się narodowym bohaterem Rumunii. W 1977 roku uroczystie obchodzono pięćsetną rocznicę jego śmierci, a w 1979 Doru Năstase poświęcił mu hagiograficzny film *Prawdziwe życie Draculi*.

<sup>1</sup> Erberto Petoia, *Wampiry i wilkołaki. Źródła, historia, legendy od antyku do współczesności*, tłum. Aneta Pers i in., Universitas, Kraków 2003.

<sup>2</sup> Seklerzy – grupa etniczna zamieszkująca wschodnią część Transylwanii.

<sup>3</sup> Inaczej Siedmiogród, kraina historyczna leżąca w centralnej Rumunii.

<sup>4</sup> Iona Czałamańska, *Dracula. Wampir, tyran czy bohater?*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2003, s. 21–24.

<sup>5</sup> Tamże, s. 28.

<sup>6</sup> Matei Cazacu, *Dracula*, tłum. Beata Biały, Państwowy Instytut Wydawniczy 2007, s. 127–133.

<sup>7</sup> Tamże, s. 157–158.

Na początku powieści Stokera hrabia Dracula to wysoki, wychudły i wyblady starzec o ostrych rysach twarzy; ma spiczaste uszy, długie siwe wąsy, bardzo czerwone wargi i wystające z nich białe zęby, z jego ust dobywa się obrzydliwy zapach, ubiera się na czarno, a „lodowatych chłód jego dłoni [owłosionych też od wewnątrz – dop. G.S.] przypomina bardziej dłoń trupa niż żywego człowieka”.<sup>8</sup> Hrabia Dracula nie jest żywym człowiekiem, ale tzw. nieumarłym, czyli wampirem – w dzień śpi w trumnie stojącej w podziemiach zamku, a w nocy poluje na ludzi i wysysa z nich krew, która przedłuża jego istnienie. Nie ma cienia i nie odbija się w lustrze, boi się krzyża, czosnku i słońca. Ginie jednak nie od jego promieni, ale po pchnięciu nożem w serce i poderżnięciu gardła – całe jego ciało rozpada się wtedy w proch i znika.

Historia wampira Draculi, zainicjowana przez Brama Stokera, została wchłonięta przez kulturę popularną i stała się osnową do snucia w różnych mediach nowych narracji, zachowujących wobec oryginału większą lub mniejszą wierność. Były to liczne powieści napisane w manierze zbeletryzowanej biografii, horroru, melodramatu i fantasy, sztuki teatralnej, musicalu, komiksy, gry komputerowe, a nawet piosenki. Tworzyli je profesjonaliści, którzy wykorzystywali legendę Draculi jako temat przykuwający uwagę odbiorców i szansę na zarobek. W sławienie wampira włączyli się także amatorzy zamieszczający *non profit* na różnych forach internetowych własne narracje, tzw. fanfiki.

jeden sezon”, co oznaczało, że nie będzie do niego realizowany próbny pilot, tylko od razu powstanie dziesięć odcinków. Był to trzeci serial NBC, po *Hannibalu* (o seryjnym mordercy-kanibalu) i *Crossbones* (o piratach), zamówiony na cały sezon. Scenariusz pierwszego i ostatniego odcinka Draculi napisał Cole Haddon, a pozostałych – ośmiu innych autorów. Reżyserowało go pięciu reżyserów, każdy kolejne dwa odcinki: Steve Shill, Andy Goddard, Nick Murphy, Brian Kelly i Tim Fywell. Produkcją zajęli się Tony Krantz i Colin Callender oraz firma Carnival Films. Serial emitowano od 25 października 2013 roku do 24 stycznia 2014 na kanale NBC, w piątki o godzinie 22.00, w dobrym czasie antenowym dla tego rodzaju produkcji. Po udanym starcie, ponad pięć milionów widzów, jego oglądalność spadła jednak do poziomu trzech milionów. *Dracula* przegrał rywalizację w ramówce telewizyjnej z *Hannibalem*. 10 maja 2014 roku stacja NBC podjęła decyzję o nieprzedłużaniu jego produkcji na kolejny sezon. W Polsce serial emitowany był od 1 maja 2014 roku w Canal Plus. Powodem niskiej oglądalności *Draculi* była, jak mi się zdaje, zbyt wyrafinowana forma serialu, zarówno w warstwie fabularnej, jak i realizacyjnej. Rozsmakowanie się w historii serialowego wampira wymaga bowiem dobrej znajomości powieści Brama Stokera, bez tego nie interesują i nie bawią czynione od niej odstępstwa. Przydaje się także pamięć wcześniejszych filmów o Draculi aluzjynie przywoływanych. Nadanie serialowi ryty steampunkowego i zanurzenie go w klimacie *gaslight fantasy* trafiło



Od lewej: 1. Bela Lugosi Dracula film z 1931; 2. Christopher Lee DRACULA; 3. Nosferatu - Klaus Kinski

Baza internetowa IMDb notuje dwieście filmów z Draculą w tytule. Pierwszą adaptację powieści Brama Stokera nakręcił w Niemczech Friedrich Wilhelm Murnau w 1922 roku pod tytułem *Nosferatu, symfonia grozy*<sup>9</sup> z Maksem Schreckiem w roli głównej. W kolejnych hrabiemu Draculi używali twarzy i seksapilu m.in. Bela Lugosi (*Dracula*, 1931), Christopher Lee (*Dracula*, 1958), Frank Langella (*Dracula*, 1979), Klaus Kinski (*Nosferatu wampir*, 1979, i *Nosferatu w Wenecji*, 1988), Gary Oldman (*Dracula*, 1992), Gerald Butler (*Dracula* 2000), Luke Evans (*Dracula – historia nieznaną*, 2014).

W 2013 roku powstał amerykańsko-brytyjski serial telewizyjny *Dracula*. Jego pomysłodawcą, czyli tzw. kreatorem, był Tony Krantz. Projekt został zakupiony przez amerykańską sieć telewizyjną NBC jako „scenariusz na

tylko do wąskiej grupy fanów obu tych zjawisk popkulturowych. Możliwe też, że publiczność czuła się przekarmiona wampirami po spektakularnym i wlokącym się w nieskończoność sukcesie wampirów-licealistów – Saga „*Zmierzch*” (2010–2012) w kinie i *Pamiętniki wampirów* (2009–) w telewizji – który doszczętnie zbanalizował klasyczny mit. „Powiedzmy sobie szczerze. Wampiry nieco już nużą, bo cokolwiek można było w ostatnich latach na ich temat powiedzieć – powiedziano, napisano i niekiedy zekranizowano.”<sup>10</sup>

Filmy kręcone według *Draculi* Brama Stokera coraz dalej i śmieiej odchodziły od fabuły powieści. Zmieniały ją, przekształcały, aktualizowały, dodawały nowe wątki, polemizowały z wcześniejszymi reali-

<sup>8</sup> Bram Stoker, *Dracula*, tłum. Marek Król, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2005, s. 23 i 21.

<sup>9</sup> Naruszenie praw autorskich należących do Florence Stoker, wdowy po pisarzu, zmusiło Henrika Galeana, scenarzystę filmu, do zmiany nazwiska głównego bohatera na graf Orlok. Słowo „nosferatu” nie pochodzi z języka rumuńskiego, choć kojarzyć się może z ludową nazwą diabła: *nefartatu* – fałszywy brat. Za: Matei Cazacu, *Dracula*, dz. cyt., s. 252.

<sup>10</sup> Zwierz Popkulturalny (Katarzyna Czajka), *Tępe kły Draculi, czyli nie wystarczy dobrze wyglądać w strojach z epoki, by być wampirem*, <http://zpopk.pl/tepe-kly-draculi-czyli-nie-wystarczy-dobrze-wygladac-w-strojach-z-epoki-by-byc-wampirem.html#ixzz3tO3fdhJ3> – dostęp: grudzień 2015.

zaczami, usilnie przybliżając starą powieść współczesnym widzom.<sup>11</sup> Bohaterowie zyskiwali więc nowe wyglądy i kostiumy, powodowały nimi nowe motywacje, doświadczali nowych przygód. Jak np. tytułowy protagonista filmu *Van Helsing* (2004) Stephena Sommersa, wielce urodziwy pogromca wampirów (Hugh Jackman), ubrany w malowniczy kostium i dysponujący szczególnymi umiejętnościami, który zastąpił w walce z demonicznym hrabią Draculą oraz jego seksownymi wampirzycami powieściowego doktora, starego i poczciwego, posługującego się krzyżem i czosnkiem.

Serial *Dracula* także daleko odbiega od literackiego oryginału Brama Stokera, oferując telewizjom nową wersję przygód tytułowego wampira. Wprawdzie główna akcja toczy się końcu XIX wieku w Londynie i pojawiają się w niej bohaterowie znani z powieści, ale zostali oni osadzeni w zupełnie nowej narracji wyznaczającej między nimi odmienne powiązania i zależności. A co najważniejsze zmienił się status tytułowego wampira. Nie jest już odrażającym monstrem, które za wszelką cenę należy zniszczyć dla dobra ogółu, ale młodym i przystojnym mężczyzną o zniewalającym uroku, dokonującym słusznej zemsty, romantycznie zakochanym i pragnącym ofiarować ludziom niezwykle wynalazek. Taki Dracula budzi sympatię widzów, pozwalającą skutecznie zapomnieć o pannach wysysanych przez niego w londyńskich zaułkach i licznych wrogach rozdzieranych na strzępy.

wynalazkiem – energią geomagnetyczną. W jego zamierzeniu wspierają go Van Helsing i wierny czarnoskóry sekretarz Ranfield (Nonso Anozie).

Dracula może działać tylko w nocy, promienie słoneczne są bowiem dla niego zabójcze. Doktor Van Helsing wynajduje więc serum pozwalające mu przez cztery godziny znosić działanie słońca. Dracula spotyka Minę Murray, studentkę medycyny, która łudząco przypomina Ilonę, i zakochuje się w niej. Aliści dziewczyna jest narzeczoną dziennikarza Jonathan Harkera (Oliver Jackson-Cohen). Dracula zatrudnia go do szukania informacji o członkach Zakonu Smoka, aby być blisko Miny, która pozwoli uległa jego zmysłowemu urokowi. Nie przeszkadza mu to nawiązać płomiennego romansu z lady Jayne Wetherby (Victoria Smurfit), zabójczynią wampirów, która jednakowoż nie rozpoznaje w nim nieumarłego. Pan Browning uniemożliwia Draculi publiczną prezentację energii geomagnetycznej, skłania także zazdrosnego Harkera do zdrady i przejścia na służbę Zakonu. Van Helsing przestaje wierzyć, że zakochany Dracula pokona Zakon Smoka, sam dokonuje więc zemsty na panu Browningu, zamieniając dwoje jego dzieci w wampiry, które wysysają tatę. Dracula zabija lady Jane i zdobywa miłość Miny. Harker i Van Helsing zawierają sojusz mający go zniszczyć. Finał serialu tworzy atrakcyjny cliffhanger (zawieszenie akcji w sytuacji pełnej napięcia, gdy bohaterom zagraża niebezpieczeństwo), zapowiadający dalszy ciąg opowieści, który jednak już nie nastąpił. Fabułę i wizualny kształt serialu organizują reguły czerpane z kilku



Od lewej: 1. Dracula film Francisa Forda Coppoli z 1992; 2-3 Dracula - Alexander Grayson (Jonathan Rhys-Meyers) serial z 2013 r.

W wielkim skrócie serial przedstawia taką oto historię. W 1476 roku gospodarz wołoski Wład Palownik, zwany Draculą (Jonathan Rhys-Meyers), został ujęty przez rycerzy Zakonu Smoka, torturowany, zamieniony w wampira, zabity i uwięziony w metalowej trumnie, a jego ukochana żona Ilona (Jessica De Gouw) żywcem spalona na stosie.

Po czterystu latach, w 1881 roku, doktor Abraham Van Helsing (Thomas Kretschmann) karmi wyschłe zwłoki Draculi świeżą krwią i uwalnia z okowów. Pragnie go bowiem wykorzystać do zemsty na Zakonie Smoka za zamordowanie swojej rodziny. W 1896 roku Dracula przybywa do Londynu jako przedsiębiorczy Amerykanin Alexander Grayson, gdzie nadal działają jego dawni wrogowie zrzeszeni w ekskluzywnym klubie, budując swą władzę i bogactwo na handlu ropą naftową. Dracula pragnie pokonać Zakon Smoka, dowodzony przez okrutnego pana Browninga<sup>12</sup> (Ben Miles), nowym

gatunków literacko-filmowych. Z powieści gotyckiej wywodzi się monstrum, czyli krwiożerczy wampir Dracula i jego pobratymcy, których używa do Londynu. Zabijają ludzi, by wyssać ich krew i przedłużyć swe istnienie, ale mogą być skutecznie likwidowani przez tropicieli, takich jak lady Jane. Z wampirami walczy Zakon Smoka dowodzony przez pana Browninga, tajne sprzysiężenie dżentelmenów, które zabija nieumarłych na chwałę bożą. W serialowej narracji dokonuje się jednak znamienna wymiana znaczeń: wampiry są dobre, a Zakon zły, one mają tylko długie kły, on – władzę, pieniądze i poparcie Watykanu, one się bronią, on atakuje. Przez całe wieki rycerze Zakonu Smoka mordowali i krzywdzili dla własnej korzyści, skazywali kobiety na stos i wrzucali dzieci do ognia płonących domów, teraz także dokonują nadużyć na wielką skalę, chcąc utrzymać swą władzę. Dracula i doktor Van Helsing pragną zniszczyć Zakon w odwecie za zamordowanie swych bliskich. Dracula ma jeszcze dodatkowy powód zemsty – to Zakon Smoka uczynił z niego wampira. Reguły melodramatu decydują w serialu o rozwoju skomplikowanych wątków romansowych motywowanych skrajnymi emocjami odczuwa-

<sup>11</sup> Katarzyna Kaczor, *Od Draculi do Lestata: portrety wampira*, Gdański Klub Fantastyki 2010.

<sup>12</sup> Może został tak nazwany na cześć Toda Browninga (1880–1962), twórcy *Draculi* (1931), pierwszej amerykańskiej adaptacji powieści Brama Stokera.



nymi przez bohaterów, od miłości i pożądania, przez upokorzenie i zazdrość, do chęci zemsty, ukarania i zabicia. Dracula kocha Minę, która jest reinkarnacją jego żony Ilony, ale nawiązuje romans z lady Jane, Mina kocha Harkera, ale stopniowo ulega urokowi Draculi, Harker kocha Minę, ale uwodzi jej przyjaciółkę Lucy, Lucy kocha Minę, ale prowokuje Harkera, lady Jane kocha Draculę, ale chce go zabić. Te gwałtowne i skłębione uczucia zapewniają utrzymanie wysokiego napięcia emocjonalnego pomiędzy wszystkimi protagonistami.

Ekranowy kształt serialu wywodzi się z poetyki *gaslight fantasy* (termin stworzyła Kaja Foglio, amerykańska współautorka, wraz mężem Philem, serii komiksów *Girl Genius*), czyli gatunku literacko-filmowego obejmującego dzieła, których akcja dzieje się w Anglii w epoce wiktoriańskiej (1837–1901) lub edwardiańskiej (1901–1914), kiedy używano światła gazowego, noszono wytworne stroje i obowiązywał surowy kodeks zachowań towarzyskich. Wampir Dracula nie śpi już w trumnie, ale nie może wychodzić z domu w dzień, bo słońce pali go żywym ogniem. Ukrywa się więc w pokojach oświetlanych lampami gazowymi, tworzącymi wokół niego zjawiskowe poświaty i refleksy. Przemierza nocne, zamglone ulice Londynu rozjaśnianego światłem latarni gazowych (zainstalowano je w mieście w 1809 roku), gdzie w pustych zaułkach atakuje swe ofiary. Na kształt serialu miał także wpływ steampunk (*steam – para, punk* – ideologia sprzeciwu przeciwko ograniczaniu wolności i niezależ-

i działaniu pary wodnej.<sup>14</sup> Świat przedstawiony w tych powieściach jest alternatywny wobec prawdziwej historii, pachnie dymem i smarem, brudem nędzarzy i perfumami arystokracji, bywa przygnębiająco brzydki i wytwornie dekadentki, realistyczny i zarazem fantastyczny, ponury i mimo wszystko optymistyczny, ponieważ przepełnia go wiara w twórczy intelekt wynalazców.

Stary wołoski wampir staje się w serialu *Dracula* nowoczesnym przedsiębiorcą prawdziwie zafascynowanym perspektywami współczesnej mu techniki, wierzy w rozwój nauki i dobro, jakie może ona dać ludzkości. Jeździ po Londynie „powozem bez konia”, czyli samochodem, i wspiera badania doktora Van Helsinga, który w swym laboratorium miesza tajemnicze ingrediencje jak średniowieczny alchemik, ale równocześnie stosuje na pobudzenie pracy serca elektrowstrząsy wytwarzane przez wielkie prądnice i aplikuje Alexandrowi serum uodporniające na działanie promieni słonecznych wielką głowicą przypominającą współczesny medyczny aparat komputerowy.

Pan Browning i dowodzeni przez niego rycerze Zakonu Smoka umieją walczyć z konkurencją jak prawdziwi kapitaliści strzegący swego monopolu. W finałowym odcinku, zatytułowanym *Niech się stanie światło*, publiczny pokaz energii geomagnetycznej i bezprzewodowych żarówek, zorganizowany przez spółkę giełdową Grayson Energy Company założoną przez Draculę, zostaje przez nich uniemożliwiony tradycyjnymi metodami: przepukstwem, sabotażem i zniszczeniem. Uszkodzona prądnica



Od lewej: 1. Ilona i Mina (Jessica De Gouw); 2. Dracula-Victoria-Smurfit; 3. Drakula - historia nieznana - kadr z filmu z 2014 r.

ności człowieka; termin wymyślił Kevin Wayne Jeter, amerykański pisarz science fiction), nurt literacki, którego styl upowszechnił się w filmach, komiksach i modzie. Wynikł z inspiracji twórczością Jules’a Verne’a i Herberta George’a Wellsa, Amerykanie twierdzą, że jego prapoczątki da się wyśledzić w tzw. „edisonadach” pisanych w latach sześćdziesiątych XIX wieku w USA.<sup>13</sup> Steampunk, który rozwinął się w latach osiemdziesiątych XX wieku, jest angielski – nawet gdy tworzą go autorzy innych narodowości – wiktoriański, zbuntowany przeciwko systemowi, który przedstawia, czyli ówczesnemu krwiożerczemu kapitalizmowi, sposobowi traktowania biednych, kobiet i osób uznanych za inne. Steampunkowi bohaterowie wymyślają, albo posługują się maszynami, często fantastycznymi, których technologia oparta jest na mechanice, czyli kołach zębatych, łożkach, przekładnicach, zegarach

geomagnetyczna wybucha, zabijając wielu ludzi i dając Draculi nowy powód do kontynuowania zemsty.

Serial *Dracula* należy do tzw. *quality tv*, telewizji jakościowej, oferującej widzom ambitne programy radykalnie odbiegające poziomem artystycznym od zwykłej telewizyjnej papki. Zrywa więc z infantyлизowaniem wampirów, wyprowadza je z licealnej pułapki Sagi „*Zmierzch*”, w której ostatnio zamknęła groźnych, nocnych krwiopijców: młodzieżowa popkultura, skazując ich na bieganie po lasach i wysysanie sarenek. Tradycja dawnych legend gładko łączy się w nim z mechaniczną nowoczesnością Anno Domini 1896. Rok wcześniej narodziło się kino, a bez jego udziału mit Włada III Palownika, który stał się legendarnym wampirem Draculą, nie zyskałby takiej popularności, jaką cieszy się obecnie. ●

<sup>13</sup> Jess Nevins, *Wprowadzenie: dziewiętnastowieczne korzenie steampunku*, w: *Steampunk. Antologia* pod red. Ann i Jeffa VanderMeerów, tł. Andrzej B. Jakubiec, Wydawnictwo Ars Machina, Lublin 2011, s. 7–15.

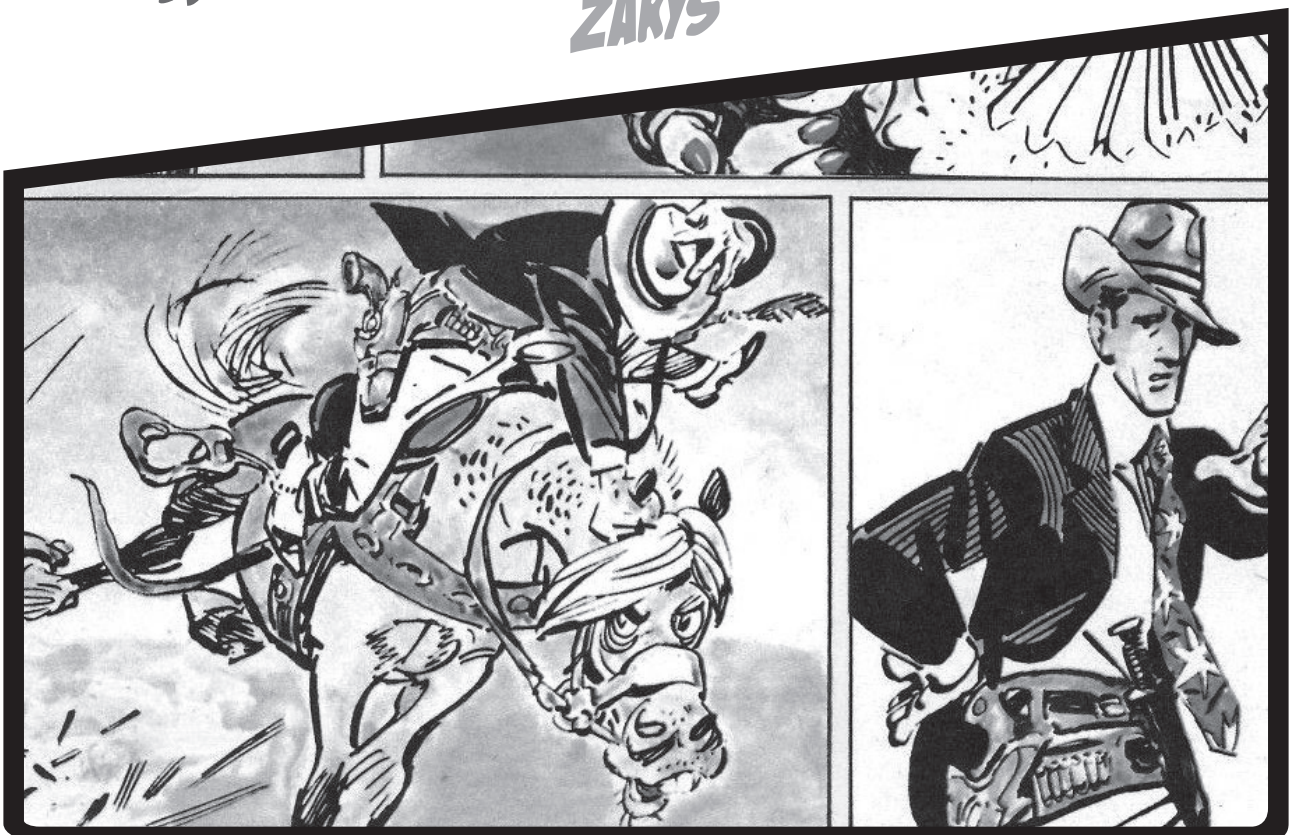
<sup>14</sup> Nie ma jednej obowiązującej definicji tego gatunku, dlatego jego wielbicieli i opisywacze włączają także do niego dzieła, które nie dzieją się w wiktoriańskim Londynie i zawierają różną miarę science fiction i fantastyki. Zob.: Rick Klaw, *Parowy wehikuł czasu: ujęcie popkulturowe*, tamże, s. 317–325.



Marcin Bałczewski > Recenzje

# KOMIKS WĘGIERSKI W POLSCE

## ZARYS





Słownik języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego w latach 50. definiował komiks jako „historijki obrazkowe opatrzone tekstem, zwykle o charakterze sensacyjnym lub humorystycznym i bardzo niskim poziomie artystycznym”. Jako przykład wykorzystania tego słowa w zdaniu w słowniku pojawiło się sformułowanie: „tandetne melodie amerykańskie wtargnęły wraz ze szmirą hollywoodzką i komiksami do życia francuskiego” (to zdanie nie łączy się z drugim).

Niestety, powyższe stwierdzenie pokutowało w naszym kraju przez lata. Komiks w czasach PRL-u kojarzył się albo z rozrywką dla dzieci (choćby serie *Tytus, Romek i A'Tomek* czy *Kajko i Kokosz*), narzędziem propagandy (mistrz Jerzy Wróblewski, czy też seria *Kapitan Żbik*), albo też błahą, często niezbyt wysokich lotów opowieścią awanturniczą dla nieco starszego odbiorcy.

Zanim jeszcze nastał sławetny 1987 rok i pierwsze wydanie *Komiksu-Fantastyka*, a rok później Polacy doczekali się publikacji pierwszego tomu *Thorgala*, w naszym kraju czytelnicy musieli zadowolić się zbiorami często przypadkowych publikacji, także tych o niskich walorach artystycznych, głównie polskich, chociaż zdarzały się propozycje z zagranicy.

Być może to przypadek – choć też i być może szeroko zakrojona współpraca z braćmi Węgry w czasach komunizmu – spowodował, że w pewnym momencie w naszym kraju za sprawą Krajowej Agencji Wydawniczej pojawiło się wiele komiksów z tego kraju.

Nieco wcześniej, bo w 1976 roku na rynku pojawiły się dwa przełomowe magazyny – bardziej popularny „Relax” i skierowana do nieco ambitniejszego odbiorcy „Alfa”. Na ich łamach mogliśmy poznać takich twórców, jak niezmordowany scenarzysta Tibor Cs. Horváth, czy też rysowników – Imre Sebők i Ernő Zörfd. Był to jednak przedsmak przed prawdziwym wysypem kolorowych zeszytów spod znaku KAW. Prym wiodły opowieści awanturnicze, głównie adaptacje klasyki amerykańskiej, opowieści o kowbojach i konkwestatorach. Wszystkie te książeczki miały jeden wspólny mianownik – wspomnianą osobę scenarzysty Tibora Cs. Horvátha. Urodzony w 1925 roku autor specjalizował się w adaptacjach komiksowych klasyki literatury. Dzięki niemu także polski czytelnik mógł zapoznać się z takimi dziełami, jak chociażby *Skarb majów* na podstawie Jacka Londona (ilustracje: Ernő Zörfd), *Tajemnicza wyspa* na motywach Juliusza Verne'a (Attila Fazekas), *Wygnaniec według Wyspy Robinsona* Arkadego Fiedlera (Imre Sebők), *Dziedzictwo Inków* Karola Maya (Attila Fazekas), *Jankes na dworze króla Artura* Marka Twaina (Ernő Zörfd), *Duch z Canterville* Oskara Wilde'a (Marcell Jankovics), *Ostatni Mohikanin* J.F.Coopera (Ernő Zörfd), *Old Shatterhand* i *Winnetou* Karola Maya (Ernő Zörfd), *Księga dżungli* Rudyarda Kiplinga (Attila Dargay), *Bambi Felixa Saltena* (Attila Dargay), *Kapitan Blood* Rafaela Sabatiniego (Ernő Zörfd).

Horváth nie zapominał również o polskich autorach, dzięki czemu otrzymaliśmy m.in. komiksowego *Faraona* Bolesława Prusa (Attila Fazekas). Tym, co jednak było najcenniejsze, to – poza często fantastyczną war-

stwą wizualną – przedstawienie polskiemu czytelnikowi węgierskich opowieści. Można zastanawiać się nad jakością *W niewoli u piratów kosmosu* – adaptacji tekstu Istvána Nemere (Attila Fazekas) czy *Jeźdźców z Aquariusza* Tibora Fehéra (Ernő Zörfd), jednak nie można zaprzeczyć, że KAW opublikowała jeden z najciekawszych komiksów lat 80., *Miasto milczących rewolwerów* (Ernő Zörfd) na podstawie tekstu legendy węgierskiej literatury, Jenő Rejtő.

Ta sprytnie skonstruowana opowieść, nawiązująca niejako do *Księcia i żebraka* Marka Twaina, prezentuje przygody Tivalda Pancrofta, który postanawia za sprawą operacji plastycznej zamienić się twarzą z Benjaminem Walterem. Awanturnicza opowieść pełna gagów i zwrotów akcji była dla części pokolenia wychowanego w drugiej połowie lat 80. pozycją kultową. Bardzo zgrabnie napisana historia o walorach głównie rozrywkowych i zilustrowana przez niezmordowanego Ernő Zörda. Tak właśnie wyglądał typowy dobry węgierski komiks.

Co do innych wspomnianych wcześniej publikacji, nie można powiedzieć, że były to albumy wybitne, bo ich mankamentem był nadmiar tekstu, chociaż trudno się dziwić, kiedy twórcy (a raczej sam Horváth) chcieli na kilkunastu-kilkudziesięciu stronach streścić całą powieść, z często słabą narracją graficzną. To też nie powinno szokować, gdyż w tamtych czasach niewielu było rysowników komiksowych znających się na poprawnym prowadzeniu akcji poprzez kolejne kadry, a warstwę ilustracyjną tworzyli artyści plastycy wywodzący się z innych dziedzin, chociażby animacji czy sztuki plakatowania. Dlatego, chociaż wizualnie bywało ciekawie w sferze samego komiksu, to zdarzało się, że całość była po prostu ciężkostrawna.

O których rysownikach warto pamiętać i do których wracać? Każdy z nich charakteryzował się ciekawą kreską. Klasyczni ilustratorzy, którzy moim zdaniem najbardziej nadają się do adaptacji książek, to: Ernő Zörfd, Imre Sebők i Attila Fazekas. Natomiast Attila Dargay, a przede wszystkim Marcell Jankovics, są przede wszystkim twórcami filmów animowanych, a ich kreski wydają się zdecydowanie ciekawsze w czasach obecnych. Do początku lat 90. polskim czytelnikom zaprezentowano praktycznie wszystkich najważniejszych autorów komiksu z Węgier. Z niewiadomych przyczyn pominięto jednak tego prawdopodobnie najważniejszego – Pála Korcsmárosa (w 1961 roku pojawiła się na naszym rynku tylko jedna publikacja jego autorstwa przeznaczona dla młodego odbiorcy, pt. *Ołówek opowiada*).

Dopiero w 2016 roku, w ramach Roku Kultury Węgierskiej, polski czytelnik mógł wreszcie zakupić prawdziwy komiks autorstwa Pála Korcsmárosa, w dodatku będący adaptacją powieści wspomnianego powyżej Jenő Rejtő. Mowa oczywiście o *14-karatowym aucie*.

Wspomniany przeze mnie charakterystyczny styl – przeładowanie treści w stosunku do rysunku – wiąże się z czasem jego powstawania (1963 rok), został nieco zmodyfikowany, a raczej można by rzec, przetworzony. Za tak zwane „odświeżenie” wzięli się Zsolt H. Garis i Zoltan „Zerge” Varga. Ten pierwszy często przerysowywał oryginalne strony autorstwa Korcsmarosa, poszerzając je, rozbijając kadry na kolejne strony, dodając tło i postacie. Ten drugi po prostu pokolorował wszystko.

Jenő Rejtő, Pála Korcsmáros, Timof i cisi współpracownicy

*14-karatowe auto,*

Warszawa, 2016.



Można by rzec, że *14-karatowe auto* zostało jak stary film „zremasterowane” i przygotowane wprost pod współczesnego odbiorcę. Oczyszczone i bardziej przejrzyste w odbiorze.

W warstwie fabularnej czytelnik otrzymuje dość przyjemną awanturniczą opowieść, której bohaterem jest dwudziestojednoletni margaryt Iwan Gorczew. Protagonista w czasie jednego z rejsów, grając w makao, pokonuje laureata Nobla i wygrywa całą jego nagrodę. Schodząc na ląd z niemałym majątkiem, rozpoczyna nowe życie miliardera. Jego walorami nie są jedynie pieniądze, ale również spryt i mocny sierpowy. Przed nim świat pełen możliwości, a także ukochana, którą pragnie zdobyć za wszelką cenę.

Rejtő stworzył bardzo przyjemną opowieść, zapewne nie będącą niezwykle wnikliwą analizą społeczeństwa, czy też awangardową konstrukcją z podwójnym dnem, a po prostu przystępną anegdotą dla nieco mniej wyszukanego odbiorcy szukającego po prostu rozrywki. Sympatyczny bohater i jego fajtłapowaty pomocnik, piękna ukochana, bogaty rywal – wszystko to z jednej strony schematyczne, z drugiej jednak bardzo dobrze skonstruowane. Plus szczypta humoru. Do tego dochodzą klasyczne rysunki autorstwa Korcsmárosa.

Tibor Cs. Horváth, Ernő Zòràd:

*Miasto milczących rewolwerów,*

Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1987.



*14-karatowe auto* to klasyka komiksu węgierskiego, jednak jak na klasykę przystało, obecnie czuć od niej nieco staromodności i przestarzałości, chociaż wciąż urzeka prostotą i przejrzystością. Jest to ciekawa propozycja „dla każdego” bez względu na wiek. Prezentacja „kawałka historii”, typowej publikacji przeznaczonej raczej do druku w formie pasków w codziennej prasie, jednak wciąż uroczej i mającej w sobie nutkę sentymentu.

W ciągu ostatnich czterdziestu lat w Polsce pojawił się niejeden komiks węgierski. Niektóre publikacje były lepsze, niektóre gorsze – zapewne z przewagą tych drugich. Pokazują one jednak pewien sposób spojrzenia na opowieści obrazkowe – skierowane do nastoletniego odbiorcy, lub też do czytelnika szukającego w komiksie czystej rozrywki. Wiązał się on, o czym wspominałem na samym początku, z pewnym sposobem patrzenia na komiks w czasach komunizmu. Opowieści graficzne związane były ze „zgniłym Zachodem”, a twórcom pozwalano jedynie na tworzenie historii lekkich i przyjemnych. Po latach jednak widać, że tacy twórcy jak Horváth, Korcsmárosa, Zòràd, Fazekas, Jankovics, Sebők, Jankovics i Dargay stworzyli naprawdę ciekawy obraz węgierskiego komiksu. Dziś każdego z nich można uznać za klasyka gatunku. Może nie prezentowali oni najambitniejszych projektów, jednak bezsprzecznie ich wkład w historię europejskiego komiksu jest niezaprzeczalny. ●





Marcin Bałczewski > Recenzje

# Batman i Robin

## mistrz i uczeń

Wydany przez Egmont Polska komiks „**Wieczni Batman i Robin**” to dobry powód, aby przyrzeć się pomocnikowi, a raczej grupie pomocników Mrocznego Rycerza, a także ich często frapującym, niedopowiedzianym relacjom. I chociaż obracamy się w kręgu często znienawidzonego w świecie wysokiej kultury amerykańskiego komiksu, to jednak z opowieści o Człowieku-Nietoperzu zawsze się da wydobyć „coś więcej” niż popkulturową papkę dla dwunastolatka.

nie ma sensu rozpisywać się na temat fenomenu postaci Batmana. Bohater stworzony w 1939 roku przez Boba Kane'a i Billa Finger'a, jako jeden z postaci DC Comics obok m.in. Supermana, Flasha i Wonder Woman, przesiąknął do świata współczesnej kultury. Duża w tym zasługa cyklu seriali, a także filmów. I chociaż w ostatnich latach na ekranie obok Mrocznego Rycerza bezpośrednio nie pojawiał się Robin, to jednak ich współistnienie wywołało niejedną zamęt w historii komiksów.

A wszystko to za sprawą seksualności i nieco dziwnych relacji. Bruce Wayne, miliarder, który czasami widywany był w towarzystwie kobiet typu Vicki Vale, jako Mroczny Rycerz romansował m.in. z Catwoman czy córką Ra's al Ghula, przez wiele lat w tajemnicy współdziałał przeciw zbrodni z nastoletnim, na początku kariery nawet kilkuletnim, chłopcem. Temat współistnienia Batmana i Robina jest również szeroki, jak i niezbadany. Chociażby sławetny kadr z 1954 roku z komiksu „Batmana” numer 84, w którym to w jednym łóżu śpią „mistrz i uczeń”, a sam Bruce proponuje zimny prysznic i wielkie śniadanie. Czy mogło do czegoś dojść? Niekoniecznie, ale ważny w tym temacie jest sam rok wydania tej publikacji. Jednak zacznijmy od początku.

Batman powstał we wspomnianym 1939 roku. Jak wielu innych superbohaterów, dość szybko otrzymał młodego pomocnika, postać, z którą mógł identyfikować się młody czytelnik. I tak w 1940 roku pojawił się pierwszy Robin, inspirowany m.in. postacią Robin Hooda. Warto dodać, że opowieści o Mrocznym Rycerzu z tamtego okresu były klasycznymi historiami awanturniczo-kryminalnymi. Aż do zmian kulturowych w latach 50. Wtedy też opowieści Batmana „wyszły” ze sfery mrocznej do igrzysk „kampusowej”, straszliwie cukierkowej, dzisiaj doprowadzającej do śmiechu i pytań: co oni brali, jak to pisali? Po latach nawiązywał do nich w fatalnych filmach Joel Schumacher, także kultowy serial z Adamem Westem wiązał się z tą dziwaczną wersją raczej nie Mrocznego, a Tęczowego Rycerza. Plejada najdziwniejszych postaci i przygód, takich jak chociażby przygody Batmana w szkockim kilcie, ucieczka przed skunksem, wyprzedaż garażowa Batcave, czy jakiegokolwiek inny absurd, chociażby strój Robina, w którym rzekomo Bruce pojawiał się w dzieciństwie. Kicze nad kiczami. Różowe lata 50. i kolejne to jednak ciekawy obraz socjologiczny, w którym to wątki homoseksualne po kryjomu pojawiały się tu i ówdzie. Stąd właśnie podejrzenia o homoseksualizm i kontakty między „uczniem” i „mistrzem”, który pojawiał się przez te naście lat. Co ciekawe, wspomniany Joel Schumacher i jego „Batman i Robin” kontynuowali temat. Wielokrotnie w filmie można znaleźć niedopowiedzenia na temat seksualności tytułowych bohaterów. To jednak jedna z wielu, raczej dziwaczna, jeśli przeczytać komiksy z tamtych czasów, wersja opowieści. Były to historie bezrefleksyjne, dziecięco naiwne, a zarazem podszyte czasami wolnej miłości i psychodelicznych narkotyków. Batman na haju? Zobaczcie kilka odcinków serialu z niedawno zmarłym Westem w roli głównej, a przekonacie się, że tak było.

Kolejną ciekawostką w kontekście seksualności Batmana jest ta, że zdecydowanie więcej w komiksach o jego przygodach pojawia się lesbijek i biseksualnych kobiet. I to do dzisiaj. Wynikało to z dziwnego założenia, że mocna kobieta musi być bliższa mężczyźnie, myśleć jak on, czy też mieć

uczucia jak on. Podążając stereotypem – musiała by być „bi” lub lesbijką. Wśród właśnie takich „twardych sztuk” warto wspomnieć o Batwoman – w nowej wersji, Catwoman, Harley Quinn czy Bluebird. Smaczkciem niech będzie to, że jednym z najlepszych przyjaciół dorosłego już Dicka (pierwszego Robina) jest Midnighter, który otwarcie przyznaje się do swojego homoseksualizmu. A sam Dick? No cóż, wielokrotnie uznawany jest za najprzystojniejszego superbohatera wszech czasów. Kolokwialnie mówiąc – podobno niezłe z niego superciacho i niejedna postać komiksowa chciała by od niego „czegoś więcej”.

Jak wspominałem na samym początku, Robin to nie postać, a grupa postaci. Pierwszym był wspomniany już Dick Grayson. Sierota, którego rodzice-akrobaci zostali zamordowani na jego oczach. Ten element – Batman także zobaczył w młodości śmierć swojej matki i ojca – połączył ich. To właśnie on był wspianym chłopcem – Robinem z 1940 roku, na którym wzorowani byli kolejni. Z czasem wyrósł ze swojej roli i stał się bohaterem o pseudonimie Nightwing. W swojej historii zdarzyło mu się także kilkukrotnie założyć strój Batmana. I chociaż wielu myślało, że zostanie on jego następcą, tak nie było. Ostatnio Dick został uznany za zmarłego. Teraz to Agent 37 – Grayson, który jest amerykańską wersją Jamesa Bonda. I co najważniejsze, o czym również wspominałem, jest on uznawany za najseksowniejszego superbohatera na świecie. Wysoki, wysportowany, ciemnowłosy, a zarazem delikatny i rozsądny. Tak naprawdę to głównie wokół tej postaci i Batmana od lat toczy się spór związany z seksualnością bohaterów.

Zupełnym przeciwieństwem Dicka był jego następca, Jason Todd. W pierwotnej wersji jego rodziców-akrobatów zabił Killer Croc. W czasie „wyzerowania wszystkich opowieści DC” jego historia na szczęście zmieniła się – ukazano go jako młodocianego przestępcę, który chciał ukraść koła od Batmobilu. Jason był nieprzyjemnym rudzielcem, który farbował włosy na czarno, a jak wiadomo „co rude, to wredne”. Tego Robina znienawidzili czytelnicy i poniekąd doprowadzili do jego śmierci. Na przełomie 1988 i 1989 roku przedstawiono opowieść pt. „Śmierć w rodzinie”, w której nasz bohater został zabity przez Jokera. Można się śmiać, ale bardzo dobrze wpłynęło to na jego osobę. Przez wiele lat Todd był martwy. Jednakże nic w komiksach nie trwa wiecznie, więc przez zrzęcenie losu zmartwychwstał. Obecnie Jason to najmniej bohaterski z bohaterów, gość o pseudonimie Red Hood. Lubi brutalność, kobiety i alkohol. Rządził półświatkiem przestępczym, wciąż jest opryskliwy, nachalny i, wbrew pozorom, w takiej formie zjadliwy.

Tim Drake to trzeci Robin, najbardziej znany polskim czytelnikom dzięki komiksom wydawanym przez TM-Semic w latach 90. Dziś to dorastający bohater o pseudonimie Red Robin korzystający z wszelkiej maści możliwości technologicznych. Wspiera grupę działającą przy Batmanie i szkoli następców. Może wydawać się najmniej ciekawy – nie przeżył, jak poprzednicy, traumatycznego doświadczenia za młodu, był także najmniej zbuntowany – może dlatego wszelkie technologiczne nowinki zaciemniają dość nijaką postać, jaką jest sam Tim. Tim to taki grzeczny, wychowany Robin.

Jak ilustruje jeden z kadrów „Wiecznego Batmana i Robina”, Dick to serce, Jason – siła, a Tim – rozum. Aby nie zostać poświadczonym o niewiedze



dodam, że w postać Robina wcielili się również: jedyna w tym gronie dziewczyna (Stephanie Brown, znana także jako Spoiler, która odgrywa jedną z ról w „Wiecznych...”), a także sam syn Bruce’a i Talii as Ghul (Damian Wayne, rozwydrzony nastoletni zabójca, którego historię mogliśmy poznać w serii „Batman i syn”). W kilku momentach komiksu jedynie mignął We Are Robin – grupka walczących z przestępcami nastolatków, których symbolem jest właśnie Robin. Wśród nich Duke Thomas, kolejny bohater z symbolem „R” na piersiach.

Wiedząc już, jak ważną postacią jest/są kolejne wcielenia Robina, warto także przyjrzeć się samemu komiksowi „Wieczni Batman i Robin”, który jest tylko jednym z elementów całej serii „Wiecznych” – świat Gotham wciąż się rozpada. Batman stracił pamięć, w jego zastępstwie kostium przywdziewa Jim Gordon. W międzyczasie trzech byłych Robinów (Dick, Jason i Tim) natrafia na ślad niejakiej „Matki” – kobiety, która doprowadza do traumatycznych przeżyć małych dzieci, m.in. śmierci ich rodziców, aby potem podać je praniu mózgu i szkoleniu na zawodowych morderców. Jej ślad łączy się z dawną działalnością Batmana, postacią Stracha Na Wróble, i... możliwym rozwiązaniem, że jeden z Robinów właśnie jest takim

„dzieckiem z traumatycznym przeżyciem”. Każdy z nich próbuje własnymi sposobami rozwiązać zagadkę. Przy okazji pojawiają się postacie typu Bane, ten, który ładnych parę lat temu doprowadził Bruce Wayne’a do kalectwa, a także Azrael, czyli „tymczasowy Batman” sprzed lat.

Komiks Jamesa Tyniona IV i Scotta Snydera to wartka, nieźle prowadzona opowieść, wielka tajemnica i nowe rozpoznanie postaci Robinów, na których skupia się główna oś opowieści. Komiks mimo kilkuset stron (w sumie dwanaście oryginalnych zeszytów w jednym) czyta się szybko, sprawnie i bezboleśnie. I zawsze przy okazji można pouspominać dobre, stare czasy i dawne przygody superbohaterów, bez kontekstów i uduzień. „Wieczni Batman i Robin” to opowieść współczesna, zero „kampowości”, dużo brutalności i nawiązań popkulturowych. Element większej układanki, ale dość strawny i przyjemny. Warto dodać, że publikacja powstała za oceanem z okazji 75-lecia urodzin postaci Robina. Nie jest to na pewno „top dziesięć” najważniejszych i najlepszych historii o Batmanie i jego pomocnikach. To raczej ciekawostka, jak wspominałem – element, a raczej fragment całości, z którą można, ale niekoniecznie trzeba się zapoznać. ●

**Polecam również:**

**Batman: śmierć w rodzinie** – tom 9

Wielkiej Kolekcji Komiksów DC

**Batman i syn** – tom 5

Wielkiej Kolekcji Komiksów DC

Seria **Wieczny Batman i Wieczne zło**

James Tynion IV, Scott Snyder:

**Wieczni Batman i Robin;**

Egmont Polska.





# Antybohater w filmach fabularnych Andrzeja Barańskiego na przykładzie

## N *NAD RZEKĄ, KTÓREJ NIE MA I KSIĘSTWA*

a spokojne kino (określenie Jana Lewandowskiego z lat 80.) Andrzeja Barańskiego składają się nie tylko adaptacje literatury niekanonicznej, straganowej, prymitywnej, pisanej często przez pisarzy dysponujących oczywiście talentem narracyjnym, ale pozbawionych jakichkolwiek kompetencji kulturowych. Najważniejszą cechą kina Barańskiego jest specyficzne napięcie w przebiegu wydarzeń tworzących dramaturgię dzieła filmowego. Reżyser powiada, że podobają mu się utwory, w których świadomość zakończenia jest oddalona. Autora *Parę osób, mały czas* nie interesuje sensacyjny rozwój poszczególnych wątków. Istotniejszy jest zapis trwania, chwili w połączeniu z prezentacją tła przestrzennego, specyficznych zwrotów językowych. Słowem, cel Barańskiego zasadza się na odtworzeniu całej masy szczegółów klimatu minionych epok. I gdy nawet pije się dużo taniego wina jak w *Nad rzeką, której nie ma*, świat przedstawiony nie razi. Wręcz przeciwnie, świat jest wypełniony delikatnością, kwiecistym językiem i kulturą osobistą bohaterów pochodzących nota bene z różnych klas społecznych. Jak więc odnaleźć w tak dobronudnej, franciszkańskiej twórczości antybohatera? Największa zagadka antybohaterów Barańskiego polega na tym, że zniewolony prostą historią oraz urzekającym krajobrazem widz nie dostrzeże wad antybohatera. Dlaczego tak się dzieje?

Fundament twórczości fabularnej Barańskiego stanowi kategoria prowincji. Akcje jedynie trzech filmów reżysera z Pińczowa dzieją się poza małym miasteczkiem. Egzystencja „wielkomiejskich” bohaterów Barańskiego odbywa się głównie w mieszkaniach. Nawet takie postaci jak Miron Białoszewski i Jadwiga Stańczakowa, mieszkańcy centralnej Warszawy, są typami prowincjuszy, których nie określa adres zamieszkania, lecz peryferyjne zainteresowania oraz wyczulenie na szczegóły. Prowincja jest miniaturą świata, dającą

widzowi niepowtarzalną możliwość obserwacji najdrobniejszych niuansów, zachowań oraz gestów.

Bohaterowie są nieodzowną częścią pejzażu; w efekcie prowincja okazuje się nie tylko ładnym obrazkiem, lecz żywym organizmem. Tutaj życie toczy się według innych pryncypiów niż w aglomeracji miejskiej. Rytm życia w małej miejscowości może uwieść, ale może być również tragicznie nudny poprzez ciągłe powtórzenia.

Prowincja ma cechy niszczycielskie; niekiedy jakby mimochodem stwarza pojedynczą częśćkę antybohatera. Ową częśćkę stanowi nie-przynależność głównego bohatera do żadnego świata, którą zaczyna odczuwać w momencie opuszczenia rodzinnej krainy. Czuje się wykorzeniony z rodzinnych stron, ale zarazem nie potrafi pokonać poczucia wyobcowania w miejscach dla siebie nowych. Do tego wątku jeszcze powrócić.

Samo obcowanie z prowincjuszami nabiera powagi kiedy, tak jak w *Dwóch księżycach*, wielkomiejscy przybysze nieco się wyciszają w codziennym kontakcie z obezwładniającym, naturalnym urokiem przyrody, jak również w bezpośredniej konfrontacji z autochtonami. Ci ostatni wiedzą, że małomiasteczkowe pochodzenie równa się uczuciu małomiasteczkowego braterstwa, odczuwanego do ludzi oraz samej przestrzeni. Autochtoni-tubylcy wiedzą, że prowincja jest niezbywalnym bagażem, jaki zabiera się wszędzie, w każde odległe miejsce na ziemi. Wszyscy bohaterowie zatem noszą w sobie pewną „małomiasteczkową niższość”. Przy czym ta niższość nie wiąże się z problemami socjalno-bytowymi, lecz z poczuciem obcości. Witek Piasecki, Andzia, kramarz Chruścik, ślepy Michał, braciszek Alojzy Kosiba, czy wspomniani Miron Białoszewski razem z Jadwigą Stańczakową – stanowią całą grupę wyobcowanych bohaterów. Ich alienacja nie jest głęboka (chyba najdotkliwiej odczuwa ją poeta Białoszewski), ale izoluje od społeczeństwa w sposób bardzo widoczny. Prawdopodobnie wyobcowany bohater Barańskiego nie postrzega alienacji jako zjawiska uciążliwego, nie czuje się nią dotknięty; przeciwnie, odczuwa potrzebę wyodrębnienia od reszty. Owo wyróżnienie umożliwia poetyka nostalgicznego, wiecznego powrotu nie wpisanego we współczesność, ale jej wyrażnie przeciwstawionego. Bohaterów Barańskiego boli ich terażniejszość. Wiedzą, że kiedyś byli szczęśliwi, beztroscy, zadowoleni. Każda z tych postaci jest jakby figurą artysty; nie tylko prawdziwy, wybitny artysta jak Białoszewski. Andzia, czyli kobieta z prowincji, borykając się z codziennym znojem, udowadnia niedowiarkom, że żyć pełnią życia można w jakichkolwiek okolicznościach społecznych. Ociemniały Michał, który oczyma wyobraźni widzi więcej niż młody, zdolny malarz, zdecydowanie wyróżnia się spośród mnogości bohaterów *Dwóch księżyców*. Zna prawdy niedostępne ludziom o oczach zdrowych, lecz słabo widzących. Jego zdolności, wprost niewiarygodnie naturalna dobroć sprawiły, że jest tolerowanym odmieniec. W rozmowach z nim malarz, kreowany przez Jana Frycza, szuka inspiracji. Chciał namalować Boga. Wyśmiany przez Michała za zbyt prostacki pomysł na oddanie absolutu opamiętuję się i postanawia zacząć pracę nad obrazem na nowo. Kramarz Chruścik potrafi, nawet w sytuacji krytycznej, jak rozprawa sądowa, zacytować Kazimierza Przerwy Tetmajera. Witek Piasecki jako narrator pozakadrowy w *Niech cię odleci mara* sprawdza się idealnie, wygłaszając z oflu kwestie godne starożytnego retora, a nie nastolatka. Elokwentny, klarownie wyrażający myśli student Admirala cytuje na zawołanie wiersze i teksty piosenek, próbuje nadać swemu życiu głębszy sens. Barański nie czyni bohaterem, jak się zwykło przyjmować, kogoś przeciętnego. Żadna z wymienionych postaci nie jest typem everymana. Na ekranie widzimy wewnętrzne napięcie i konflikty osób, lecz nie chodzi tu o wybieranie mię-

dzy dobrem a złem, piekłem a niebem, prawdą a kłamstwem itd. A jeśli nawet czasem przed takimi dylematami stają bohaterowie, to ich skala jest minimalizowana do obszaru życiowego centralnej jednostki. Wszyscy przeżywają coś ważnego, ale doświadczenie to ogranicza się do prywatnego kosmosu. Istotna jest także wyczuwalna obecność Boga na poszczególnych etapach. Największe życiowe przeszkody nie zabijają wiary w Chruścika i innych. Wbrew wszelkim przewidywaniom widza, który po raz pierwszy ogląda, np. *Kramarza*, tytułowy bohater trwa na straży porządku i uczciwości nawet w sytuacjach beznadziejnych, które w człowieku o słabym charakterze wzbudziłyby najszczerzą złość. Chruścik nie przeklina, kiedy spotykają go kolejne łamiące nieszczęścia. Nie złorzeczy, gdy podczas odpustu okrada go miejscowa wyrobnica miłości. Dostrzega w niej zagubioną duszyczkę, nie jawno grzesznicę. Gdyby tylko było w jego mocy, otoczyłby ją troskliwą opieką, skierował na dobrą drogę. Nie istnieje siła, która zachwieje kręgosłupem moralnym kramarza. Postawa franciszkańska stanowi kolejną cechę bohatera Barańskiego. Jeżeli bunt, to wyciszony, jeżeli gniew, to niewypowiedziany. W czasie projekcji nie ujrzymy ani przez chwilę człowieka otwarcie nie zgadzającego się z losem. Wszyscy przyjmują życiowe trudności z pokorą, wyrozumiałością, mimo początkowego pytania: „dlaczego”? Bo z pewnością podświadomie takie pytanie zadaje sobie Admirala, gdy w ciągu sekundy jakaś drobnotka burzy dobrze zapowiadający się związek z dziewczyną, a ostatnie beztroskie lato niepostrzeżenie przemija.

W *Słowniku wyrazów obcych PWN* przy hasle ‘antybohater’ przeczytamy: „jest to osoba, zwykle postać w utworze literackim, mająca cechy ujemne, będące zaprzeczeniem cech bohatera”. Antybohater nie musi być złym człowiekiem, o czym łatwo zapomnieć. Antybohaterowie trzech filmów Barańskiego, które wymieniłem w tytule wystąpienia, nie są właśnie postaciami negatywnymi, nie popełniają przestępstw, nie krzywdzą ludzi. Jeśli już kogoś krzywdzą, to samych siebie.

Pamiętając o definicji słownikowej pojęcia ‘antybohater’, a zwłaszcza o jego drugiej części, można już stwierdzić, że postaci z tych filmów są antybohaterami, ponieważ skazują się na autodestrukcję psychiczną. Fundamentalnym łącznikiem jest więc ich niezdolność do czynu, zatrzymanie się na pewnym etapie i niemożność podjęcia następnego kroku. Jeśli decydują się na działanie, inicjując podjęcie, to już za późno, gdy nie można już zażegnać kryzysowej sytuacji.

Pierwszy antybohater nie jest nazwany z imienia i nazwiska. Znamy jedynie jego pseudonim – Admirala. Ten fakt już go do pewnego stopnia określa. Wciąż bardzo młody, ale już dorosły człowiek nawołuje swoich kumpli, wykrzykując ich ksywki. Oni odwiedzają się tym samym. *Bawicie się w wojsko?* – pyta Marta. – *Może. Z dawnych lat zostało* – odpowie Admirala. Nie chcą, a może nie mogą pogodzić się z przemianami. Pochodzący z prowincji student Admirala (Marek Bukowski) spędza wakacje w rodzinnym miasteczku. Najprawdopodobniej nigdy nie wróci tu na stałe. Admirala nie przynależy już do krainy dzieciństwa i wczesnej młodości. Przy czym, paradoksalnie, żyje niemal wyłącznie wspomnieniami. Prze-

szłość zamknął w serii fotografii wywieszonych na ścianie pokoju. Rodzinne miasteczko Admirała jest miejscem, w którym chłopak niczego nowego już nie przeżyje. Pozostaje mu tylko wspomnianie. Związek z miasteczkiem ulega systematycznemu rozpadowi. Gdy poznaje przyjezdną dziewczynę (Joanna Trzepiecińska), koledzy z dawnych lat zaczynają go drażnić. W tym momencie zdaje sobie sprawę, że nastąpił koniec „genialnej epoki”. Jednocześnie bohater przez rozpierającą go dumę zaprzepaszcza szansę na związek z dziewczyną. Admirał w czasie jednych wakacji nabiera świadomości podwójnej straty. W tak krótkim czasie przestał być członkiem małomiasteczkowego braterstwa. Nie zyskał nic w zamian oprócz bolesnej wiedzy o samym sobie. Admirał przeobraża się w młodzieńca o wysokiej świadomości życia. W finale filmu już wie, że tzw. piękne chwile, które wspomina się przez lata, aby stały się pięknymi chwilami, muszą przeminać. Gdy przechodzą do historii, nabierają specyficznego znaczenia osobistego skarbu, obowiązkowych doświadczeń oraz przygód. Chwile z filmu jawią się jako piękne po latach, dlatego właśnie, że kiedyś się nie spełniły. Możemy je wspominać z rozrzuwaniem, bo spotkało nas przez nie nieszczęście, nieprzyjemność, uraz, ale uraz mija i zostaje piękno. Admirał jest młodszym wcieleniem Wiktora Rubena z *Panien z Wilka* Jarosława Iwaszkiewicza. Osiąga ułatwiającą życie wiedzę na temat pewnych wydarzeń, które nie mają się prawa powtórzyć, gdyż ściśle wiążą się z konkretnymi etapami ludzkiego istnienia. Część winy za miłosne niepowodzenie leży jednak po jego stronie (tak jak u Rubena zresztą). Mimo że Wódz (Miroslaw Baka), przyjaciel z paczki, sugeruje mu, że pozytywne rozwiązanie wątku Marty byłoby równoznaczne z końcem beztroskiego życia, Admirał przyjmuje ostrzeżenie z rezerwą. Wie, że ten etap życia minął tak czy inaczej. Poziom semantyczny osiąga tutaj najwyższy stopień – uchwylenia tragedii młodości.

– *A przede wszystkim by Ci się skończyło* – mówi Wódz. – *Co by się skończyło?* – odpowiada Admirał. – *No, to tutaj.* – *Ale co, co tutaj?* – *Nic, właściwie nic.*

Księstwo (2011) to ostatni jak dotąd film Andrzeja Barańskiego. Został zrealizowany na podstawie prozy Zbigniewa Masternaka, wyróżniającego się reprezentanta literatury najnowszej. Na tytułowe księstwo złożyły się trzy powieści Masternaka: *Niech żyje wolność*, *Chmurołap*, *Scyzoryk*. Autor nie ukrywa, że pisze głównie o sobie i o ludziach z rodzinnego Piórkowa. Masternak, a za nim Barański ożywiają klasyczny dla literatury chłopskiej motyw awansu społecznego, który powoduje mnóstwo komplikacji w życiu prywatnym.

Antybohater Zbyszek jest kolejnym, tym razem współczesnym, wariantem Admirała, który zaistniał jako swoista superstruktura postaci filmowej w ujęciu Barańskiego. Pozostali bohaterowie żyją jego alternatywnym losem. Wyrzucony ze studiów Zbyszek zmuszony jest do powrotu na rodzinną wieś, położoną na Górach Świętokrzyskich. Tu, podobnie jak Admirał z *Nad rzeką, której nie ma*, nie jest już traktowany jak swój. Sąsiedzi, dawni znajomi

sztydzą z jego wielkomiejskiej porażki. Chciał przeczekać zły czas. Rodzinna wioska miała pełnić funkcję azylu. Wszystko dzieje się jednak na odwrót. Poczucie rozdarcia między przywiązaniem do wsi a ochotą ucieczki do miasta pogłębia się.

Od tej pory bohater *Księstwa* przestaje liczyć na zmianę losu. Snuje się po okolicy bez celu, nie udaje mu się też uratować dawnej miłości, groźna kontuzja wyklucza grę w piłkę nożną na profesjonalnym poziomie. Nie potrafi uprawiać ziemi, co dodatkowo wyklucza go symbolicznie z lokalnej społeczności. Lista niepowodzeń jest długa, a to nie przystoi człowiekowi noszącemu pseudonim Książę. Ojciec Zbyszka umówił mu w dzieciństwie, że pochodzi z rodu Wiślan, zatem jego sny o potędze mają mocny fundament. Oddaję w tej sprawie głos reżyserowi: *W zamysle ma go wyróżniać i uwznioślać, ale tak naprawdę od dzieciństwa go stygmatyzuje. Mrzonki o książęcej przeszłości stanowią tylko świadectwo manii jego ojca, która sprawia, że rówieśnicy traktują Zbyszka niechętnie. Na wsi podobny fałsz zawsze zostanie zdemaskowany.* W takiej sytuacji rozczarowanie kolejnymi porażkami boli w dwójnasób. Książę już wie, że chwilowy powrót prawdopodobnie przeciągnie się o całe lata i nawet upływ czasu nie ułatwi ponownego wejścia do wiejskiej wspólnoty. Chociaż w *Księstwie* dużo miejsca zajmuje krytyka społeczna (jak w żadnym innym dziele Barańskiego), reżyser zdecydował się związać tragiczne zakończenie wyłącznie ze Zbyszkiem. Powód mógł być tylko jeden. Opowieść dotyczy przede wszystkim jego osoby. Przez cały film ciąży na nim brak perspektywy, własne ograniczenia. Wszystko wiąże się z nieuchronną porażką. Książę to człowiek bezradny wobec okoliczności, ale też wobec przekonania o własnej bezradności. Brakuje mu nie tylko życiowego szczęścia, ale też podstawowych umiejętności. Zbyszek wciąż czymś usprawiedliwia niepowodzenia. Powiela schematy życia wielu wiejskich kolegów, którymi gardzi. Dlatego musi zginąć, choćby i symbolicznie.

*Księstwo* dobrze podsumowuje kategorię prowincji, która, jak powiada Barański: *w intrygujący sposób łączy w sobie sprzeczności: może dawać wolność i zniewalać, przyciągać i odpychać. Jest osobnym, fascynującym wszechświatem.* Operowanie wariantami jednej postaci dobrze pokazuje świadomość reżysera na poziomie udoskonalania autorskiej poetyki filmowej. Należy pamiętać, że filmy te powstały na innych etapach kariery reżysera. Mimo tego można wskazać sporo punktów stycznych. Dzieła te spaja małe miasteczko i antybohater, którego postawa wynika po części właśnie z prowincjonalnego pochodzenia.

Z kolei trop iwaszkiewiczowski, który podjąłem, może wskazywać na ciągłość kultury, nieustannego odwoływania się do klasycznych wzorców pozwalających na stworzenie dzieła sztuki jako takiego.



Specjalnie dla kwartalnika **AFRONT!**



Marek Probošz  
Fot. archiwum prywatne

„Zadzwoń, jak cię zabiją!”  
Z Markiem Probošzem  
nie tylko o aktorstwie  
rozmawia Mirosław G. Majewski

[fragment wywiadu-rzeki]



**M**irosław Majewski: Marku, niezmiennie się cieszę, że wreszcie doszło do naszego spotkania face to face i to Jasnowicach, na twojej ojcowiznie. Pierwsze pytanie rodzi się niejako samoczynnie, a więc: Góralu, czy ci nie żal?

Marek Probosz: Ja też bardzo się cieszę z naszego spotkania, a czy mi żal? Żal, oczywiście, że żal, chyba jak każdemu, kto opuszcza swoje rodzinne strony, swoją ojcowiznę i przeprowadza się na drugi koniec świata.

M.M.: Pamiętasz może tytuł naszego pierwszego wywiadu sprzed ponad sześciu lat?

M.P.: (po chwili namysłu) „Polański, Pilecki, Probosz”?

M.M.: Dokładnie! A więc może zaczniemy od Polańskiego?

M.P.: Rozumiem, że chodzi ci o film „Helter Skelter”, w którym wcieliłem się w postać Romana Polańskiego?

M.M.: Tak... Ale, ale... może poczekajmy chwilę. Tak mi teraz przyszło do głowy, aby zapytać o nazwę dzielnicy Istebnej, w której jesteśmy, czyli Jasnowice. Znasz może genezę tej nazwy?

M.P.: Kilka wieków temu w te rejony zapuściła się grupa cudzoziemców, której członkowie byli mistykami z darem jasnowidzenia, stąd jasnowidze, jasnowice.

M.M.: Bardzo interesujące. Owionęła mnie duchowość tego miejsca. Serio...

M.P.: Dlatego lubię tu wracać z L.A.

M.M.: Nie dziwię się, ale wróćmy do filmu „Helter Skelter” i twojej roli. Jak do tego w ogóle doszło? Brałeś udział w castingu, czy może w jakiś inny sposób znalazłeś się na planie?

M.P.: Oczywiście był to casting, tym bardziej mnie cieszy, że otrzymałem tę rolę.

M.M.: Konsultowałeś się może z Romanem Polańskim, aby jakoś wejść w jego skórę?

M.P.: Próbowałem

M.M.: Rozumiem. Jak to jest wcielić się w taką postać, i to postać, która dalej funkcjonuje w świecie filmu? Przeżywałeś „bojaźń i drżenie”?

M.P.: No wiesz, zagranie Romana Polańskiego w amerykańskiej produkcji wywołuje spore emocje. Tak, bardzo to przeżywałem.

M.M.: Ale z tego, co wiem, wszystko skończyło się dobrze.

M.P.: Powiedziałbym: znakomicie. Wyobraź sobie, że po przedpremierowym pokazie filmu dla studentów reżyserii na Uniwersytecie Kalifornijskim do reżysera Johna Graya podeszli studenci i wypytywali go, jak zdobył archiwalne materiały filmowe z konferencji prasowej Polańskiego w L.A.

M.M.: Domyslałem się, że to nie były wmontowane sceny z konferencji Polańskiego, lecz twoja gra.

M.P.: Tak właśnie było. Dla aktora nie może być lepszego komplementu.

M.M.: Wiem, że aktorzy w różny sposób przygotowują się do swoich ról, słyszałem o takich, co nawet schudli 40 kilogramów... Jak to było w twoim przypadku?

M.P.: Może nie schudłem 40 kilogramów, ale ta rola była dla mnie wielkim wyzwaniem, czułem na sobie wielką odpowiedzialność. Po pierwsze, jak wcześniej sam zauważyłeś, Roman Polański to czynny, genialny reżyser i świetny aktor, poza tym żyjący rodak i absolwent tej samej Łódzkiej Filmówki, którą ukończyłem. Myśl, że przyszło mi się w niego wcielić w najbardziej dramatycznym okresie z jego życia, kiedy to w 1969 zamordowano mu żonę, nienarodzone dziecko i przyjaciół, spowodowała, że przeczytałem i obejrzałem wszystko, co było dostępne w Hollywood na temat Polańskiego, Sharon Tate i bandy Mansona. To,



Kadr z filmu „Śmierć rotmistrza Pileckiego”

co wtedy przeżył, z czego się pozbierał jako człowiek i artysta, który dalej niezłomnie tworzy swoje filmowe arcydzieła, jest godne podziwu. Wiedziałem, że nie mogę popełnić najmniejszego fałszu, stałem się prawdziwym ekspertem od Polańskiego, na planie nikt nie mówił do mnie inaczej niż „Roman”.



Kadr z filmu „Helter Skelter”

**M.M.:** Korci mnie, aby zapytać, czy na planie innego obrazu nie zwracano się do ciebie „Witold”? Jak dla mnie, rola rotmistrza Pileckiego była na miarę Złotego Lwa, Srebrnego Niedźwiedzia czy Oscara.

**M.P.:** Miło to słyszeć. Niestety, w Polsce „Śmierć rotmistrza Pileckiego” przeszła praktycznie bez echa, a ta rola odmieniła moje życie. Mam wrażenie, że stałem się dzięki niej wartościowszym, dojrzalszym człowiekiem. To była wielka, nieoczekiwana radość, zaszczyt i prezent losu za dziesiątki lat zmagani i wyrzeczeń. Pilecki przyłgnął do mnie na zawsze. Choć film miał premierę w 2006 roku, wciąż jestem jego ambasadorem, jeżdżę po świecie, festiwalach, pokazach i zaświadczam swoją osobą, że to nie była fikcja, że był taki człowiek i tego wszystkiego dokonał. Bo przecież nie było nikogo innego, kto dobrowolnie, na ochotnika poszedł do piekła obozu w Auschwitz, aby ratować jego więźniów, podnosić ich na duchu, przygotować ich do wyzwolenia fizycznie i psychicznie. Robił to bezinteresownie, nie patrząc na wyznanie, narodowość czy orientację seksualną tych, którym pomagał. Dawał drugiemu człowiekowi wszystko, co najlepsze...

**M.M.:** Przepraszam, że wejdę ci w słowo, ale z tego, co mówisz, a właściwie jak mówisz, odnoszę wrażenie, że rozmawiam z rotmistrem Pileckim. Jak przygotowywałeś się do tej roli?

**M.P.:** Przygotowując się do tej roli, żyłem jak mnich, byłem porażony dobrem i niezachwianą postawą Pileckiego. Miałem wrażenie, że nawiązaliśmy głęboki emocjonalny kontakt. Nic dziwnego, że po amerykańskich pokazach filmu widzowie porównywali Pileckiego do Jezusa, Gandhiego, Spartakusa. Próbowali odnaleźć wzorzec

historyczny, który by do niego pasował, ale on wymyka się jednoznacznej kategorii. W obecnych czasach cierpimy bowiem na wielki deficyt prawdziwych bohaterów, inflacja ludzkich wartości dotyka nas wszystkich. Głoszę więc dobre słowo o Pileckim, przypominam o jego ideałach. Za swoją działalność otrzymałem dwa medale, jeden od Kapituły Oświęcimskiej „Do końca niezłomny”, drugi w Londynie – MORTUI SUNT VIVAMUS.

**M.M.:** Jest takie powiedzenie, że pisarz żyje, dopóki go czytają. Bohaterowie żyją, dopóki się o nich pamięta. Dzięki twojej roli i aktywności rotmistrz Pilecki nadal żyje.

**M.P.:** Tak, Pilecki wciąż żyje. Przypomnę, że film o nim „Śmierć rotmistrza Pileckiego” wyświetlany był od Białego Domu w Washington DC, gdzie prezydent Bush oglądał go ze swoją żoną, przez Santo Domingo, gdzie w poszukiwaniu wolnej ojczyzny wylądowali przed wiekami oszukani przez Napoleona polscy legionści, Warszawę, Sztokholm, Londyn czy Los Angeles, chociaż miał już w Mieście Aniołów co najmniej kilka naciągów pokazów.

**M.M.:** Twoja praca jako ambasadora Witolda Pileckiego wybiega daleko poza profesję aktora.

**M.P.:** Sądzę, że tak... Ale jak wiesz, nie jestem tylko aktorem...

**M.M.:** No właśnie, nie każdy wie, że jesteś też pisarzem... A jedna z twoich książek w jakimś stopniu nawiązuje do etosu rotmistrza Pileckiego.

**M.P.:** Być może to zbyt mocne porównanie. *Eldorado* to baśń, ale chyba nie można wykluczyć korelacji pomiędzy fikcyjnym bohaterem powieści a postacią z krwi i kości – rotmistrem Pileckim.

**M.M.:** Druga twoja książka ma nieco szokujący tytuł.

**M.P.:** W *Zadzuoi, jak cię zabiją* umieściłem dziewięć opowiadań, a tytuł książki nawiązuje do pewnego zdarzenia, kiedy wyjeżdżałem taksówką z rodzinnego domu w Jasnowicach na kolejne zdjęcia filmu Agnieszki Holland „Janosik, prawdziwa historia” na Słowacji. Grany przeze mnie bohater, polski zbójnik Satora, miał zginąć tego dnia w jednej ze scen. Mama, machając mi na pożegnanie z balkonu, krzyknęła we łzach „Synu! Zadzuoi, jak cię zabiją!”.

**M.M.:** Być może niepotrzebnie wyjaśniliśmy czytelnikom ten intrygujący tytuł, a może wręcz odwrotnie? W każdym razie ja z swojej strony bardzo ci dziękuję za rozmowę. Czytelników zachęcam do lektury wspomnianych książek, widzów zapraszam na nowy serial z tobą w roli głównej – „Pod wspólnym niebem”, w listopadzie na film Andrzeja Jakimowskiego (twórcy takich filmów, jak „Zmruż oczy” i „Sztuczek”) – „Pewnego razu w listopadzie”, a w przyszłym roku na film Lecha Majewskiego „Valley of the Gods” z udziałem Johna Malkovicha, Charlotte Rampling i Josha Hartnetta.

**M.P.:** Dziękuję. ●

M u z y k a

# Recenzje muzyczne

Kamil Pietrzyk





#### • Corruption – Spleen

Data wydania: 05.10.2017

Wydawnictwo: wydanie własne

Utwory: „Hatred”, „Righting My Wings”, „Shades Of Death”, „I Kiss On Your Grave”, „Dead Shell Of a Human Existence”, „Burn from Within”, „Asterism Ursa Major”.

Myślę, że niejedynemu muzykowi musiałoby mierzyc się z tak częstymi zmianami personalnymi w swoim zespole, zapewne prędzej czy później rozwiązałby zespół i poszedł w świat, by nie użerać się z innymi, ale spokojnie robić swoje u kogoś. Ale nie Anioł! Niezmordowany Piotr Wącis, basista i jedyny oryginalny członek Corruption, jak gdyby w myśl bon motu Kolesia z filmu „Big Lebowski” wzdręgnął ramionami, pomyślał sobie „life goes on man”, wychylił szklankę białego ruska (choć bardziej prawdopodobne, że w ruch poszedł Jack Daniels) i zaczął kompletować nową drużynę, z którą przygotował premierową płytę. Dodajmy dla uściślenia, iż na nowej, ósmej już płycie w dorobku Corruption, wydanej, co ciekawe, własnym sumptem, zatytułowanej nietypowo jak na tę stonerową kapelę „Spleen”, występują oprócz Anioła sami nowo pozyskani muzycy. Pozostaje życzyć basiście, aby ten skład się utrzymał, bo płyta, choć króciutka, trzyma poziom! No i poza tym, to chyba już dość ostatnio tych zmian? Ostatnia zmiana była akurat dobrą zmianą!

Pierwszym zwiastunem krążka był numer „Shades Of Death” będący pod względem tekstowym kompilacją cytatów z różnej maści zwyroli i seryjnych morderców. No cóż, seryjni mordercy nie od dzisiaj są obiektem zainteresowań metalowych tekściarzy, ale raczej w przypadku hołdującego dotychczas raczej rock’n’rollowemu, hedonistycznemu przesłaniu zespołu, jakim jest Corruption, taka tematyka jest z lekką zaskakującą. Inne utwory nie są wcale wesołe. Panowie poszli w posępniejsze klimaty niż to ostatnio bywało (poczytajcie teksty wokalisty Łukasza „Chucka” Wolkiewicza – zapomnijcie o bourbonie, łyszce i panienkach), choć stylistyka muzyczna jakoś wielce drastycznie się nie zmieniła. Dalej mamy tutaj żywe nawiązania do kapel stonerowych, do Black Label Society, a także za sprawą nowego wokalisty – do Phila Anselmo z jego projektów wszelakich, najbardziej jednak do Down i Superjoint Ritual. Już w pierwszym na płycie, nie biorącym jeńców, wściekłym „Hatred” jest ta fascynacja wręcz ewidentna. Najbardziej stonerowe i typowe dla tego zespołu są oczywiście te numery, które wyszły spod ręki Anioła – przebojowe „Righting My Wings” czy bujające „I Kiss On

Your Grave”. W cięższe i podchodzące pod doom metal klimaty panowie poszli natomiast w naprawdę świetnym „Dead Shell Of A Human Existence” czy psychodelicznym „Asterism Ursa Major”, które za każdym razem przez recenzentów, zupełnie słusznie, porównywane jest z legendarnym „Planet Caravan” Sabbathów, swego czasu coverowanym przez Panterę (znów kłania się Phil Anselmo).

Jestem pełen podziwu dla Anioła, że udało mu się nie zwątpić w zespół po tylu problemach personalnych, które trapiły przez ostatnie lata Corruption. Wielkie brawa za determinację i upór, a także za nosa do dobierania współpracowników. Muzycy, którzy współtworzyli tę płytę, wywiązali się naprawdę świetnie ze swoich obowiązków i jako instrumentalisci, i jako autorzy utworów. Jedynym poważnym mankamentem albumu jest jego krótkość. „Spleen” strasznie szybko przelatuje, choć z drugiej strony mam nadzieję, że to tylko przedsmak następnych albumów, na których panowie pokażą więcej. Okazuje się bowiem, że w takiej nieco bardziej pesymistycznej odsłonie zespół prezentuje się nad wyraz udanie, choć – nie oszukujmy się – oryginalności w tym graniu jest tyle, co kot napłakał. Nikt jednakże od Corruption nie oczekuje wynajdywania prochu, tylko porządných, metalowych eksplozji.

Ocena: 7/10



#### • Lunatic Soul - Fractured

Data wydania: 06.10.2017

Wydawnictwo: Mystic Production

Utwory: „Blood On The Tightrope”, „Anymore”, „Crumbling Teeth And The Owl Eyes”, „Red Light Escape”, „Fractured”, „A Thousand Shards Of Heaven”, „Battlefield”, „Moving On”.

Mariusz Duda nie może usiedzieć na miejscu. Sam zresztą w wywiadach przyznaje, że czuje wewnętrzny imperatyw, który nakazuje mu stworzyć i wydać minimum jeden album rocznie. Póki wena dopisuje – a zdaje się, jakby teraz przeżywał Himalaje swoich możliwości twórczych (rewelacyjny „Love, Fear And The Time Machine” Riverside czy projekt Meller Gołyźniak Duda) – pozostaje mieć nadzieję, że uda się obronić przed wypaleniem jeszcze przez długi, długi czas, a może nawet i w ogóle go uniknąć? Po przesłuchaniu najnowszego krążka Lunatic Soul możecie być w zupełności spokojni o formę kompozytorską i wykonawczą śpiewającego basisty. Aż chce się zakrzyknąć: „Andrzej..., Mariusz Duda, to się uda!”.



Okoliczności inspirujące Mariusza Dudę do tworzenia były w ostatnim czasie niestety niewesołe. A to w zupełnie niespodziewanych okolicznościach odszedł w wieku zaledwie czterdziestu lat gitarzysta Riverside Piotr „Grudzień” Grudziński, a to liderowi Lunatic Soul przyszło żegnać ojca. Te i nie tylko te przeżycia odcisnęły piętno na kompozycjach oraz tekstach przepełnionych nostalgią, smutkiem, borykaniem się z przeciwnościami losu, ale także i światłem w postaci wiary w nadejście lepszych dni. W przypadku wrażliwych artystów jednakże taką dość ironiczną prawidłowością jest fakt, że coś, co w życiu prywatnym wbija w ziemię, wpędza w depresję, wyzwala jednocześnie energię do tworzenia, do szukania ujęcia dla tych negatywnych emocji w twórczości. Stąd chyba najdojrzalszy album Mariusza Dudy wydany pod szyldem Lunatic Soul, choć artysta miał zakusy, by wydać tę płytę pod swoim nazwiskiem.

Jak zwykle Duda wykonał tytaniczną robotę w studio, grając na niemal wszystkich instrumentach oprócz saksofonu, na którym zagrał Marcin Odyńiec i perkusji obsługiwanej przez Wawrzyńca Dramowicza. W dwóch utworach słychać także partie orkiestry w wykonaniu Sinfonietta Consensus Orchestra, w tym w przepięknej akustycznej (przynajmniej do połowy, potem mamy trochę elektroniki i niepokojących partii saksofonu) dwunastominutowej balladzie „A Thousand Shards Of Heaven”. Paradoksalnie to nie gitara basowa i akustyk są dominującymi instrumentami. Bardzo dużo do powiedzenia na „Fractured” mają syntezatory, co poświadcza, że Mariusz Duda dalej poszukuje inspiracji w latach osiemdziesiątych; jest trochę miejsca na transowy trip hop („Red Light Escape”, „Blood On The Tightrope”, „Battlefield”), jak i na formy bardziej przebojowe w stylu Depeche Mode (wieńczący płytę „Moving On” czy „Anymore”). Lider Riverside bardzo sprawnie żongluje nastrojami, muzycznymi kolorami za pomocą instrumentów, jak i za pomocą swojego głosu.

Wydaje mi się, że pomimo ciężkich przeżyć towarzyszących powstawaniu tego albumu Mariuszowi Dudzie udało się stworzyć, przynajmniej pod względem muzycznym, najbardziej przystępny album pod szyldem Lunatic Soul. Zastąpienie trudnych do przyswojenia, hipnotyzujących, niekiedy nawet usypiających elementów ambientowych elektroniką wyszło tej muzyce na dobre. Zwłaszcza, gdy Mariusz bawi się nastrojami, zapodając jakiś ożywczy riff na basie, który wcale nie niszczy klimatu, a wręcz oddaje idealnie borykanie się ze skrajnie różnymi emocjami, które towarzyszą przecież człowiekowi w trudnych chwilach, kiedy to los wystawia na próbę. W każdym razie, „Fractured” to jedna z najlepszych, o ile nie najlepsza polska płyta tego roku. Dzieło niezwykle udane i dojrzałe. Teraz wystarczy tylko czekać na Riverside, choć ze względu na śmierć Piotra Grudzińskiego ich następny album z pewnością okaże się inny niż poprzednie, chociaż, jak doskonale wiadomo, wizjonerem i głównodowodzącym w Riverside jest Mariusz Duda, i to on zapewne pokieruje swój większy statek w nowym kierunku. Płytę solową szykuje także Michał Łapaj, więc pewnie na nowy Riverside będziemy musieli poczekać. Cieszymy się zatem, póki możemy, świetnym krążkiem Lunatic Soul.

Ocena: **9/10**



#### • Moonspell - 1755

Data wydania: 03.11.2017

Wydawnictwo: Napalm

Utwory: „Em Nome Do Medo”, „1755”, „In Tremor Dei”, „Desastre”, „Abanão”, „Evento”, „1 De Novembro”, „Ruínas”, „Todos Os Santos”, „Lanterna Dos Afogados”.

Gdyby zapytać przeciętnego Polaka o to, z czym kojarzy mu się Portugalia, to zapewne najczęściej będzie to piłka nożna lub ewentualnie turystyka. Najmłodszy rzucił z marszu nazwisko Cristiano Ronaldo, troszkę starsi – Luisa Figo, a jeszcze starsi bez zastanowienia pewnie powiedzą: Eusebio! Jeśli natomiast zapytamy człowieka ubranego na czarno, z dłuższymi włosami i t-shirtem jakiegoś metalowego zespołu, to odpowiedź może być tylko jedna – Moonspell. Muzyczny produkt eksportowy Portugalii, bardzo popularny w Polsce, w bieżącym roku wydał swój jedenasty album. Pod pewnymi względami jest to wyjątkowa publikacja w ich dyskografii, ale o tym poniżej.

Po pierwsze – tytuł albumu. Tytułowanie płyty datą roczną nie jest czymś często spotykanym. Jeśli już się zdarza, to rodzi domysły, że pewnie jest to album koncepcyjny związany z jakimś wydarzeniem historycznym. Bingo, jesteśmy w domu! 1755 to dla Portugalczyków data szczególna. Przypomina o strasliwym trzęsieniu ziemi, które spustoszyło kraj w Dniu Wszystkich Świętych (o ironio losu!), niemalże do szczytu niszcząc Lizbonę. To właśnie ta klęska żywiołowa, która pozbawiła życia około 90 tysięcy ludzi, stała się tematem poruszoną w tekstach przez wokalistę grupy i tekściarza – Fernando Ribeirę. Skoro opowiadana historia jest tak mocno związana z ojczyzną kapeli, panowie odważyli się zaryzykować i nagrać płytę w języku portugalskim.

Pierwotnie zespół nie planował nagrać na ten temat albumu długogrającego. W przyszłym roku Portugalczycy planują wydać DVD zarejestrowane w Lizbonie, do którego początkowo planowano dodać kilka bonusowych utworów; jednakże pomysł na tyle ewoluował, że wykrystalizowała się z niego cała płyta, a DVD i tak swoją drogą się ukaże, toteż i wilk syty, i owca cała. Jedenasty krążek autorów legendarnego „Irreligious” jest niezwykle ciekawy pod względem muzycznym. Ostre jak brzytwa, lecz bynajmniej niepozbawione melodii partie gitarowe i agresywne wokale Fernando Ribeiro (zwolennicy jego zmysłowego, niskiego głosu będą niestety zawiedzeni – czystego śpiewu jest tu jak na lekarstwo) zostają, nieco dla kontrastu, pięknie okraszone licznymi partiami chóru, orkiestra-

cjami (np. otwierający płytę „Em Nome Do Medo”) i pojawiającymi się gdzieś nawiązania do różnych kultur, np. do kultury orientalnej, jak w utworze „Ruinas”. Choć nie brakuje melodyjności (sam osobiście nie mogę się uwolnić od zwiastującego płytę „Todos Os Santos”), to jednak nie ma na tej płycie przebojowych refrenów, których było pełno na poprzednim krążku „Extinct”. Ot, zasada decorum – zbyt przebojowość i lekkość nie przystoi po prostu do ciężkiego tematu tekstów. Od growlingu Fernando odchodzi w utworze „1 De Novembro”, w którym jego historyczny krzyk w pełni oddaje grozę kataklizmu i niepokój osiemnastowiecznych mieszkańców Portugalii. W „In Tremor Dei” można także usłyszeć w gościnnym charakterze wokalistę fado Paulo Bragançę. Fado to portugalski gatunek muzyczny polegający na śpiewaniu melancholijnej pieśni do akompaniamentu dwóch gitar klasycznych. Trochę szkoda, że Braganca jest nieco przekrzykany przez Ribeirę, przez co dopiero pod koniec wychodzi na pierwszy plan z wokalizą.

Zważywszy na fakt, że tylko nielicznym udało się zdobyć rozgłos na świecie za pomocą ojczystego języka (Rammstein i długo, długo nic), Moonspell po tylu latach na scenie mógł sobie na taki ruch pozwolić. Czy im się to opłaci? Oby! Z drugiej też strony opowiadanie historii tak ważnej dla swojego narodu w języku innym niż ojczysty mogłoby wyjść po prostu nie do końca autentycznie. Pójdę w swojej opinii o krok dalej. Mam nadzieję, że Portugalczycy zapoczątkują trend na nagrywanie przez znane szerokiej publiczności zespoły albumów w językach ojczystych. Zdarzają się oczywiście pojedyncze perełki na anglojęzycznych płytach, ale żeby powstawały całe krążki, to już niekoniecznie. Osobiście nie miałbym nic przeciwko, aby Behemoth czy Vader nagrali całą płytę po polsku, Dimmu Borgir po norwesku, a Septicflesh po grecku. Może to właściwy czas na odrobinę różnorodności?

Ocena: **8/10**



#### • Septicflesh – Codex Omega

Data wydania: 01.09.2017

Wytwórnia: Season Of Mist

Utwory: „Dante's Inferno”, „3rd Testament (Codex Omega)”, „Portrait Of A Headless Man”, „Martyr”, „Enemy Of Truth”, „Dark Art”, „Our Church, Below The Sea”, „Faceless Queen”, „The Gospels Of Fear”, „Trinity”.

Wydawać by się mogło, że występujący pod szyldem Septicflesh greccy death metalowcy rozmierzani w symfonicznych dźwiękach

dawno temu zdefiniowali swoją stylistykę muzyczną i już raczej niczego odkrywczego nie proponują; że będą kluczyć nieustannie w obrębie obranej dawno temu konwencji, nie fundując słuchaczom żadnych urozmaiceń. Kogo poprzednie płyty Greków nudziły, to pewnie i nowa tego faktu nie odmieni, ale kto wie? Jeśli o moją osobistą opinię chodzi, to niech sobie bracia Antoniou i spółka kłuczą, skoro im to tak dobrze wychodzi!

Nowy krążek (dziesiąty w dyskografii), zatytułowany „Codex Omega”, to zaserwowana na wysokim poziomie porcja agresywnego death metalu okraszonego śpiewem chórów i brzmieniem orkiestry. Brutalność pięknie przeplata się z patosem, a melodia z blastami w wykonaniu nowego perkusisty, którym jest znany polskim fanom metalu Austriak Kerim „Krimh” Lechner, do niedawna członek borykającego się aktualnie z bardzo poważnymi problemami krośnieńskiego Decapitated. Bębniarz idealnie wpasował się do helleńskiej kapeli. To, co wyprawia na perkusji, czy to łomocząc blasty, czy serwując karkołomne przejścia, idealnie uzupełnia się z partiami gitar i orkiestracją. Pomimo ciężaru zagwarantowanego przez potężne, selektywne brzmienie oraz brutalny growling Spiros Antoniou, nie poskąpiono dużej dawki melodii, także za sprawą bardzo udanych partii wokalnych studyjnego gitarzysty i tekściarza, Sotirisa Anunnaki V. Na czyste wokale jednak trzeba trochę poczekać, pojawiają się one dopiero w drugiej połowie płyty. Rewelacyjnie prezentuje się choćby otwierający płytę „Dante's Inferno” z popisowymi zmianami tempa w wykonaniu nowego bębniarza i pilującymi gitarami czy wybrany do promocji, podniosły „Portrait of a Headless Man”. Jednym z mocniejszych punktów płyty jest „Martyr”, w którym bardzo umiejętnie wykorzystano także tradycyjne instrumenty jak oud czy duduk.

Jeśli by przyjrzeć się dorobkowi Greków, to „Codex Omega” nie wnosi faktycznie niczego nowego, podobną muzykę grali na poprzednich krążkach (choćby na opus magnum „Communion”), natomiast dla słuchaczy, którzy chcieliby rozpocząć swoją przygodę z tą kapelą, jest to płyta idealna. Świetne brzmienie, zachowane proporcje między death metalową brutalnością a symfonicznym rozmachem i podniosłością, smaczki aranżacyjne to cechy dystynktywne tej kapeli, które mają szansę zachęcić wymagających słuchaczy dwóch skrajnie dalekich gatunków muzycznych: muzyki ekstremalnej i muzyki poważnej. Dla wielbicieli tej drugiej zespół przygotował wersje orkiestrowe trzech utworów bez całej tej death metalowej dźwiękowej otoczki blastów, ciężkich gitar i niedźwiedziego ryku. Nowa płyta to także chrzest bojowy austriackiego perkusisty, który pokazał się metalowemu światkowi występami w polskiej kapeli. Oby „Krimh” na dłużej zagościł w składzie, gdyż jego gra idealnie wpasowała się w styl grupy. Jeśli ktoś chce bezmyślnej sieczki, to niech poszuka gdzie indziej. ●

Ocena: **8/10**



Erazm Furman > Recenzje

# Afronty Furmana





# Zabliźniona rozpacz

• **Max Blecher, *Zabliźnione serca*, tł. Tomasz Klimkowski,**  
 Seria: Nowy Kanon, W.A.B 2013.

Skoro jest listopad, to wiadomo, trzeba recenzować smutne książki. Książkę, którą wybrałem na początek tego przeglądu, wypatrzyłem przypadkowo. Zaintrygowała mnie okładka, a dokładnie smutne spojrzenie widniejącego na niej młodego, bardzo szczupłego mężczyzny leżącego w pieleszach i patrzącego wyzywająco prosto w moje oczy. Usta ma zaciśnięte, ale nie wygląda, żeby powstrzymywał się przed powiedzeniem czegoś okropnego, raczej nie widzi we mnie osoby wartej rozmowy – jakby z góry wiedział, że go nie zrozumie. Tym odkryciem jest Max Blecher, pisarz żydowskiego pochodzenia, autor *Zabliźnionego serca*, rumuńskiej odpowiedzi na *Czarodziejską górę* Thomasa Manna. Jaka jest ta odpowiedź? Nieco inna, wcale nie gorsza od „oryginału”, a może nawet lepsza, bo napisana nowocześniejszym językiem, bez tego Mannowskiego nadmiaru słów ponad konieczność. Max Blecher miał tylko 29 lat, gdy w 1938 r. skończył na gruźlicę kręgosłupa. Głównym bohaterem *Zabliźnionego serca* jest Emmanuel, niewątpliwie alter ego Blechera, również cierpiący na tę chorobę, która przykuwa go do specjalnego wózka; mężczyzny dodatkowo okutanego w gipsowy pancerz, a mimo to mającego pragnienia, marzenia, zakochującego się i odrzucającego miłość. Mamy tu cały ten sanatoryjny anturaż z chorymi, lekarzami, pielęgniarkami, zabiegami i nudą, o której Blecher potrafi pisać jak mało kto, a chyba nawet jak nikt: „Próbował czytać, ale nic do niego nie docierało; książki były napisane dla innego świata (w polskim wydaniu jest w tym miejscu „światła” – to chyba literówka! – dop. E.F.); żadna książka na świecie nie jest w stanie wypełnić pustki ciepłego i intymnego dnia naznaczonego nudą i cierpieniem. Taki nieuchronny smutek czasu choroby” (s. 38–39). Tak właśnie jest: świat chorych, który jest równoległym do naszego świata, świata zdrowych, jest fascynujący i pociągający. Całkiem prawdopodobne jest istnienie czytelników, którzy złapią się na myśleniu, że chcieliby do tego świata dołączyć, choć przecież wiązałoby się to z chorobą i cierpieniem. Duchowość tego świata jest bliska mistycyzmowi, dlatego wielu mistycy potrzebowali cierpienia; tu jednak cierpienie wybiera człowieka, a nie na odwrót. I język tej książki, jego piękno, każą się zastanawiać, czy autor

nie próbował swych sił także w poezji, a jeśli się przeczyta wstęp do książki – Rollanda Chojnackiego, to dowiemy się, że tak: „nieszczęśnik, na którego drodze domy odsuwały się na bok ze strachu” (s. 31), „Można by powiedzieć, że ziemię obdarto w tym miejscu ze skóry, aby odsłonić jej wewnętrzny krwiobieg, straszne płonące arterie, którymi spływały do środka rozpalone złoto i purpura” (opis zachodu słońca na plaży, s. 107), „Delikatna cienista czasza pępka, do której Emmanuel wlewał trochę czystej wody, i brzuch stawał się krajobrazem ze studnią pośrodku...” (s. 129). Powieść nie odpowiada na najistotniejsze i najgłębsze zarazem pytanie, jakie w takiej sytuacji zawsze cisnie się na usta: „dlaczego ja?”. Ta książka jest na to zbyt subtelna, może tylko sugerować: „Kto raz został wyrwany z życia i miał wystarczająco dużo czasu i spokoju, aby zadać to jedno zasadnicze pytanie o jego sens – to jedno pytanie – pozostanie zatruty na zawsze...” (s. 121).

W pewnym miejscu powieści pada kwestia o ojcu głównego bohatera, zdanie sprawiające wrażenie cytatu z pism Ciorana, innego rumuńskiego dwudziestowiecznego giganta pisarstwa: „Taki człowiek jak on może popaść tylko w wyjątkowo dobrze zorganizowany oblęd”. Ale o Cioranie będzie poniżej. Wspominam o nim, gdyż mi się nieco z Blecherem kojarzy, bo podobnie jak z dziełami autora *Sylogizmów rozpacz*, powieść *Zabliźnione serca* niby jest smutna, a temat dołączający, a tymczasem czyta się ją świetnie i jakoś nie ma się podczas jej lektury myśli samobójczych.

Rzadko używam tego słowa, ale tu jest ono jak najbardziej na miejscu: *Zabliźnione serca* to arcydziełna książka. Porównywanie jej z dziełami Kafki czy Schultza może i ma sens, ale nie jest konieczne, bo powieść Blechera znakomicie broni się sama i nie potrzebuje do towarzystwa nikogo sławnego. Pomyśleć, autor nie dożył trzydziestki, napisał trzy powieści, garść wierszy, w tym tłumaczeń francuskich poetów, oraz trudną do oszacowania spuściznę literacką, którą zniszczył (inaczej niż Kafka, sam się tym zajął, a nie zlecił to przyjacielowi...). Jak daleko w fachu pisarskim mógłby zająć ten facet, gdyby dane mu było dłużej żyć? Pewnie co najmniej równie daleko jak Cioran, Ionesco czy Eliade.

## Pustka jako narzędzie zbawienia

• **Emil Cioran, *Rozmowy*, tł. Ireneusz Kania,**  
 Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2017.

Gombrowicz nie był najlepszego zdania o Cioranie; pisał, że myśli autora *Demiurga* zła: „tchną piuńicznymi chłodem i stęchliwą grobą”. Odnoszę wrażenie, że jasnie panicz Witold niezbyt wnikliwie czytał rumuńskiego kolegę. Może dochodził też element zazdrości i zawiści, które to uczucia nie były przecież obce autorowi *Pornografii*. Nie do końca mam też pewność, że Cioran lubił twórczość Gombrowicza; czytać,

raczej czytał, gdzieś tam wspominał nazwisko „Gombrowicz”, ale czy się zachwycił, albo czy choćby głębiej zainteresował, w to wątpię. Koniec końców pewnie zaliczył tylko dzienniki naszego wielkiego rodaka, bo za czytaniem powieści w ogóle nie przepadał. Po co o tym Gombrowiczu? Ano po to, że uważa się go za pisarza bardzo polskiego, tak mocno polskiego, że go aż ta polskość drażniła, że bił w nią z całych sił, doprowadzając do pasji tych, dla których polskość jest świętą krową. A co Cioranowi do tego? Ano to, że mi się postawa Gombrowicza zdaje paralelna z twórczością Ciorana, tyle że ten drugi atakował globalnie



całą ludzkość – bez wyjątku (choć z wielkim szacunkiem dla Żydów), całą naszą marność i pychę, która jest wszak śmieszna i aż się prosiła o wyśmianie, wydrwienie: „Nie ma żadnego powodu, byśmy tu byli” – kwitował. Może więc stąd rosnąca popularność Ciorana w naszym kraju, bo to taki Gombrowicz na skalę masową. Że Cioran to intrygujący pisarz i myśliciel, to żałośnie miało brzmieć teza; to tytan nihilizmu, demiurg nędzy egzystencji. A do tego filozof, który ze sprzeczności uczynił zaletę i chlubił się niekonsekwencją (choć był w wielu sprawach morderczo konsekwentny): „konceptą najprostszą, najbardziej naturalną, ale też najtrudniejszą jest życie w przyjaźni z własnymi sprzecznościami. Należy je zaakceptować”. Syn rumuńskiego popa, który – jak sam zauważa – porzucił wiarę, bo był jej zbyt blisko, a jednocześnie całe życie wadził się Bogiem (choć twierdził: „Zawsze fascynowało mnie to, co znajduje się za Bogiem, albo raczej ponad Nim”). Przed wojną dał się ukąsić faszyzmowi, ale nie tak mocno jak Mircea Eliade; w latach 40. wyjechał do Paryża pisać doktorat, ale ani myślał to robić, chciał po prostu żyć w Paryżu, bo choć samo ludzkie życie uważał za bezsensowne, to jednak utrzymywał, że jeśli już gdzieś się męczyć codzienną jałową egzystencją, to najlepiej w Paryżu. I tu się z nim zgadzam, też wolałbym się męczyć jałowością codziennej egzystencji w Paryżu, a nie w Suchedniowie, czy w Rasinari (miejsce urodzenia Ciorana). Za bezsensowne uważał też w ogóle wszelkie działanie, także pisanie, a mimo to pisał: („Piszę, by sobie ulżyć”) i pozostawił nam po sobie sporo książek, które przy pierwszym czytaniu działają na czytelnika bardzo mocno, bo Cioran nie zna taryfy ulgowej: „Aforyzm rzuca się tak, jak gdy się kogoś policzkuje”. Jednak jest to nihilizm momentami mocno egzaltowany, bywa zabawny; Cioran wielokrotnie powtarzał, nie bez satysfakcji, że jego pisanie jeszcze nikogo nie przywiodło do samobójstwa, a nawet wielu odeń odwróciło. O odbieraniu sobie życia mówił: „To jakby religia na opak, rodzaj religii przewrotnej”. Znamienne, że Cioran przechwalał się, iż nie stworzył traktatu filozoficznego, swojej summy, dzieła na miarę „Myśli” Pascala. Filozofię podawał w małych porcjach, w sentencjach, bo wszak „wszyscy uprawiamy fragment”. Faktycznie, jeśli ktoś lubi opasłe, nudne traktaty filozoficzne, będzie zawiedziony, bo Ciorana czyta się jak broszurki z dowcipami, tyle że to zaiste bardzo czarny dowcip. Właśnie ukazał się u nas tom rozmów z Cioranem, które spolszczył najbardziej zaskuszony w dziele udostępnienia Ciorana polskiemu czytelnikowi, nieznordowany poliglota i erudyta Ireneusz Kania. To ciekawa książka, choć raczej nie znajdziemy tu nic nowego z filozofii rumuńsko-francuskiego ironisty, czego byśmy nie znali z jego wcześniejszych książek. Dużo za to dowiadujemy się o nim samym, o tym, jak tęsknił za prostym życiem wiejskiego chłopaka wypasającego bydło i że niby żałował, że od tego życia został

oderwany, o matce, która rozdrażniona jego młodzieńczą nerwicą żałowała, że go w ogóle urodziła i mówiła, że powinna go była usunąć (co notabene bardzo podnosiło na duchu Ciorana), o pierwszych książkach, w których radykalnie zrywał z religią, jednocześnie będąc pisarzem stricte religijnym, o zaangażowaniu w faszyzm, które lekceważył, a które jednak jest plamą na jego życiorysie, o wchodzeniu w język francuski, co skończyło się uznaniem go za jednego z największych francuskich stylistów (coś jak nasz Conrad i angielszczyzna), a w czym pomógł mu pewien Francuz, inwalida z I wojny światowej, który był francuskim purystą językowym, lubiącym dyskutować o języku z profesorami Sorbony i paryskimi kurwami: o marności życia, jakie prowadzi, o zaletach samobójstwa, którego nie popełnił, i bardzo często o bezsensie wydawania książek, których wszak wypuścił ze dwa tuziny... Zaskakujące, że już w latach 80. Cioran uwieszczył upadek cywilizacji europejskiej; wg niego już od dawna byliśmy skazani, co oczywiście bardzo go radowało, choć ze smutkiem konstatował, że chyba nie będzie mu dane doczekać tego końca. Mówiąc to, prawdopodobnie pękał ze śmiechu; wszystko wszelako mieściło się w jego rozumieniu rozpacz. „Śmiech to przejaw nihilizmu, podobnie radość może być stanem żałoby”. Najstarsza rozmowa pochodzi z 1970 r., ostatnia z 1994 r. (na rok przed śmiercią), wcześniej Cioran nie udzielał wywiadów, nie przyjmował nagród (w tej sprawie był zresztą nieugięty do końca). Dlaczego się przełamał i zaczął rozmawiać, a nawet brać udział w dyskusjach? Chyba chodzi o wyjaśnienie. Pojął, że jego „dzieło” nie jest odbierane tak, jak sobie tego życzył. Musiał wyjaśniać, a kiedy już zaczął, to – jak to zwykle bywa, gdy bierzemy się za tłumaczenie – nie mógł skończyć. Jedno wyjaśnienie pociągało za sobą kolejną wątpliwość. Tak to bywa – chyba lepiej było dalej odmawiać, choć – jako czytelnik – jestem zadowolony z wydania tej książki. Wprawdzie niewiele mi ona wyjaśniła, bo Cioran – jak to ma w zwyczaju – lubi kluczyć i ucinąć temat zgrabną sentencją (wyjaśnieniem niech więc będzie też sentencja „Jest coś nieprzyzwoitego w odsłanianiu się”), ale jednakowoż obraz myśliciela nieco mi się rozjaśnił. Myślę tylko, że mogła być trochę krótsza. W rozmowach co rusz pojawiają się kwestie, o których Cioran mówił wcześniej, kiedy więc po raz trzeci czyta się, jak to porzucił on ojczystą mowę, albo ów *passus* o matce uświadamiającej synowi, że żałuje, iż go urodziła, bywa nudnawo.

Cioran mówi: „Sceptykami się rodzi się”, „Pustka jest narzędziem zbawienia”. Nie wiem, nie pamiętam, więc do tej i wielu podobnych sentencji podchodzę sceptycznie, jak zresztą do samego zbawienia, które przecież też nam do niczego nie jest potrzebne i na które za cholerę sobie nie zasłużyliśmy.

## Yeti literatury amerykańskiej

- Thomas Pynchon, *Wada ukryta*, tł. Andrzej Szulc, Wydanie II, W.A.B., Warszawa 2015.

Ponoć łatwiej spotkać Yeti niż Pynchona. Albo Wielką Stope, nota bene jednego z bohaterów powieści *Wada ukryta*, którą kupiłem ostatnio, tak zgadliście, w koszyku w Carrefourze. Powiem szczerze, zawahałem się, cena niby była zająca, 9.99 za książkę w twardej

oprawie, taka bym powiedział Pynchonowska, ale jednak odstręczający zdał mi się autor, który jest przecież ciężki w odbiorze i wkurzający, bo nie piszący książek do poduszki, ale raczej do trumny. Dobiegający osiemdziesiątki Thomas Pynchon to jeden z czołowych członków galerii amerykańskich dziwaków, pokroju Salinger'a albo zespołu The Residents, czyli reprezentant twórców antysystemowych, którzy zasztywają się, wycofują, znikają, nie pokazują twarzy,

nie pozwalają się fotografować, unikają mediów jak ognia, lekceważą nagrody... Znany jest z dwóch, czy trzech fotek z czasów studenckich, a poza tym nic o nim nie wiadomo poza tym, że studiował m.in. u Nabokowa (chyba niczym szczególnym się nie wykazał, skoro Vladimir go nie zapamiętał), napisał sporo powieści, które sprawiły, że stał się żelaznym kandydatem do Nagrody Nobla, ale jej nie dostanie, bo przecież wiadomo, że nie przyjmie, a Komisja Noblowska nie lubi takich, co nią gardzą; jeden Dylan im na razie wystarczy. Zresztą czy Pynchon na Nobla zasłużył? I na co mu on? Chyba bardziej ta nagroda potrzebuje Pynchona, niż Pynchon uznania szwedzkich akademików. Jaka jest więc *Wada ukryta*? Niewiarygodne, tę książkę da się przeczytać, choć zawiera ona sporo z klasycznych toposów autora *49 idzie pod młotek*: spiski, wszechwładza policji, służb, korupcja, opresyjność systemu, zepsucie władzy i w rezultacie tego całego gówna, zapowiedź nieuniknionego upadku cywilizacji! Tym razem jednak jest to podane w dużo przystępniejszy sposób. Łapałem się na tym, że zerkalem, czy aby na okładce nie jest napisane: Raymond Chandler zmartwychwstał i wysmażył nam kryminał z Philipem Marlowem z epoki dzieci-kwiatów. „Doc” Sportello, główny bohater, to taka mutacja Marlowa z będącym na permanentnym haju Kolesiem z Big Lebowskiego braci Cohen. Streszczenie kryminału jest zbrodnią większą od najgorszej zbrodni, jaka w tymże kryminale jest opisana, więc wam tego oszczędzę. Napiszę tylko tyle, że z tej książki dowiedziałem się, kto był prekursorem surfingu: Jezus chodzący po wodach jeziora Genezaret. A poza tym stara bajka Pynchona: świat nie jest taki, jakim nam się wydaje. Swoisty to pisarz; jedni uważają go za geniusza, ale sporo jest krytyków, a zwłaszcza czytelników, którzy na jego powieściach polegali i twierdzą, że to bzdury polane pretensjonalnym sosem, w efekcie czego dostajemy dzieło tylko z pozoru wybitne, ale po prawdzie niezrozumiałe, coś, co może się spodobać tylko snobom. Pamiętam moje czytelnicze boje z *Tęczą grawitacji*. Nie jestem inżynierem, nie znam się na budowie rakiet, jak

więc miałem przejść tę na poły naukową cegłę na 800 stron (druk chyba „6”). Wiadomo, poległem z kretesem. A tu tymczasem *Wada ukryta* – czytałem i rozumiałem, co czytam. Postmodernistyczny kryminał, momentami trudno się rozeznąć w tym, co się dzieje podczas nieskończonych peregrynacji „Doca” po najróżniejszych dzielnicach Los Angeles, a wydarzenia istotne przeplatane są nieistotnymi, ale ogólnie nie jest zbyt zawiłe. Mamy tajemniczą organizację Złoty Kieł, mniej czy bardziej odlotowe bary, kasyna i burdele, ośrodki zdrowia dla psychicznie zakręconych, bandę Mansona, która budzi strach, i wiele, naprawdę bardzo dużo psychodelicznej muzyki, aż się momentami ma wrażenie, że to książka nie kryminalna, ale przewodnik po tamtych czasach, po tamtym hipisowskim Los Angeles, choć chyba większość tego świata powstała wyłącznie w głowie autora. Uwaga jest tylko jedna, czytać trzeba na raz, nie odkładać, bo inaczej na bank się pogubimy. Jeśli czytamy tzw. ciągiem, raczej wyłapiemy sensy. Przez to zastanawiałem się nawet, czy aby Pynchon nie zaniżył lotu, skoro rozumiem, co czytam. Więcej, momentami byłem nawet ubawiony. Przy *Tęczy grawitacji* krzywiłem się z bólu, tu tymczasem co rusz się uśmiechałem, czytając choćby historię łóżka, na którym „Doc” zasnął z dżointem... Od żaru zapaliła się narzuta, potem ogień objął łóżko, przepalił sufit; akurat szczęśliwie piętro wyżej, dokładnie nad płonącym tapczanem „Doca”, stało wodne łóżko sąsiada, więc gdy ogień pokonał strop i dobrał się do wodnego łóżka, wyłało się z niego tyle hektolitrow wody, że ta skutecznie zgasiła pożar. Jakież było zdumienie „Doca”, gdy zobaczył swoją sypialnię po powrocie bodaj z kłopa, gdzie na swoje szczęście wyszedł.

Na podstawie książki Pynchona Paul Thomas Anderson, reżyser m.in. „Boogie Nights”, nakręcił film z Joaquin'em Pxoeniksem w roli „Doca”. Nie wiem, czy to udana ekranizacja, bo jeszcze nie oglądałem, ale czuję, że takiego materiału nie dało się spieprzyć.

## Skucha na pół gwizdka

• Jacek Hugo-Bader, *Skucha*,

Agora S.A., Czarne, Warszawa-Wołowiec 2016.

Jacek Hugo-Bader zadziwia mnie tym, że jest zdziwiony bohaterami książki, którą wydał w zeszłym roku. *Skucha* to dziwna książka, jednocześnie ciekawa i niezbyt zajmująca, równocześnie świetna i nie do końca udana. Jest w niej potencjał, który został w znacznej mierze zmarnowany. Ale nie było szansy, nie z tym autorem. Nie chodzi o kompetencje, bo tych Hugo-Baderowi nie odbieram; tu w wielu miejscach brakuje zwyczajnie emocji, które mają niektórzy bohaterowie *Skuchy*. Napisał ją wszakże facet, który jest syty, a syty głodnego nie zrozumie. Są tu też syci bohaterowie, ministrowie rządów po 1989 r., ale nie oni najbardziej fascynują. Fascynujący są ci, którym się nie udało. Schemat był za każdym razem podobny: chłopaki i dziewczyny zapierdalali, każdy za dwóch, trzech, drukowali ulotki, roznosili po punktach kontaktowych, ukrywali się przed esbecją i milicją, zawalali sobie życie rodzinne, szargali nerwy, tracili

zdrowie, a potem, jak wszystko pierdzielnęło, zostali na lodzie. Są ludzie, którzy sprawdzają się tylko w sytuacjach granicznych, gdy trzeba walczyć, i zupełnie się nie nadają do budowania (podobno to w ogóle cecha charakterologiczna Polaków). Inna sprawa, że kariery wtedy u nas udawały się często akurat tym, którzy mieli jakieś haki w życiorysie. Mamy tu przykład Michała Boniego, który okazał się tzw. Tewulcem (Tajnym Współpracownikiem SB), choć ćwierć wieku temu, gdy znalazł się na Liście Macierewicza, gorąco zapewniał o swojej niewinności; niedawno świr nad świry, Janusz Korwin-Mikke, zasunął mu za to z liścia. Nie dziwię się ludziom, którzy – gdy takie sprawy wychodzą na jaw – zaczynają wierzyć, że gdy oni wyprowadzili sobie żyły, ich koledzy knuli za ich plecami, czyli zdradzali. Hugo-Bader stara się, jak może, ratować opinię przyjaciela, ale mu to średnio wychodzi. Fakty są bezsporne, Boni podpisał deklarację o współpracy, nie przyznał się nikomu z opozycji (może po piżaku coś komuś chlapnął, ale jakoś nikt nie pamięta), a potem latami zarzekał się, że nic takiego nie miało miejsca. Hugo-Bader kwituje

problem pisząc, żeteczka Boniego została zniszczona w 1990 r., bo nie przedstawiała żadnej wartości operacyjnej. Na pewno w 1990 r. SB nie miała nic lepszego do roboty, jak brakować makulaturę. Skądinąd wiemy, że zajmowali się właśnie tym, co najważniejsze. Ale nie ma co dłużej drążyć tego akurat tematu, co innego w tej książce jest ciekawsze. Mówi się, że po wojnie zostają niepotrzebni nikomu żołnierze. I tak samo stało się w 1989 r. Niektórym udało się „pójść w ministry”, wysoko do góry, ale większość nie potrafiła się odnaleźć w nowym systemie. Nikt się zresztą nimi zbytnio nie zajmował i nie przejmował. Nikogo nie interesowali. Była walka polityczna i w niej też nie brano jeńców. Hugo-Bader opowiada o losach Macieja Zalewskiego i Aferze Telegrafu. Środowisko Porozumienia Centrum, braci Kaczyńskich chciało zbudować własny koncern medialny, coś na kształt prawniczej Agory. Robili to w taki sposób, w jaki wtedy było przyjęte, czyli kombinując i omijając prawo (taki neologizm z tamtych czasów). Nie udało im się, poległ, sprawa ciągnęła się za środowiskiem latami, kariera polityczna Zalewskiego zdechła, ale tę sprawę znamy z prasy, z mediów... Najbardziej fascynujące są postaci drugiego planu, ich drogi po 1989 r., bo wcześniej wcale na drugim planie nie byli. Ci ludzie są często poranieni przez los, wyciśnięci jak cytryny. Posypało im się życie osobiste, zmuszeni byli do wyjazdów za granicę, za chlebem, za pracą, a przecież tak marzyli o życiu

w wolnej Polsce. Porozpadały im się małżeństwa, bo nie nadawali się do zwykłego życia. Najbardziej spektakularna metamorfoza to zmiana płci jednego z głównych bohaterów „firmy” (tak nazywali swoją organizację), który stał się kobietą; jakby chciał zupełnie odciąć się od tego, co było. Są tu historie nieprawdopodobne, ale życie lubi takie wysmażyć. Mało które biografie podnoszą na duchu, jak ta o lekarzu, który założył hospicjum i zajmuje się umierającymi dziećmi, a mimo to pozostaje postacią na wskroś przepełnioną spokojem i wewnętrznym pięknem. Pewnie nie każdemu się spodoba, bo mężczyzna nie kryje, że stoi za tym silna wiara w Boga, coś obecnie bardzo passé.

Niestety, *Skucha* nie wypełnia zadania, które postawił sobie autor. Chyba nie było na to szansy. Z jednej strony sam brał udział w działalności „firmy”, niemniej po 1990 r., angażując się do pracy w „Gazecie Wyborczej”, która przez wielu jego byłych kolegów z opozycji jest kontestowana (nie czas i miejsce, by tłumaczyć zasadność lub jej brak w oskarżeniach o konszachty z komunistami, którzy przefarbowali się na socjaldemokratów), stracił możliwość rozmowy z wieloma z dawnych przyjaciół. Jest już po drugiej stronie barykady. Jest ich wrogiem.

## Można być wolnym

• Tom Hodgkinson, *Jak być wolnym*,

tt. Agnieszka Chmura, W.A.B., Warszawa 2014.

Żeby nam zupełnie nie odbiło i żebyśmy się nie rzucili pod przejeżdżający karawan, może tak coś lekkiego, choć podejmującego bardzo poważny temat. Wolność! Tak, temat tak poważny, że nie da się go chyba na poważnie podjąć, żeby nie popaść w banał, nudę i mentorstwo. Tom Hodgkinson umie ten temat zgrabnie sprzedać. Nie mówi niczego odkrywczego, a mimo to łapiemy się za głowę, dlaczego sami na to nie wpadliśmy! Jacy my jesteśmy naiwni! – myślimy co parę akapitów. Co nam uświadamia brytyjski anarchista? Że dajemy się wodzić za nos jak ślepe barany. A przecież można inaczej. Spróbujcie wejść do hipermarketu, weźcie koszyk i idźcie między półki, chodźcie tak z godzinę i wyjdźcie, nic nie kupując. „Unikaj szajsu – pisze Hodgkinson. – Nie zwracaj na niego uwagi. Tak, świat to gówno. I pełen jest wyrobów jak najgorszej jakości”. Da się? Jeśli się da, to nie jest z wami jeszcze tak źle. Większość nie potrafi. Wystarczą tytuły rozdziałów, bo mówią same za siebie: „Precz z niepokojem, bądź beztroski”, „Zerwij pęta nudy”, „Tyrania rachunków i wolność prostoty”, „Zrezygnuj z kariery i jej pustych obietnic”, „Porzuć miasto”, „Pozbądź się zegarka”, „Przestań rywalizować”, „Zapomnij o rządzie”, „Przestań być niewolnikiem maszyn – masz dwie ręce” (ja akurat dwie lewe – dop. E.F.), „Pochwała melancholii”, „Przestań się martwić o emeryturę” itd. A ostatni, mój ulubiony, to: „Przestań pracować, zacznij żyć”. Kur..., przecież nieświadomie większość do tego dąży, w którymś momencie egzystencji dochodzimy do podobnych wniosków co Hodgkinson: „Łęk świetnie służy zachowaniu

status quo. Ludzie zżerani przez niepokój to doskonali konsumenci i pracownicy. Rządy i wielki biznes kochają więc terroryzm, wręcz go uwielbiają, bo przynosi im korzyści (...) system celowo wywołuje niepokój, obiecując równocześnie jego złagodzenie” (s. 12–13). Bywa jednak, że Hodgkinson popada w tak skrajny anarchizm, że budzi to śmiech. Czyż nie jest śmieszne jego uwielbienie dla przestępców, bo: „wzbudzają we mnie uczucie sympatii właśnie dlatego, że swoimi działaniami nie podporządkowują się władzy” (s. 17)? Paradoksalnie autor od razu przyznaje, że przestępcy, tak samo jak terroryści, są na rękę władzy, bo dzięki ich czynom, pod pretekstem naszej ochrony, można nam przykręcić śrubę. W gruncie rzeczy to my, zwykli obywatele, zawsze jesteśmy dymani. Co możemy zrobić, żeby to zmienić? Po prostu powinniśmy sobie odpuścić. Jak mówi młodzież – mieć na wszystko wyjebane. A jak komuś nie imponują rady młodych, to może posłucha, co mają do powiedzenia filozofowie, np. Nietzsche, który zalecał: „Chwilowe zamykanie drzwi i okien świadomości; nieuczestniczenie we wrzawie i walce, pośród której służebne organy naszego ciała pracują jeden dla drugiego i jeden przeciw drugiemu; odrobina ciszy, odrobina świadomościowej tabula rasa, dzięki którym robi się miejsce dla nowych doznań, przede wszystkim dla dostojniejszych funkcji i funkcjonariuszy, dla rządzenia, przewidywania, postanawiania (organizm nasz ma bowiem oligarchiczną strukturę) – oto korzyści, którymi obdarza nas aktywna, jak powiedziałem, zdolność szybkiego zapominania, niejako strażniczka bram, która utrzymuje ład psychiczny, spokój, etykietę...”. I jeszcze jedna – niebywale istotna kwestia, którą podejmuje Hodgkinson; jakże pięknie i sensownie wyjaśnia tzw. smaki na kielicha: „A ja lubię

poczuć niepokój. Wtedy mogę się napić”. Przy czym dodaje: „pod warunkiem, że alkohol jest dobrej jakości”. Zatem, obywatelu, uwolnij się od trosk, nie myśl o długach, jeśli nie chcesz pracować, to nie pracuj, baw się z kumplami, kochaj, rób, co chcesz, masz dwie ręce (nawet jeśli są lewe, to i tak na ogół dwie), unikaj telewizji, gardź politykami, kochaj rzeczy piękne, ciesz się ładną pogodą, ładnymi rzeczami, fajnymi ludźmi, zapal sobie trawkę, strzel browara, albo gołnij setę... A jeśli ci powiedzą, że za dużo pijesz, odpowiadaj w stylu Hodgkinsona: „Piję dokładnie tyle, ile powinienem”. Będziesz wolny

tylko wtedy, gdy się uwolnisz od opresyjności świata. Nie gódź się na ograniczanie twoich praw! Hodgkinson pyta: Czy człowiek musi być albo szaleńcem, albo niewolnikiem? Jego książka jest dowcipnie i przekonująco napisaną odpowiedzią na to pytanie. Nie pozwól, by zrobiono z ciebie niewolnika! Nie musisz być też szaleńcem! Zerwij kajdany, kopnij nachalny świat w dupę, powiedz mu: wal się! I powinno być dobrze. Przynajmniej w Anglii, bo nie wiem, czy u nas też to się sprawdza. Ale co szkodzi spróbować?

## Bukowski. O dupie Maryni

• **Charles Bukowski, *O kotach*,**

oprac. Abel Debritto, tł. Michał Kłobukowski, Noir Sur Blanc, Warszawa 2017.

O tej książce nie można napisać bez tłumienia wściekłości. Ale moja wściekłość nie dotyczy autora, który, jak sądzę, byłby równie wkurwiony tą książką jak ja. Idę o zakład, że nawet bardziej. Może zebrалby dupę w troki i podskoczył do nas z Ameryki, żeby dać po głbie tym, którzy to dzieło wydali. No tak, najpierw jednak musiałyby posprzątać za oceanem, bo tam najpierw toto się ukazało: Bukowski. *O kotach*. Ta cieniutka i lichutka książka to wydawnicza wydmuszka; kilka fragmentów z powieści, parę wierszy, garść zdjęć i książka gotowa, za raptem 25 zł, sto stron z maleńkim hakiem, a i to wydrukowane dużymi literami. „Dobrze mieć przy sobie kilka kotów. Kiedy źle się czujesz, wystarczy na nie spojrzeć i zaraz ci się poprawia... rak

mózgu ustępuje, jak ręką odjął, odrośnię ci amputowana prawa noga, zrośnie się złamany kręgosłup, z oczu zejdzie bielmo czy jaskra, nawet łysina pozostanie tylko smutnym, wspomnieniem...”. No, ok, trochę sobie pofolgowałem z tym cytatem, dodałem coś od siebie, bo cholera człowieka bierze od cytowania komunałów. Tak, Charles Bukowski, vel Chinaski, na pewno nie posiadałby się z wściekłości, gdyby zobaczył, jak nas doją w jego imieniu. Tym bardziej, że co on z tego teraz ma? Gówno! Ale na pewno jakieś cwaniaki już kombinują, co dalej. Może Bukowski. *O lizaniu cipek*? O nie, nie będę usłużny, tym bardziej, że tytuł, który wymyśliłem jest dużo lepszy od tego tu, bardziej nośny, i jeszcze wyjdzie, że podpowiedziałem komu trzeba, jak nas kolejny raz skroić z kasy. W każdym razie zapamiętajcie: co do książki Charlesa Bukowskiego *O kotach* zalecam wam, żebyście zachowywali się jak myszy wobec podmiotów domyślnych tego dzieła – trzymajcie się z dala. ●



Erazm Furman &gt; Wywiad

# Czytam głównie na kacu

Z Erazmem Furmanem, recenzentem AFRONTU, rozmawia Olgierd Dziechciarz

**Olgierd Dziechciarz:** *Cholernie dużo pan czyta...*  
**Erazm Furman:** Tak, bardzo przepraszam, wiem, że to aż nie wypada tyle czytać. Większość pisze książki, a ja należę do tej wymierającej mniejszości, mniejszości, której nikt nie bierze pod opiekę, nikt nie hołubi i nikt nie wspiera unijnymi dotacjami, mniejszości, która wbrew nowoczesnym trendom i logice dziejów czyta. Robię właściwie dwie rzeczy, no może trzy: pracuję fizycznie w branży budowlanej (ocieplanie budynków, a nie wizerunków), a po robocie piję i czytam. Czytam głównie na kacu. Zdarza się, że w wyniku lektury kac mija jak ręką odjął, normalnie jakbym strzelił klina, ale zdarza się również, zwłaszcza przy próbach czytania współczesnej polskiej prozy i poezji, że kac się pogłębia.

**O.D.:** *Jaka książka pana ostatnio zdenerwowała?*

**E.F.:** Nie pamiętam, albo nie chcę pamiętać. Chociaż nie, jedną wymienię: *Dziennik* Pilcha. Bardzo mnie ta książka zdenerwowała. Zwłaszcza partie o dzieciach. To pewnie prowokacja miała być, ale mnie takie prowokacje nie bawią. Poezja współczesna też na kaca źle działa, ale musiałbym za dużo nazwisk wymienić...

**O.D.:** *Czyli jednak czyta pan poezję?*

**E.F.:** Rzadko. Staram się unikać. Jest mnóstwo złej poezji. A od złej poezji gorszy jest tylko kontakt z jej autorami. Ich unikam nawet bardziej niż ich książek. Wolę z kumplami z budowy napić się gorzały, niż bratać się z poetami. Z chłopakami od styropianu przynajmniej mogę o czymś sensownym porozmawiać, o życiu, rządzie, o kłopotach z rządem, a najchętniej o... no, wie pan... A nie tylko wysłuchiwać marudzenia o tym, jak mało są doceniani jako twórcy przez duże „tłu” i jakimi grafomanami jest ten czy inny kolega. Za dużo zawiści jest wśród poetów. Klasa robotnicza jest mniej zawiśna i bardziej empatyczna, no i rzadziej pije na krzywy ryj.

**O.D.:** *Mieliśmy zapytania o pana...*

**E.F.:** Niby o co pytają?

**O.D.:** *Nie znają pana.*

**E.F.:** Może i znają. Jednemu znanemu prozaikowi z Krakowa

kładłem kiedyś strukturę. Nawet zagadałem, ale nie był zainteresowany rozmową z robotem. Tylko elewacja go zajmowała, czy dobrze zrobiona. Czytałem jego zbiór opowiadań o prostych ludziach... Pomyślałem wtedy, mój ty Boże, skąd on tyle wie o życiu sprzątaczek, malarzy balkonowych czy drobnych przedsiębiorców, skoro z nikim z nich nie chce mieć do czynienia?

**O.D.:** *Dlaczego nie chce pan upublicznić swojego wizerunku?*

**E.F.:** Za grosz nie ma we mnie poczucia wielkości, tak powszechnego wśród pisarzy, a wśród poetów w szczególności, którzy – gdzie tylko mogą, zwłaszcza na okładkach swoich wybitnych dzieł – wrzucają własne smutne gęby, jakby ich pryszczate twarze miały pomóc w odbiorze ich natchnionych utworów.

**O.D.:** *Co pan teraz czyta?*

**E.F.:** Lubię czytać coś po raz drugi, trzeci... Teraz na przykład czytam *Wielkie solo* Antona L. Herberta Rosendorfera. Szkoda mi czasu na nowości. Choć szykuję się już na *Nieprzysiadalność* Świetlickiego i Księżyka. Przyznaję jednak, że ciut się boję, czy lektura tej opasłej autobiografii nie sprawi, że pan Marcin straci w moich oczach. Bardzo wielu autorów, gdy się ich pozna osobiście, traci na tym.

**O.D.:** *Dlaczego zgodził się pan pisać dla AFRONTU recenzje?*

**E.F.:** Bo pan poprosił. Kiedyś fajnie ześmy sobie pogadali o literaturze włoskiej, wyszło, że obaj jesteśmy wielbicielami Italo Calvino, więc nie mogłem odmówić. Nie wiem, czy to są dobre recenzje, ale na pewno piszę szczerze: jak mi się książka podoba, to chwale, a jak jest zła, to ganię. Nie ma znaczenia, czy ktoś jest moim znajomym, choć akurat nie mam z tym problemu, bo mało kogo znam. Pana znam, jak mi przyjdzie ochota, to może kiedyś napiszę o którejś i może być pan pewny, że jeśli mi się nie spodoba, to wywalę kawę na ławę. Zresztą wie pan, że nie wszystko, co pan wydał, trafia w mój gust...

**O.D.:** *Wiem.*

**E.F.:** To co, idziemy do Czecha? Nie płacie wierszówki, to może chociaż postawi pan jakieś piwo? (śmiech) ●

Galeria

# ANDRZEJ MLECZKO



Olgerd Dziechciarz › felieton

# Fasolka po bretońsku, schabowy i próba kradzieży intelektualnej

---

Odnoszę wrażenie, że od pewnego czasu jestem bezpośrednim uczestnikiem dziwnych sytuacji, w których zdrowy rozsądek podaje się do dymisji. Przestaję rozumieć ludzi, a kogoś, kto o ludziach pisze, chyba nie może spotkać nic gorszego.



**T**o może nie są poważne sprawy, nikt nie ucierpiał, nie wzywano policji ani pogotowia, obyło się nawet bez zadrapania. A jednak coś pękło, coś się skruszyło. Zamazaniu uległy pewne linie, wedle których podążałem. Siedzę na przykład w barze o wdzięcznej nazwie, której nie wymienię, bo co to za różnica, czy bar się nazywa Stokrotka, Flaczek czy Ślepa Kiszka?! Mógł to być jakikolwiek bar, wszystkie są do siebie podobne: podaje się jedzenie, a ci, którzy je zamówili, w pośpiechu spożywają to, co zamówili. Nie ma miejsca na metafizykę, zresztą w takich miejscach metafizyka jest na ogół przypalona, często niestrawna, zdarza jej się siadanie na wątrobie, a nawet można się nią otruć. Zamówiłem fasolkę po bretońsku. Podobno w Bretanii nikt nie słyszał o tak przyrządzonej fasolce, ale ta wiedza o niewiedzy Bretończyków w naszym mi nie przeszkadzała. W Stanach Zjednoczonych ponoć robią pizzę po polsku: na cięście pizzowym kładą coś, co z wyglądu przypomina bigos, i tyle. I co? Przeszkadza nam pizza po polsku? Nie przeszkadza, a wręcz jesteśmy dumni, że dzięki niej nasza nacja kojarzy się teraz już nie tylko z polish joke i nieustannym byciem na rauszu, ale również z wyrafinowaną kulturą kulinarną. Tak więc zamówiłem fasolkę po bretońsku i od razu ją dostałem. To powinno wzbudzić moje podejrzenia, bo przecież przyrządzenie takiej fasolki to nie jest „hop na krowę, cielę gotowe”. A jednak wręczony mi talerz fasolki bez oporów ująłem w dłoń i skierowałem się ku najbliższemu stolikowi.

– Można? – spytałem siedzącą przy nim i jedzącą schabowego małą charakterystyczną kobietę, blondynkę, na oko tzw. ryczącą czterdziestkę. Zabijcie mnie, ale jej twarzy już sobie nie przypominam. A zresztą, co winna jest twarz, że pod nią, w – jeśli możemy użyć tego słowa – głębi, skrywa się ptasi mózdzek? Czy to wina twarzy?!

– Można! – łaskawie wyraziła zgodę.

Siadłem, unikając kontaktu wzrokowego. Chęć do rozmów w trakcie konsumpcji wyrugowali ze mnie rodzice jeszcze w dzieciństwie, powtarzając co rusz: jak pies je, to nie szczeka, bo mu miska ucieka.

Skupiłem uwagę na fasolce, a było na czym, bo to nie była zwykła fasolka po bretońsku, ale jakaś podła w smaku bryja wybitnie „po polsku”. „To ostatnia fasolka, jaką zamówiłem w życiu” – złożyłem po raz już chyba setny to ostateczne zobowiązanie i jadłem dalej.

W brunatnej mazi, wśród rozpadających się nerkowatych fasolek, pływały przypalone kawałki pożywienia, które wyławiałem łyżką i starannie układałem na brzegach talerza. Nawet mi się przydawały, bo mogłem w ten sposób znaleźć stabilne oparcie dla kulek pieprzu, których w mojej fasolce było bez liku. Zapewne włączono w potrawę tyle pieprzu, by ostry aromat przyprawy zabił inne, mniej atrakcyjne smaki fasolki. Brzeg talerza był dość stromy, więc kuleczki nieustannie staczały się i upadały do środka. Rozgryzienie takiego pieprzu to nie w kij dmuchał; wolałem tego niebezpieczeństwa unikać. Udaowało mi się jednak skutecznie blokować pieprz przypalonymi fragmentami fasoli; kulki trzymały się miejsca i już nie leciały w breję.

To chyba była Beyonce. Wyła długo i przeciągle, jakby przeżywała tysiąckrotny orgazm.

Zerknąłem na torbę kobiety. Tam znajdowało się źródło hałasu. Wszelako kobieta nie przerywała krojenia kotleta.

„Wyłącz ten telefon, bo oszaleję!” – błagałem w myślach.

Podziałała, bo sięgnęła do wnętrza torby, choć zeszła jej na to chyba minuta. Wyciągnęła komórkę i wszczęła rozmowę. Zaczęła pozytywnie.

– Cześć. Nie mogę teraz rozmawiać – powiedziała, ale nie wyłączyła komórki, a osoba, która do niej dzwoniła, musiała należeć do tych, którym zdaje się, iż są najważniejsze na świecie, ważniejsze nawet od spokojnie zjedzonego obiadu.

– Będę za dwadzieścia minut. A co się stało? – ciągnęła moja sąsiadka przy stoliku.

„I po co było to: »Co się stało?«!” – wściekłem się, a fasolka, choć już wcześniej wyrobiłem sobie o niej jednoznaczną, jak najgorszą opinię, teraz wręcz rosła mi w ustach.

– Wzorce są u mnie, w szufladzie, w drugiej od góry. Tylko nie bierz tych z firmy S... Oni bądzie totalne robią, powinni ich rozstrzelać za ostatnią partię towaru. Ledwo udało nam się go upchnąć klientom specjalnej troski...

Przerwała na chwilę, by zaśmiać się ironicznie i wpakować do ust porcję ziemniaczanego purée.

– Wiem, wiem, oni wszystko łykną, ale etos zawodowy mi nie pozwala być zadowoloną z tego, że im wciskam taki kit. Sama chyba bym kogoś zamordowała, jakby mi zrobił taki numer.

Zaśmiała się paskudnie, aż się zatrzęsły na moim talerzu fasolki, chyba ze strachu przed tym rechotem. Tak się śmieją komornicy, kiedy wyciągają spod głowy umierającego dłużnika ostatnią poduszkę.

– Tylko nie idź do tego durnia, bo on i tak ci nie pomoże. A potem będzie gadał, jaki to jest niezastąpiony. Kretyn jeden!

Ponownie ryknęła śmiechem. Nie sprawdziłem, ale byłem bardziej niż pewien, że chmura śliny zmieszanej z kawałeczkami mięsa poszybowała w moją stronę.

– No nie, tak ci powiedział? Jak dziewczyny z nim wytrzymują, to nie wiem! Bidule, cały czas jadą na środkach uspokajających... Prozac już im nie wystarcza... Niedługo wpadną w alkoholizm!

Kończyłem fasolkę. A ona kończyła swojego kotleta. Cały czas trzymała komórkę między ramieniem i uchem. Jak one to robią, że im te komórki nie wypadają, a one w tym samym czasie: prasują, gotują,

a prowadząc samochód – jednocześnie odpalają papierosa, zmieniają płytę w odtwarzaczu i malują sobie paznokcie?

– Dobra, kończę, bo już zjadłam – zwięźczyła wreszcie tę głośną rozmowę. – Co, znalazłaś? No widzisz, niepotrzebnie mnie poganiałaś. Przez ciebie spieszyłam się z jedzeniem i nawet nie wiem, czy dobre było to, co zjadłam...

Wstała i odniosła talerz do okienka.

Udało mi się zobaczyć przez szybę wystawową, jak chowa komórkę do torby, ale tylko po to, by zaraz ją wyjąć i coś sprawdzić. „Chyba dostała esemesa” – domyślałem się.

Wtedy zobaczyłem jego, faceta grubo po pięćdziesiątce, w kurtce trzy czwarte, wpatzonego w wystawę. Co go tak zainteresowało? Na pewno nie barowe menu, bo z tej odległości nie mógł wypatrzeć, ile kosztuje mielony czy rolada wołowa z kapustą. Wpatrzony był w książki, moje książki, które leżały w stercie na parapecie, jakiś metr ode mnie. Położyłem je tam, nim złożyłem zamówienie na fasolkę. A potem zostawiłem, gdzie były, bo nie chciałem kłaść ich na stole, podejrzewając przykrywającą go ceratę o tłuste plamy. Po-brudzona jedzeniem okładka obniża wartość antykwaryczną książki, a trzeba wam wiedzieć, że niosłem swoje wiekopomne dzieła do antykwariatu.

Facet wahał się, ale w końcu podjął decyzję. Wszedł po schodkach, po tych charakterystycznych trzech stopniach, które muruje się u nas gdzie tylko się da, nawet tam, gdzie są zupełnie niepotrzebne, po to tylko, żeby utrudnić życie niepełnosprawnym. Dzięki dwóm, trzem stopniom właściciele barów i sklepów mają święty spokój. W ich mniemaniu klienci na wózkach są wszak uciążliwi, ale jak się zrobi stopnie, to już człowieka nie nachodzą, czy raczej nie najeżdżają.

Gość nie był niepełnosprawny, przynajmniej ruchowo, bo wszedł po schodkach, otworzył drzwi, zrobił dwa kroki i nachylił się nad stertą książek. Był ich tuzin, przeróżne: głównie proza i felietony. Trzy pozycje go zainteresowały. Przyjrzał im się, przekartkował, a potem usadził pod pachę i odwrócił się ku wyjściu. Cały czas miałem go na oku. To był ostatni moment na interwencję.

– Co pan robi? – głupio zapytałem, bo przecież ostentacyjnie kradł moje książki.

Odwrócił się do mnie. Powiedzieć, że się zdumiał, to jakby nic nie powiedzieć! To jakby o Mahatmie Gandhim powiedzieć, że nie był krwiozerczy.

– Biorę... – powiedział i to było najbardziej trafne określenie procedury, który uskutečnił. On sobie po prostu brał moje książki, i tyle! Tak samo jasno artykułowali swoje zamiary Wikingowie, kiedy napadali na spokojne nadmorskie wioski i sobie „brali”, co im się żywnie podobało, łącznie z niewiastami.

– Ale one nie są do wzięcia! – stwierdziłem.

Przeszedł do ofensywy nagle, to był prawdziwy intelektualny blitzkrieg.

– Leżały na parapecie, więc myślałem, że są za darmo... Jak coś tak leży, to chyba można sobie wziąć?!

Chyba chodziło mu o to, żeby mnie wytrącić z pewności, że w świecie wciąż obowiązują jakieś normy. Coś jest na rzeczy, wszak brak normy też jest normą. Poza tym on przecież nic złego nie robił, on, we własnym mniemaniu, chciał dobrze. Tyle się gada, że w Polsce upada czytelnictwo. Chcesz tu, człowieku, czytać – nie pozwalają...

„Chyba powinienem się uważać za szczęściarza? Ktoś chce zaiwanic moje książki!” – kołatało mi w myślach. Przypomniłem sobie historię Adama Rzepeckiego z grupy Łódź Kaliska, którego obraz skradziono kiedyś z galerii w Lublinie i dyrektor owej galerii wysmarował do okradzionego artysty list... gratulacyjny. Pocieszał Rzepeckiego, że w gruncie rzeczy powinien być dumny, wszak „jego sztuka uzyskała akceptację społeczną”. A ja, zamiast się cieszyć, że moja twórczość uzyskała akceptację społeczną, marudzę i jeszcze zwracam komuś uwagę. Może to jakiś wielki admirator mojego talentu i jest zwyczajnie zdesperowany, by mnie czytać? By zadośćuczynić pragnieniu czytania płodów mojego umysłu, gotów jest do najwyższych poświęceń, gotów jest nawet wejść na drogę przestępstwa.

„Sprzedam mu je za pół ceny” – uznałem takie rozwiązanie za najlepsze, za takie, które pozwoli jemu i mnie wyjść z całego tego qui pro quo z godnością.

– Jeśli jest pan zainteresowany, to mogę panu sprzedać te książki... – rzuciłem zachęcająco.

Skrzywił się, jakby w rękę trzymał nie trzy książki w oprawach broszurowych, ale rozgrzany do czerwoności – ba, do białości! – po-grzebacz.

Rzucił je na parapet. Dobrze, że nie spadły na zabłoconą podłogę.

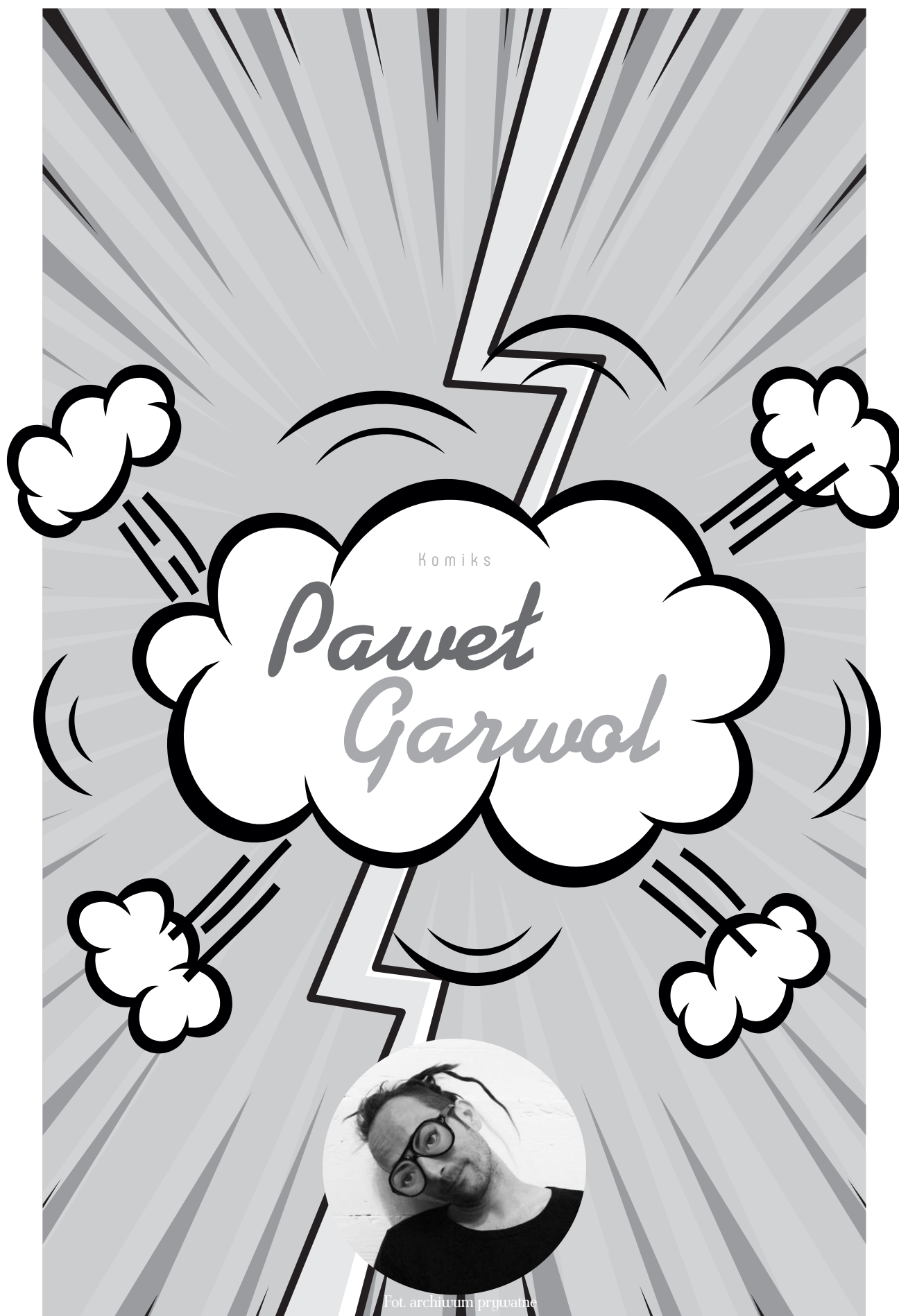
– Nie, nie... – jęczał.

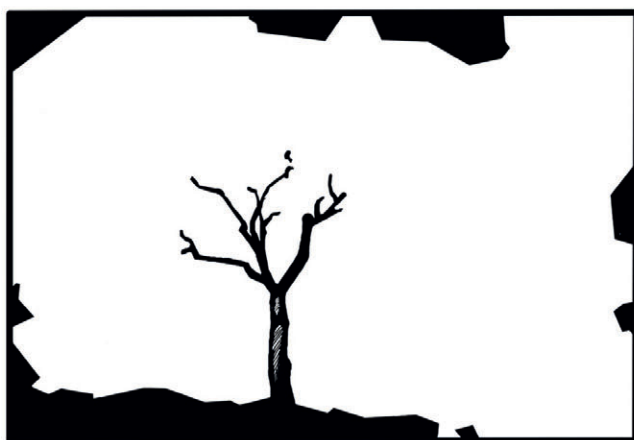
Miał wyraz twarzy niczym skazaniec widzący naprzeciw siebie składający się do strzału pluton egzekucyjny. A przecież propozycję, wcale nie korupcyjną, składał mu ktoś, kto mimo zajadania się przypaloną fasolką po bretońsku był pokojowo nastawiony do świata. Czego się obawiał? Że zaatakują go fasolką?!

– Niedrogo wezmę. Jak dla pana, to po dyszce.

– Nie, nie! – jeszcze gwałtowniej zaprotestował.

Wziął i uciekł. Przyznaję: poczułem się, jakby życie wręczyło mi dymisję. ●

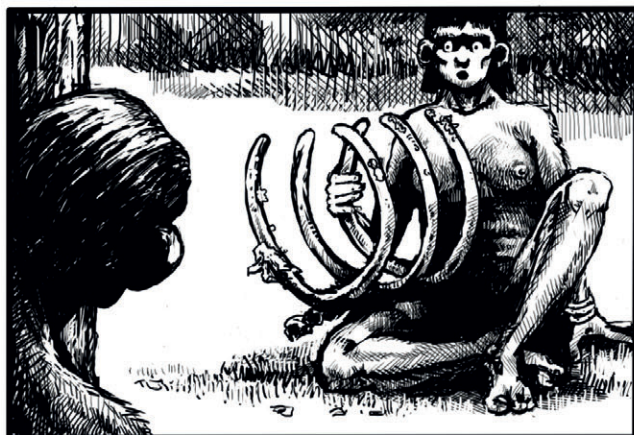












Galeria AFRONTU

# Stanisław Cholewa

”

Strategia niedomówień zmierza do uruchomienia wyobraźni widza i interpretacji scen według własnych skojarzeń. Pozostając w sferze domniemań, można pokusić się o znalezienie wskazówek, pozwalających chociaż częściowo zidentyfikować rodzaj aktywności naszych i autora pobratymców. Nie unikniemy jednak wątpliwości i pytań”.

*Jan Bujnowski*

”

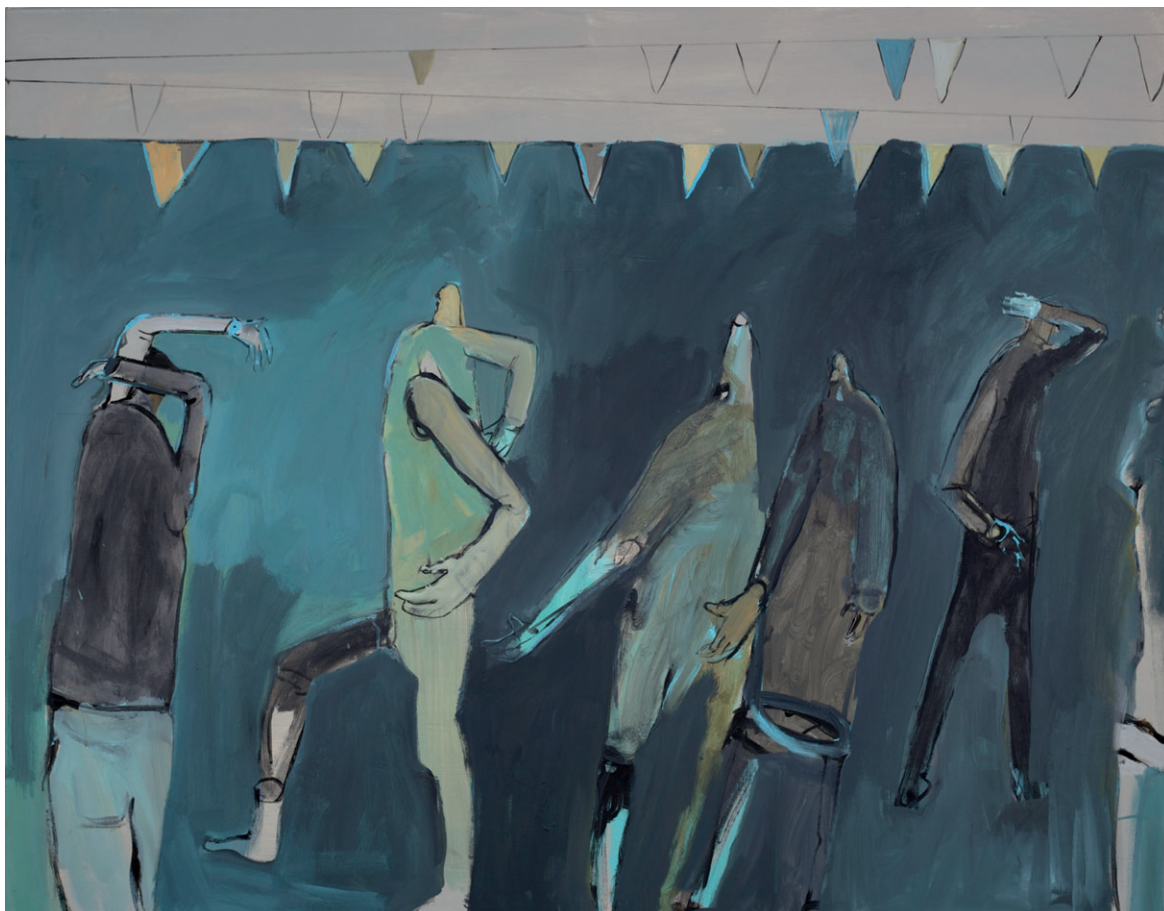
Cholewa stara się nas uchwycić w chwili, gdy jeszcze jesteśmy w ruchu. Całkiem możliwe, że już wkrótce, zaprzęgnięci do obsługi całego tego elektronicznego ustrojstwa, jakim wypełniony jest współczesny świat, zupełnie zaprzestaniemy ruchu. Cholewa jest więc dokumentalistą naszych ostatnich podrygów, bo już niebawem będziemy przyjmować jedną, wspólną dla wszystkich pozycję: sied z pochyleniem nad laptopem czy smartfonem”.

*Olgerd Dziechciarz*



Stanisław Cholewa  
Fot. archiwum prywatne





Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 110x140 cm



Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 80x110 cm





Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 110x140 cm



Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 50x70 cm



Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 50x70 cm



Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 50x70 cm





Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 50x70 cm



Praca z cyklu: „Gatunek ludzki – badania terenowe”, 50x70 cm



Poza 2, serigrafia, 100x70 cm



Poza 4, serigrafia, 100x70 cm